Ursula K. Le Guin

OPOWIEŚCI Z ZIEMIOMORZA

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Ziemiomorze — świat wysp, magii, smoków i czarnoksiężników. Tu właśnie rozgrywa się akcja słynnego cyklu fantasy Ursuli K. Le Guin. Autorka po latach powraca do stworzonego przez siebie świata i postaci w opowiadaniach tworzących tom "Opowieści z Ziemiomorza".

Pięć epizodów z bogatych dziejów Archipelagu odsłania kolejne tajemnice magicznego świata. Jakie były początki szkoły czarnoksiężników na Roke? Co się stało z Mistrzem Przywołań, Thorionem, gdy powrócił z krainy umarłych? Jakie jeszcze przygody przeżył Arcymag Ged? O tym wszystkim opowiadają kolejne historie z tego tomu.

- Ursula K. Le Guin
  - SZUKACZ
    - I. W MROCZNYCH CZASACH
    - II. WYDRA
    - III. RYBOŁÓW
    - IV. MEDRA
  - DIAMENT I CZARNA RÓŻA
  - KOŚCI ZIEMI
  - HISTORIA Z GÓRSKICH MOCZARÓW
  - WAŻKA
    - I. IRIA
    - II. KOŚĆ
    - III. AZVER
    - IV. IRIAN

Ursula K. Le Guin
Opowieści z Ziemiomorza

SZUKACZ

I. W MROCZNYCH CZASACH

Oto pierwsza karta Księgi Mroku, napisanej dawno temu runami hardyckimi:

"Po tym, jak Elfarran i Morred zginęli, a wyspa Solea zatonęła pod falami, Rada Mędrców władała w imieniu chłopca Serriadha, póki ten nie objął tronu. Panował mądrze, lecz krótko, po nim zaś na Enladzie nastało siedmiu królów. Kraina bogaciła się i żyła w pokoju. I wtedy zjawiły się smoki, najeżdżające zachodnie ziemie. Czarnoksiężnicy na próżno próbowali je powstrzymać. Król Akambar przeniósł dwór z Berili na Enladzie do miasta Havnor. Stamtąd wyruszył na czele floty przeciw najeźdźcom z Krain Kargadzkich i wyparł ich na wschód. Oni jednak nadal wysyłali łupieżcze statki, które zapuszczały się nawet na Morze Najgłębsze. Ostatni z królów, Maharion, zawarł pokój ze smokami i Kargami, zapłacił jednak olbrzymią cenę, kiedy zaś Pierścień Runiczny został złamany, Erreth-Akbe zginął w walce z wielkim smokiem, a Maharion Śmiały padł ofiarą zdrady, zdawało się, że na Archipelagu niepodzielnie zapanowało zło.

Wielu próbowało objąć tron Mahariona, nikt jednak nie zdołał go utrzymać, a spory pretendentów podzieliły kraj. Miejsce wspólnoty i sprawiedliwości zajęły kaprysy możnowładców. Szlachetnie urodzeni, kupcy i piraci, każdy, kto mógł sobie pozwolić na wynajęcie żołnierzy i czarnoksiężników, ogłaszał się władcą wybranych ziem i miast. Wodzowie czynili z pokonanych niewolników, lecz najemni chłopi także byli niewolnikami, albowiem tylko panowie bronili ich przed innymi wodzami łupiącymi wyspy i piratami nękającymi porty, a także bandami nieszczęsnych banitów, których głód popychał do rabunku".

Księga Mroku powstała pod koniec czasów, o których traktuje. To zbiór wzajemnie sprzecznych opowieści, częściowych biografii i zniekształconych legend. Jest jednym z nielicznych reliktów pochodzących z Mrocznych Lat, gdyż złaknieni pochwał, nie prawdziwych historii wodzowie palili książki, z których jakiś pozbawiony władzy biedak mógł nauczyć się, jak ją zdobyć.

Kiedy jednak do rąk wojownika trafiała księga wiedzy czarnoksięskiej, zwykle zamykał ją w skarbcu bądź oddawał najętemu przez siebie magowi. Na marginesach obok zaklęć i spisów imion, a także na ostatnich kartach owych ksiąg wiedzy czarownik bądź jego uczeń notował wybuch zarazy, głód, napaść, zmianę pana, a także zaklęcia użyte przy tych okazjach i ich skuteczność. Podobne zapiski ujawniają od czasu do czasu chwile jaśniejsze, lecz nadal otoczone ciemnością. Chwile te są niczym oświetlony statek widziany przez

moment w deszczową noc daleko w morzu.

O owych czasach traktują jeszcze pieśni, stare ballady i zaśpiewki z małych wysepek i spokojnych wyżyn Havnoru.

Wielki Port Havnor to miasto leżące w sercu świata, miasto białych wież nad zatoką. Na najwyższej z nich miecz Erreth-Akbego odbija pierwsze i ostatnie promienie słońca. Przez Havnor przepływa cały handel, całe rzemiosło i nauka Ziemiomorza, niezmierzone bogactwa Archipelagu. Tam też zasiada król, który powrócił po scaleniu Pierścienia i była to oznaka uzdrowienia świata. A w dawnych czasach w owym mieście mężczyźni i kobiety z wyspy rozmawiali ze smokami.

Havnor jest jednak także Wielką Wyspą, rozległą, bogatą krainą. W miastach w głębi lądu, na farmach pokrywających zbocza góry Onn praktycznie nic się nie zmienia. W tamtych okolicach warta zaśpiewania pieśń kiedyś znów zostanie zaśpiewana. Starcy w tamtejszych tawernach opowiadają o Morredzie, jakby znali go sami w czasach bohaterskiej młodości, a dziewki zaganiające krowy do obory snują opowieści o Kobietach Dłoni, zapomnianych wszędzie indziej, nawet na Roke, ale nie pośród owych cichych, zalanych promieniami słońca dróg i pól, w kuchniach, przy paleniskach, wokół których pracują i rozmawiają stateczne gospodynie.

W czasach królów magowie zbierali się na dworze enladzkim, a później w Havnorze, aby doradzać królowi i sobie nawzajem, korzystając ze swej mocy do osiągania celów, które uznali za słuszne. Lecz w owych mrocznych latach czarnoksiężnicy sprzedawali usługi temu, kto płacił najwięcej. Staczali pojedynki i walki na czary, nie dbając o zło, które czynią; czasem nawet czynili je świadomie. Głód i *zarazy,* wysychanie źródeł, wiosny bez deszczu i zimy bez wiosny, narodziny chorych, kalekich młodych wśród owiec i bydła, narodziny chorych i kalekich dzieci na wyspach — wszystko to przypisywano praktykom czarodziejów i czarownic, często nie bez podstaw.

Praktykowanie magii stało się zajęciem niebezpiecznym — chyba że ktoś zapewnił sobie ochronę silnego wodza, lecz nawet wtedy mógł zginąć w starciu z czarnoksiężnikiem potężniejszym od siebie. A jeśli mag przestał mieć się na baczności wśród zwykłych ludzi, także mógł zginąć, wyspiarze bowiem uważali go za źródło najgorszego zła, wcielenie grozy. W owych latach według zwykłych ludzi istniała wyłącznie czarna magia.

Wtedy właśnie wioskowe sztuczki i — przede wszystkim — kobiece czary zyskały sobie złą sławę, która przylgnęła do nich na dobre. Czarownice słono płaciły za uprawianie sztuki, którą uznały za własną. Opieka nad ciężarnymi niewiastami i zwierzętami, porody, nauka pieśni i rytuałów, doglądanie porządku w polu i ogrodzie, budowa i sprzątanie domu, dbanie o meble, wydobycie rud i metali

zawsze należały do obowiązków kobiet. Czarownice wymieniały się licznymi zaklęciami i urokami zapewniającymi powodzenie w owych przedsięwzięciach. Gdy jednak coś poszło nie tak podczas narodzin bądź w polu, winę przypisywano wiedźmie, a walki czarnoksiężników używających beztrosko trucizn i klątw do zapewnienia sobie tymczasowej przewagi bez względu na dalsze konsekwencje sprawiały, iż wypadki zdarzały się coraz częściej. Magowie wywoływali susze i powodzie, nieurodzaje, pożary i choroby, a za ich winy cierpiała wioskowa czarownica. Biedaczka nie wiedziała, czemu jej uzdrawiający urok przeklinał ranę i wywoływał gangrenę, czemu dziecko, które sprowadziła na świat, okazywało się imbecylem, dlaczego błogosławieństwo wypalało ziarno w bruzdach i niszczyło jabłka na drzewie. Ktoś jednak musiał za to zapłacić, a wiedźma bądź czarodziej byli pod ręką w samej wiosce i mieście, nie w zamku władcy czy twierdzy strzeżonej przez zbrojnych i ochronne zaklęcia. Czarodzieje i czarownice tonęli w zatrutych studniach, płonęli na dotkniętych suszą polach, ginęli pogrzebani żywcem, by użyźnić martwą ziemię.

Tak tedy stosowanie i nauka ich sztuki stały się niebezpieczne. Ci, którzy się nią zajmowali, często i tak należeli do grona wyrzutków, kalek, szaleńców, ludzi samotnych, starców — kobiet i mężczyzn mających niewiele do stracenia. Mądrzy mężczyźni i kobiety, szanowani i cieszący się zaufaniem mieszkańców, ustąpili pola groteskowym, nieporadnym, wioskowym czarownikom znającym tylko nędzne sztuczki i wiedźmom, których mikstury wywołują jedynie żądze, zazdrość i nienawiść. Magiczny talent u dziecka stał się czymś strasznym. Rodzice lękali się go i ukrywali.

Oto opowieść z owych czasów. Część z niej pochodzi z Księgi Mroku, inne fragmenty z Haynoru, z gospodarstw na górze Onn i wśród lasów Faliernu. Z podobnych urywków i fragmentów da się złożyć całą historię. Choć jest lekka i zwiewna, utkana na wpół z pogłosek i domysłów, może jednak okazać się prawdą. To opowieść o Założeniu Roke, a jeśli mistrzowie z Roke twierdzą, że nie tak to wyglądało, niech opowiedzą, jak szkoła powstała naprawdę. Czasy, w których Roke stała się wyspą czarnoksiężników, spowija bowiem mgła i możliwe, iż umieścili ją tam sami czarnoksiężnicy.

II. WYDRA

W naszym strumyku mieszka wydra,
Przebiegła i jak człowiek chytra,
Wszelkie magiczne zna zaklęcia,
Mowę człowieka i zwierzęcia,
A woda płynie bystro w dal,
A woda płynie w dal.

Wydra był synem szkutnika pracującego w dokach Wielkiego Portu Havnor. Imię użytkowe nadała mu matka. Pochodziła z farmy w wiosce Skraj Drogi na północny zachód od góry Onn. Przybyła do miasta jak wielu innych, w poszukiwaniu pracy. Szkutnik i jego rodzina, porządni ludzie, uczciwie pracujący w ciężkich czasach, woleli nie rzucać się w oczy, by nie sprowadzić na siebie nieszczęścia. Kiedy więc zrozumieli, że chłopak obdarzony został talentem magicznym, ojciec próbował wybić mu go z głowy.

— Równie dobrze mógłbyś bić chmurę za to, że deszcz z niej pada — powiedziała matka Wydry.

— Uważaj, byś nie wbił go w gniew — dodała ciotka.

— I żeby zaklęciem nie zwrócił na ciebie twego własnego pasa — rzekł wuj.

Chłopak jednak nie uciekł się do żadnych sztuczek. W milczeniu zbierał cięgi i uczył się ukrywać swój dar.

Magia wcale nie wydawała mu się czymś wielkim. Zaświecenie srebrzystego światełka w ciemnym pokoju, odnalezienie zgubionej szpilki samą myślą i naprawa uszkodzonych spojeń — po prostu przesuwał dłonią nad drewnem i przemawiał do niego — przychodziły mu łatwo, aż nie pojmował, czemu inni tak bardzo się tym przejmują. Ojciec jednak wściekał się, gdy chłopak ułatwiał sobie pracę. Kiedyś nawet, gdy Wydra przemawiał do drewna, ojciec uderzył go w usta i kazał posługiwać się wyłącznie narzędziami, w milczeniu.

— Zupełnie jakbyś znalazł wspaniały klejnot — próbowała wyjaśnić mu matka. — Cóż mógłby począć z diamentem ktoś z nas? Tylko ukryć. Każdy, kto miałby dość pieniędzy, by go od nas kupić, miałby też dość sił, by nas zabić. Ukrywaj swój talent i trzymaj się z daleka od wielkich ludzi i ich sztukmistrzów!

W owych czasach czarodziejów nazywano sztukmistrzami.

Jedną ze zdolności, jakie niesie ze sobą magiczna moc, jest rozpoznawanie mocy u innych. Czarodziej zawsze pozna czarodzieja. Ukrycie się wymaga wiedzy i umiejętności, a chłopak dysponował

wiedzą jedynie z zakresu budowy łodzi, którą to dziedzinę zgłębił już w wieku dwunastu lat. W owym czasie położna, która pomogła matce przy jego narodzinach, odwiedziła ich i powiedziała:

— Przysyłajcie do mnie Wydrę, gdy już skończy pracę. Musi poznać pieśni i przygotować się do dnia nadania imienia.

Tak też być powinno, bo to samo uczyniła dla najstarszej siostry chłopaka, rodzice zatem zaczęli posyłać go do niej wieczorami. Ona jednak nauczyła Wydrę czegoś więcej niż tylko pieśni o Stworzeniu. Wraz z grupką ludzi, zwykle nie rzucających się w oczy, a czasem o wątpliwej reputacji, dysponowała niewielkim magicznym darem. Wszyscy w sekrecie wymieniali się strzępkami ocalałej wiedzy. “Talent bez nauki jest jak statek bez steru", mówili Wydrze, ucząc go wszystkiego, co sami wiedzieli. Nie było tego wiele, kryły się w tym jednak zaczątki wielkiej sztuki i choć chłopak czuł się źle, oszukując rodziców, nie potrafił się oprzeć — chłonął wiedzę, uprzejmość i pochwały swych biednych nauczycieli. “To ci nie zaszkodzi, jeśli nie wykorzystasz swej wiedzy do wyrządzania szkody innym", mówili, a on chętnie przyrzekł, iż tego nie uczyni.

Nad strumieniem Serrenen, płynącym pod zachodnim murem miasta, położna nadała Wydrze jego prawdziwe imię, pod którym znany jest do dziś na wyspach daleko od Havnoru.

Wśród jego nauczycieli był też starzec nazywany Zmianą. Nauczył on Wydrę kilku zaklęć iluzji. A kiedy chłopak skończył piętnaście lat, starzec zabrał go na pole obok strumienia, by pokazać mu jedyne znane sobie zaklęcie prawdziwej przemiany.

— Najpierw zobaczmy, jak zamieniasz tamten krzak w podobiznę drzewa — rzekł.

Wydra posłuchał natychmiast. Łatwość, z jaką przychodziły mu iluzje, zaniepokoiła starego człowieka. Wydra musiał błagać go i nękać o następną lekcję. W końcu, klnąc się na swe prawdziwe tajemne imię, przysiągł, że jeśli pozna wielkie zaklęcie Zmiany, skorzysta z niego wyłącznie dla ocalenia życia własnego bądź innego człowieka. Wówczas starzec nauczył go zaklęcia. Ale co mi po nim, skoro muszę je ukrywać, pomyślał Wydra.

Mógł natomiast swobodnie korzystać z tego, czego się nauczył, pracując z ojcem i wujem w dokach. Powoli stawał się zręcznym rzemieślnikiem. Nawet ojciec musiał to przyznać.

Losen, pirat, który sam się nazwał królem Morza Najgłębszego, był wówczas najpotężniejszym wodzem w mieście oraz na wschód i północ od Havnoru. Haracze spływające z bogatych ziem przeznaczał na powiększanie własnej armii i floty, które wysyłał po niewolników i łupy z innych wysp. Wuj Wydry lubił powtarzać, że port żyje dzięki Losenowi. Szkutnicy byli mu wdzięczni, bo mieli pracę. W czasach tych bowiem ludzie szukający zarobku kończyli zwykle jako żebracy,

we dworze Mahariona zaś harcowały szczury. “Pracujemy uczciwie — dodawał ojciec Wydry — a to, do czego zostanie wykorzystane nasze dzieło, nie powinno nas w końcu obchodzić".

Lecz inna wiedza, którą wpojono Wydrze, sprawiła, że stał się bardzo czuły na podobne sprawy. Dręczyło go sumienie. Wielka galera, którą właśnie budowali, miała popłynąć na wojnę, poruszana wiosłami niewolników Losena, i sprowadzić kolejnych niewolników. Myśl o tym, ile zła sprawią ludzie dzięki temu statkowi, nie dawała mu spokoju.

— Czemu nie możemy budować rybackich łodzi, jak kiedyś? — spytał.

— Bo rybaków nie stać na zapłatę — odparł ojciec.

— Nie płacą tyle co Losen, owszem, ale utrzymalibyśmy się z tego — upierał się Wydra.

— Myślisz, że mogę odrzucić zamówienie króla? Chcesz, bym zasiadł przy wiosłach obok innych niewolników? Rusz głową, chłopcze!

Toteż Wydra pracował z jasnym umysłem i gniewem w sercu. Żyli jak w więzieniu. Po co komu moc, pomyślał, jeśli nie po to, by się uwolnić?

Sumienie rzemieślnika nie pozwoliłoby mu uszkodzić desek statku. Sumienie czarodzieja podpowiadało, iż mógłby rzucić na niego klątwę, zaklęcie wplecione w same belki i żebra. Czy w ten sposób wykorzystałby swój tajemny dar w słusznym celu? Owszem, wyrządziłby krzywdę, ale tylko krzywdzicielom. Nie wspominał o tym żadnemu nauczycielowi. Jeśli postępował źle, to nie z ich winy i nie powinni o tym wiedzieć. Długo zastanawiał się, co zrobić, przygotowywał się, starannie budując zaklęcie. Stanowiło ono odwrotność uroku znajdowania. Urok gubienia. Tak je nazwał. Statek będzie świetnie pływał, słuchał steru i manewrował, ale nie do końca.

Tylko tak potrafił przeszkodzić wykorzystaniu uczciwej pracy do niegodnych celów. Był z siebie bardzo zadowolony. Gdy galera została już zwodowana (i zgrabnie kołysała się na fali; wada miała ujawnić się dopiero na pełnym morzu), nie potrafił dłużej ukrywać przed nauczycielami tego, co zrobił. Podzielił się zatem nowiną z niewielkim kręgiem starców i położnych, a także z młodym garbusem, który umiał rozmawiać z umarłymi, i ślepą dziewczyną znającą imiona różnych istot. Opowiedział im o swej sztuczce. Ślepa dziewczyna zaśmiała się, starsi jednak rzekli:

— Uważaj. Bądź ostrożny. Nie ujawniaj się.

***

Losen miał wśród swych ludzi mężczyznę, który zwał się Ogarem, bo jak sam mawiał, miał nosa do czarów. Jego zadaniem było obwąchiwanie jedzenia i picia Losena, jego strojów i kobiet, wszystkiego, co wróg mógł wykorzystać przeciwko królowi piratów. Badał też uważnie wszystkie okręty. Statek to krucha łupina wśród niebezpiecznego żywiołu, wrażliwa na zaklęcia i uroki. Gdy tylko Ogar znalazł się na pokładzie nowej galery, poczuł coś dziwnego.

— No, no — mruczał. — Czyja to sprawka? — Podszedł do steru i położył na nim dłoń. — Sprytne! — mruknął do siebie. — Ale kto to zrobił? Chyba ktoś nowy. — Z uznaniem pociągnął nosem. — Bardzo sprytne — dodał.

Przybyli do domu przy ulicy Szkutników po zmroku. Wyważyli drzwi. Ogar stojący pośród grupki zbrojnych rzekł:

— Tylko jego. Resztę puśćcie. — Zwracając się do Wydry, dodał niskim, przyjaznym tonem: — Nie broń się.

Wyczuwał w młodzieńcu wielką siłę, tak wielką, że nieco się go obawiał. Lecz strach Wydry okazał się zbyt silny, a umiejętności zbyt skąpe, by mógł skorzystać z magii, aby się uwolnić bądź powstrzymać napastników. Rzucił się na nich i zaczął walczyć niczym zwierzę, póki go nie ogłuszyli. Potem złamali szczękę ojcu i pobili do nieprzytomności ciotkę i matkę, by ich nauczyć, że nie warto wychowywać sztukmistrzów. Zabrali Wydrę i odeszli.

Na wąskiej uliczce nie otwarły się żadne drzwi. Nikt nie wyjrzał, by przekonać się, co to za hałas. Minęło sporo czasu od odejścia zbrojnych, nim pierwsi sąsiedzi wykradli się z domów i zaczęli pocieszać rodzinę Wydry.

— Ten magiczny dar to prawdziwe przekleństwo! — powtarzali. Ogar poinformował swojego pana, że ujęli już tego, który rzucił czar.

— Dla kogo pracował? — spytał Losen.

— Pracował w waszej stoczni, wasza wysokość. — Losen uwielbiał wyniosłe tytuły.

— Kto go wynajął, żeby przeklął statek, głupcze?

— Najwyraźniej był to jego własny pomysł.

— Ale czemu? Co mu z tego przyszło?

Ogar wzruszył ramionami. Nie zamierzał mówić Losenowi, że ludzie darzą go bezinteresowną nienawiścią.

— Mówisz, że ma dar. Możesz go wykorzystać?

— Mogę spróbować, wasza wysokość.

— Poskrom go albo urządź mu pogrzeb — polecił Losen i zajął się ważniejszymi sprawami.

Skromni nauczyciele Wydry wpoili mu dumę i przekazali głęboką pogardę wobec czarnoksiężników, którzy pracowali dla takich ludzi jak Losen, pozwalali, by strach bądź chciwość zwróciły magię na

manowce. Dla niego nie było niczego gorszego niż podobna zdrada magicznej sztuki. Toteż martwił go fakt, że nie potrafi gardzić Ogarem.

Zamknięto go w składzie w jednym ze starych pałaców zajętych przez Losena. Pomieszczenie nie miało okien. Drzwi zrobiono z dębowych desek okutych żelazem. Rzucono na nie zaklęcia, które zatrzymałyby nawet znacznie bardziej doświadczonego maga. Losenowi służyli bardzo potężni czarnoksiężnicy.

Ogar nie uważał się za jednego z nich. “Mam tylko nos", mawiał.

Co dzień wpadał z wizytą, żeby sprawdzić, jak Wydra dochodzi do siebie po pobiciu. Wydrze wydawał się szczery i pełen dobrych chęci.

— Jeśli nie zechcesz dla nas pracować, zabiją cię — rzekł Ogar. — Losen nie może pozwolić, byś działał na wolności. Lepiej zatrudnij się u niego, póki cię chce.

— Nie mogę.

Dla Wydry było to zwykłe stwierdzenie przykrego faktu, nie decyzja moralna. Ogar spojrzał na niego z aprobatą. Żyjąc u boku króla piratów, miał powyżej uszu gróźb i przechwałek brutali i chwalipiętów.

— W czym jesteś najmocniejszy?

Wydra nie miał ochoty odpowiadać. Polubił Ogara, ale nie zamierzał mu ufać.

— W zmianach postaci — wymamrotał w końcu.

— Przyjmowaniu różnych postaci?

— Nie, zwykłych sztuczkach. Jak pozorna zamiana liścia w bryłkę złota.

W owych czasach nie miano jeszcze ustalonych nazw dla magicznych sztuk, nie dostrzegano też łączących ich więzi. Jak powiedzieliby później mędrcy z Roke, wiedza ówczesnych ludzi pozbawiona była podstaw naukowych. Ogar jednak orientował się doskonale, że jego więzień ukrywa swe zdolności.

— Nie potrafisz zmienić własnej postaci, nawet pozornie?

Wydra wzruszył ramionami. Kłamstwa przychodziły mu z trudem. Sądził, że dzieje się tak, bo nie ma doświadczenia, Ogar jednak wiedział, że sama magia stawia opór kłamstwom. Sztuczki, złudzenia, udawane rozmowy ze zmarłymi to fałszywa magia, szkło wobec diamentu, mosiądz przy złocie. Są oszukaństwem; na podobnej glebie kłamstwo wręcz rozkwita. Natomiast sztuka magiczna, choć można dzięki niej sprawiać także zło, wiąże się z tym, co prawdziwe. Jej słowa to prawdziwe słowa. Prawdziwemu czarodziejowi trudno kłamać o swej sztuce. W głębi serca wie, że raz wymówione kłamstwo może zmienić cały świat.

Ogar pożałował chłopaka.

— Wiesz chyba, że gdyby przesłuchał cię Gelluk, jednym słowem wydobyłby z ciebie wszystko, co ci wiadomo, a jednocześnie pozbawił rozumu? Widziałem, co zostawia po sobie Biała Twarz, gdy zadaje pytania. — Mówił o głównym magu Losena, Gelluku, białym człowieku z północy. W Havnorze powszechnie się go lękano. — Czy potrafisz pracować z wiatrem?

Wydra zawahał się.

— Tak.

— Masz worek?

Zaklinacze pogody zawsze nosili przy sobie skórzane worki, w których, jak twierdzili, przechowywali wiatry. Rozwiązywali swe worki, by wypuścić przychylny wiatr bądź schwytać przeciwny. Może były to tylko popisy, lecz każdy zaklinacz pogody miał swój worek, nieważne — wielki czy mały.

— W domu — rzekł Wydra. Nie kłamał. Rzeczywiści miał w domu worek; przechowywał w nim najlepsze narzędzia i poziomice. Nie kłamał też co do wiatru. Kilka razy udało mu się przywołać magiczny wiatr i wypełnić nim żagiel łodzi. Nie miał natomiast pojęcia, jak walczyć ze sztormem, a to musi wiedzieć każdy zaklinacz pogody. Uznał jednak, iż woli zginąć podczas huraganu, niż dać się zabić w tej dziurze.

— Nie zechciałbyś wykorzystać swych zdolności w służbie króla?

— Ziemiomorze nie ma króla — oznajmił młodzieniec stanowczo.

— W służbie mojego pana — poprawił się Ogar, nie tracąc cierpliwości.

— Nie. — Wydra znów się zawahał. Czuł, że winien jest swemu rozmówcy wyjaśnienie. — To nie tak, że nie chcę. Nie mogę. Myślałem, czy nie wbić kołków w poszycie galery obok kilu. Na pełnym morzu, gdy deski zaczęłyby pracować, kołki by wypadły. — Ogar przytaknął. — Ale nie mogłem. Jestem szkutnikiem. Nie potrafię zbudować statku, który zatonąłby razem z ludźmi. Moje ręce nie były do tego zdolne. Zrobiłem więc, co mogłem. Sprawiłem, że galera słuchałaby siebie, nie jego.

Ogar uśmiechnął się.

— A im nie udało się tego odczynić. Biała Twarz cały dzień łaził wczoraj po statku, mamrocząc pod nosem. Kazał wymienić ster.

— To nic nie da.

— Mógłbyś zdjąć to zaklęcie.

Na wymęczonej, poobijanej twarzy Wydry błysnął uśmieszek samozadowolenia.

— Nie. Nie sądzę, by komukolwiek się to udało.

— Szkoda. To mogłoby być niezłą kartą przetargową. Wydra nie odpowiedział.

— Nos to rzecz pożyteczna, którą można sprzedać — ciągnął

Ogar. — Nie żebym tęsknił za konkurencją, ale szukacz zawsze znajdzie pracę. Tak powiadają. Byłeś kiedyś w kopalni?

U magów umiejętność zgadywania bliska jest wiedzy ścisłej, choć czarodziej zwykle nie zdaje sobie sprawy z tego, co właściwie wie. Pierwszą oznaką talentu Wydry, gdy chłopak miał dwa, trzy lata, była zdolność odnajdywania wszystkiego co zagubione — upuszczonego gwoździa, odłożonego na bok narzędzia. Wystarczyło, by rozumiał jego nazwę. W dzieciństwie uwielbiał wymykać się samotnie za miasto i wałęsać ścieżkami po wzgórzach. Podeszwami bosych stóp i całym ciałem wyczuwał wówczas ukryte pod ziemią cieki wodne, żyły i skupiska rudy, splatające się warstwy różnych rodzajów skały i ziemi, zupełnie jakby spacerował po ogromnej budowli. Widział komnaty i korytarze, zejścia do przestronnych podziemi, połysk srebra na ścianach, jak gdyby jego ciało łączyło się z ziemią. Znał jej narządy, tętnice i mięśnie tak jak własne. Moc ta radowała go w dzieciństwie. Nigdy nie próbował jej wykorzystać. To był jego sekret.

Nie odpowiedział na pytanie Ogara.

— Co jest pod nami? — Ogar wskazał podłogę wyłożoną niegładzonymi kamiennymi płytami.

Chłopak milczał chwilę.

— Glina i żwir, a niżej skała, w której kryją się granaty. Warstwa tych skał leży pod całą tą częścią miasta. Nie znam ich nazw.

— Mógłbyś się nauczyć.

— Umiem budować łodzie, żeglować.

— Lepiej się trzymaj z dala od statków, walk, abordaży. Król otworzył stare kopalnie w Samory po drugiej stronie góry. Tam zejdziesz mu z oczu. Musisz dla niego pracować, jeśli chcesz pozostać przy życiu. Dopilnuję, by cię tam wysłano. Jeśli zechcesz.

Wydra znowu przez chwilę milczał.

— Dzięki — odezwał się wreszcie i spojrzał na Ogara przelotnie, pytająco. Zupełnie jakby próbował go osądzić.

Ten człowiek uwięził go, patrzył, jak jego zbrojni biją do nieprzytomności ojca i kobiety z rodziny Wydry, nie powstrzymał ich — a jednak przemawiał jak przyjaciel. Czemu? — pytał chłopak spojrzeniem.

— My, sztukmistrze, powinniśmy trzymać się razem — odpowiedział Ogar na niewypowiedziane pytanie. — Ci, którym brak naszej sztuki, którzy mają wyłącznie bogactwa, stawiają nas przeciw sobie. To oni zyskują, nie my. Sprzedajemy im naszą moc. Czemu? Gdybyśmy razem wzięli się do pracy, lepiej by się nam wiodło. Tak myślę.

Wysyłając młodzieńca do Samory, Ogar miał dobre zamiary, nie zdawał sobie jednak sprawy, jak silna jest wola Wydry. Podobnie zresztą sam Wydra. Zanadto przywykł do słuchania innych, by

dostrzec, że w istocie zawsze kroczył własną ścieżką. Był też za młody, by wierzyć, że zła decyzja może doprowadzić go do zguby.

Gdy tylko wyprowadzą go z celi, zamierzał użyć zaklęcia starego Zmiany, przemienić się i uciec. Niewątpliwie groziła mu śmierć, mógł zatem skorzystać z zaklęcia. Nie potrafił się tylko zdecydować, jaką postać przybrać — ptaka, smużki dymu? Co byłoby najbezpieczniejsze? Lecz ludzie Losena przywykli do sztuczek magów, toteż podali mu narkotyk i nieprzytomnego rzucili niczym worek owsa na zaprzężony w muły wóz. Gdy Wydra zaczął okazywać oznaki powrotu przytomności, jeden z mężczyzn ogłuszył go ciosem w głowę, komentując, że powinien więcej odpoczywać.

Kiedy słaby, dręczony bólem głowy i mdłościami po truciźnie w końcu doszedł do siebie, znajdował się w pomieszczeniu o ceglanych ścianach i zamurowanych oknach. Drzwi nie miały zasuwy ani widocznego zamka, gdy jednak spróbował wstać z ziemi, poczuł opasujące ciało i umysł więzy magii, silne, niezniszczalne, zaciskające się przy każdym ruchu. Wstał, ale nie mógł już postąpić choćby kroku w stronę drzwi. Nie zdołałby unieść ręki. Było to straszne wrażenie, zupełnie jakby jego mięśnie należały do kogoś innego. Usiadł na ziemi, starając się nie ruszać. Obręcz zaklęć wokół piersi nie pozwalała mu głębiej odetchnąć. Umysł także wydawał się skrępowany, jakby myśli stłoczono w za małej przestrzeni.

Po długim czasie do środka weszło kilku ludzi. Nie mógł nic zrobić. Bezradnie czekał, podczas gdy kneblowali go i wiązali mu ręce za plecami.

— Teraz nie możesz rzucać czarów i zaklęć, młodzieńcze — oznajmił mężczyzna o szerokich ramionach i groźnej twarzy; inni nazywali go Batem. — Możesz jednak kiwać głową, prawda? Wysłali cię tu jako różdżkarza. Jeśli dobrze się spiszesz, zasłużysz sobie na smaczną strawę i spokojny sen. Masz szukać cynobru. Mag króla twierdzi, *że* jest gdzieś tutaj, w okolicy starej kopalni. Lepiej zatem, żebyśmy go znaleźli. Teraz cię wyprowadzę. Jestem jak różdżkarz. Ty jesteś moją różdżką. Ty prowadzisz. Jeśli zechcesz skręcić w jedną bądź drugą stronę, obróć głowę, a gdy zorientujesz się, że żyła jest pod nami, tupnij, o tak. Umowa stoi? Jeśli ty będziesz grał uczciwie, ja także. — Czekał, lecz Wydra stał bez ruchu. — A dąsaj się — powiedział Bat. — Jeśli nie spodoba ci się ta *praca, są* jeszcze piece.

Wyprowadził Wydrę na oślepiające poranne słońce. Gdy chłopak wyszedł z celi, poczuł, jak magiczne pęta opadają. Jednakże wokół budynków rozsnuto inne zaklęcia. Szczególnie gęsto otaczały wysoką kamienną wieżę. W powietrzu czuł lepkie nici oporu i odrazy. Kiedy spróbował się przez nie przecisnąć, twarz i brzuch zabolały gwałtownie, jakby ktoś dźgnął je nożem. Przerażony spuścił wzrok w poszukiwaniu rany, niczego jednak nie dostrzegł. Skrępowany i

zakneblowany, pozbawiony głosu i rąk, którymi rzucał zaklęcia, nie mógł niczego zrobić. Bat zawiązał mu wokół szyi obrożę splecioną z rzemieni. Smycz mocno trzymał w dłoni. Pozwolił chłopakowi wejść w kilka zaklęć; po tym doświadczeniu Wydra zaczął ich unikać. Natychmiast dostrzegał, gdzie się kryją. Piaszczyste ścieżki skręcały, by je ominąć. Uwiązany niczym pies, powoli szedł naprzód. Rozejrzał się wokół, drżąc z obrzydzenia i wściekłości: kamienna wieża, stosy drewna obok szerokiego wejścia, widoczne w dole zardzewiałe koła i maszyny, wielkie sterty żwiru i gliny. Zakręciło mu się w obolałej głowie.

— Jeśliś różdżkarzem, zaczynaj szukać. — Tuż obok niego stanął Bat i spojrzał mu prosto w twarz. — A jeśli nie, i tak szukaj. W ten sposób dłużej pozostaniesz na powierzchni.

Z kamiennej wieży wynurzył się wychudzony człowiek. Minął ich, idąc szybkim, lekko rozkołysanym krokiem prosto przed siebie. Jego podbródek lśnił, pierś była mokra od ściekającej z ust śliny.

— Oto wieża pieców — oznajmił Bat. — Tam właśnie gotuje się cynober, by wydobyć z niego metal. Piecowi umierają po roku do dwóch. Dokąd, różdżkarzu?

Po chwili Wydra obrócił głowę w lewą stronę. Ruszyli w kierunku długiej, pozbawionej drzew doliny, mijając trawiaste wzgórza i pagórki.

— Z tego miejsca już dawno wszystko wydobyto — oznajmił Bat. Wydra zaczął wyczuwać pod stopami dziwną krainę — puste szyby, mroczne komnaty w ciemnej ziemi, pionowy labirynt, najgłębsze studnie wypełnione nieruchomą wodą.

— Nigdy nie było tu wiele srebra, a wodny metal to też pieśń przeszłości. Posłuchaj, chłopcze, wiesz w ogóle, co to jest cynober?

Wydra potrząsnął głową.

— Pokażę ci. Tego właśnie szuka Gelluk: rudy wodnego metalu. Wodny metal pochłania inne metale, nawet złoto. Gelluk nazywa go Królem. Jeśli znajdziesz mu Króla, będzie cię dobrze traktował. Często nas odwiedza. Chodź, pokażę ci. Pies nie może tropić, póki nie złapie zapachu.

Bat zaprowadził go do kopalni i pokazał mu rudy, a także typ ziemi, w której najczęściej występowały. Na końcu długiego tunelu pracowała grupka górników.

W Ziemiomorzu w kopalniach zawsze pracowały kobiety — może dlatego że były drobniej zbudowane niż mężczyźni i zręczniej poruszały się w ciasnych tunelach, a może ponieważ łączyła je bliska więź z ziemią. Najprawdopodobniej jednak była to kwestia tradycji. W przeciwieństwie do robotników w wieży pieców były wolne. Bat opowiadał, że Gelluk mianował go zarządcą kopalni, ale kobiety nie pozwalają mu w niej pracować. Szczerze wierzyły, że mężczyzna

machający łopatą i stemplujący strop przynosi pecha.

— Mnie to odpowiada — dodał Bat.

Jasnooka niewiasta o rozczochranych włosach ze świecą przywiązaną do czoła odłożyła kilof i zademonstrowała Wydrze odrobinę cynobru w wiadrze: brązowoczerwone grudki i okruchy. Na warstwie ziemi, którą rozbijały kobiety, tańczyły cienie, stare stemple trzeszczały, ze stropu opadał pył. Panował tu mrok i chłód; komory i korytarze okazały się tak niskie i wąskie, że musieli się pochylać i przepychać z trudem. W niektórych miejscach strop się zapadł. Drabiny były przepróchniałe. Kopalnia okazała się przerażającym miejscem, a jednak Wydra czuł się w niej bezpiecznie i niemal żałował, że musi z powrotem wyjść na słońce.

Bat nie zaprowadził go do wieży pieców, lecz z powrotem do baraków. Z zamkniętego pomieszczenia wyniósł niewielką miękką sakiewkę z grubej skóry. Wyraźnie ciążyła mu w dłoniach. Otworzył ją i pokazał Wydrze ukrytą w środku maleńką, lśniącą kałużę. Gdy zaciągnął rzemyki, metal poruszył się w sakwie, napierając na skórę niczym zwierzę próbujące wyrwać się na zewnątrz.

— Oto Król — oznajmił Bat tonem, w którym krył się podziw… bądź nienawiść.

Choć sam nie władał mocą, okazał się człowiekiem znacznie groźniejszym niż Ogar. Podobnie jednak jak tamten był brutalny, lecz nie okrutny. Żądał posłuszeństwa i niczego ponadto. Wydra całe życie oglądał w dokach Havnoru niewolników i ich panów. Wiedział, że dopisało mu szczęście. Przynajmniej za dnia, gdy Bat był jego panem.

Jeść mógł wyłącznie w celi; tam zdejmowano mu knebel. Zwykle dostawał chleb pokropiony cuchnącym olejem i cebulę. Choć stale dręczył go głód, magiczne więzy sprawiały, że ledwie mógł przełykać jedzenie. Smakowało metalem, popiołem. Noce były długie i przerażające, zaklęcia napierały na niego, ciążyły, budziły raz po raz zalęknionego, z trudem łapiącego oddech. Nie potrafił się skupić. W celi panowała ciemność, nie mógł bowiem przywołać magicznego światła. Nadejście dnia przyjmował z niewypowiedzianą ulgą, choć oznaczało, że znów związą mu ręce za plecami, zakneblują usta, a na szyję założą obrożę.

Bat wyprowadzał go co dzień wczesnym rankiem; często wędrowali aż do późnego południa. Czekał cierpliwie. Nie pytał, czy Wydra wyczuwa ślady rudy, nie pytał, czy w ogóle jej szuka, czy tylko udaje. Sam Wydra nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Podczas tych bezcelowych wędrówek nagle w jego umyśle pojawiała się wiedza z podziemi. On zaś próbował się przed nią zamykać.

Nie będę pracował w służbie zła, powtarzał w duchu.

Potem jednak światło słońca i świeże powietrze go uspokajały. Nagie stwardniałe podeszwy wyczuwały suchą trawę i wiedział, że

pod korzeniami trawy w mroku ziemi płynie strumień, pokonuje szeroką skalną półkę poszatkowaną warstwami miki. Pod półką leży pieczara, w której ścianach pęcznieją cienkie, szkarłatne, kruche żyły cynobru… Nie okazał tego po sobie, uznawszy, że powstająca w jego głowie mapa podziemi może zostać wykorzystana w dobrej sprawie — jeśli tylko on sam się dowie, jak tego dokonać.

Po dziesięciu dniach Bat oznajmił:

— Przyjeżdża pan Gelluk. Jeżeli nie dostanie rudy, znajdzie sobie nowego różdżkarza.

Wydra z ponurą miną pokonał kolejną milę. Potem skręcił, prowadząc Bata na wzgórze, niedaleko starej kopalni. Tam skinął głową i tupnął.

Gdy w celi Bat osobiście rozwiązał go i usunął knebel, Wydra rzekł:

— Jest tam trochę rudy. Dostaniecie się do niej, przedłużając stary tunel prosto jak strzelił jakieś dwadzieścia stóp.

— Dużo?

Wydra potrząsnął głową.

— Malutka porcyjka, co?

Chłopak milczał.

— To mi odpowiada — powiedział Bat.

Dwa dni później, gdy otwarli stary szyb i zaczęli kopać w stronę rudy, zjawił się mag. Bat zostawił Wydrę na dworze, siedzącego w słońcu. Chłopak był mu wdzięczny. Wolał to niż celę w barakach. Nie mógł siedzieć wygodnie ze związanymi rękami i zakneblowanymi ustami, lecz wiatr i słońce były prawdziwym błogosławieństwem. Mógł też oddychać głęboko i drzemać, nie myśląc o tym, że ziemia zasypuje mu usta i nozdrza. Tylko takie sny nawiedzały go nocami w celi.

Prawie już zasnął na ziemi w cieniu obok baraku. Zapach kłód ułożonych w stosy pod murem wieży pieców przywołał wspomnienia rodzinnych doków, woń świeżego drewna, gdy hebel przesuwa się po gładkiej, dębowej desce. Coś — jakiś odgłos czy ruch — wyrwało go z drzemki. Uniósł wzrok i ujrzał nad sobą czarnoksiężnika.

Gelluk miał fantastyczny strój; w owych czasach magowie często się tak nosili. Długa szkarłatna szata z jedwabiu z Lorbanery, haftowana złotą i czarną nicią w runy i symbole, i szpiczasty kapelusz o szerokim rondzie sprawiały, że wydawał się wyższy niż zwykły człowiek. Wydra nie musiał patrzeć na ubranie, by rozpoznać maga. Poznał dłoń, która utkała krępujące go więzy. Całymi nocami przeklinał kwaśny smak i dławiący uścisk owych kajdan.

— Chyba znalazłem mojego małego szukacza — powiedział Gelluk. Głos miał głęboki i miękki niczym dźwięk wiolonczeli. — Śpi jak człowiek, który wykonał kawał dobrej roboty. Posłałeś ich śladem

Czerwonej Matki, co? Czy znałeś Czerwoną Matkę, nim tu przybyłeś? Jesteś dworakiem Króla? Niepotrzebne nam sznury i węzły.

Jednym pstryknięciem rozwiązał ręce Wydry. Knebel opadł na ziemię.

— Mógłbym cię nauczyć, jak to się robi. — Czarnoksiężnik z uśmiechem patrzył, jak chłopak rozciera obolałe przeguby i porusza zdrętwiałymi wargami. — Ogar mówił, że wyglądasz obiecująco i jeśli natrafisz na właściwego przewodnika, możesz daleko zajść. Chciałbyś odwiedzić królewski dwór? Mogę cię tam zabrać. Ale może nie wiesz, o jakim królu mówię.

Istotnie, Wydra nie był pewien, czy mag ma na myśli pirata, czy też rtęć. Zaryzykował jednak i szybkim gestem wskazał kamienną wieżę.

Czarnoksiężnik zmrużył oczy. Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

— Znasz jego imię?

— Wodny metal — rzekł Wydra.

— Tak nazywają go prostacy. Albo rtęcią, żywym srebrem, ciężką wodą. Ci jednak, którzy mu służą, zwą go Królem, Wszechkrólem, Ciałem Księżyca. — Mag twarz miał wielką i pociągłą, bielszą niż jakiekolwiek oblicze, z jakim zetknął się wcześniej Wydra. Spoglądały z niej niebieskie oczy. Na brodzie i policzkach tu i ówdzie wyrastały siwe i czarne włosy. Spokojny, szeroki uśmiech ukazywał małe zęby. Kilku z nich brakowało. — Ci, którzy umieją naprawdę widzieć, zawsze postrzegali go takiego, jaki jest naprawdę: to władca wszystkich substancji. W nim kryje się fundament mocy. Wiesz, jak go nazywamy w ciszy jego pałacu?

Wysoki mężczyzna w wysokim kapeluszu usiadł nagle na ziemi obok Wydry, bardzo blisko. Jego oddech pachniał ziemią. Jasne oczy spojrzały wprost w źrenice chłopaka.

— Chciałbyś wiedzieć? Możesz dowiedzieć się wszystkiego, czego zapragniesz. Nie muszę mieć przed tobą sekretów ani ty przede mną. — I roześmiał się, niegroźnie, z radością. Ponownie spojrzał na Wydrę. Jego wielka biała twarz była gładka, zamyślona. — Masz w sobie moc. Wiele tropów, wiele sztuczek. Sprytny z ciebie chłopak, ale nie za sprytny. To dobrze. Nie za sprytny, by się uczyć jak inni… Będę cię uczył, jeśli zechcesz. Lubisz się uczyć? Lubisz wiedzę? Chciałbyś poznać imię, jakim nazywamy Króla, gdy przebywa samotnie w swej jasności wśród kamiennych murów? Jego imię brzmi Turres. Znasz je? To słowo w języku Wszechkróla. Jego własne imię, w jego własnej mowie. W naszym przyziemnym języku nazwalibyśmy go Nasieniem. — Poklepał dłoń Wydry. — Niesie bowiem życie, zapładnia. Nasienie, źródło władzy i mądrości. Sam zobaczysz, przekonasz się. Chodź. Chodź. Zobacz, jak Król biega pośród swych

poddanych. Uwalnia się od nich. — Wstał nagle, energicznie, trzymając dłoń chłopaka i z zaskakującą siłą pociągając go za sobą. Śmiał się głośno, podniecony.

Wydra miał wrażenie, jakby ktoś przywrócił go do zwykłego życia po nieskończonym złowrogim okresie półświadomości. Dotknięcie czarnoksiężnika nie niosło grozy zaklęcia, lecz dar energii i nadziei. Nakazywał sobie w duchu nie ufać temu człowiekowi. Pragnął mu jednak zaufać, uczyć się od niego. Gelluk był potężny, dziwny, władczy, a jednak go uwolnił. Pierwszy raz od kilku tygodni Wydra mógł poruszać się z niespętanymi rękami, nieskrępowany zaklęciem.

— Tędy, tędy — mamrotał Gelluk. — Nic ci się nie stanie.

Podeszli do drzwi wieży pieców, wąskiego otworu w murze grubym na trzy stopy. Czarnoksiężnik ujął ramię Wydry, chłopak bowiem się zawahał.

Bat mówił mu, że pary metalu unoszące się z rozgrzanej rudy wywołują chorobę i śmierć ludzi pracujących w wieży. Wydra nigdy do niej nie wchodził. Nie widział też, by robił to Bat. Raz zbliżył się do niej dostatecznie, by wiedzieć, że otaczają ją więzienne zaklęcia, które oszołomią, schwytają i zranią każdego niewolnika próbującego ucieczki. Teraz czuł, jak owe zaklęcia ustępują niczym włókna pajęczyny, pasma ciemnej mgły przed magiem, który je stworzył.

— Nie bój się, oddychaj. — Gelluk roześmiał się i Wydra z trudem się zmusił, by nie wstrzymywać oddechu, gdy obaj weszli do wieży.

Środek wielkiej, sklepionej komnaty zajmowało ogromne palenisko. Na tle płomieni czarne, krzątające się pospiesznie, chude jak patyki sylwetki wrzucały rudę na płonące kłody. Ryczący ogień podsycały wielkie miechy. Inni niewolnicy przynosili wciąż świeże drewno i poruszali miechami. Kolejne pomieszczenia wznosiły się spiralą ku wierzchołkowi wieży, poprzez dym i opary. W owych komnatach, jak mówił mu Bat, chwytano pary rtęci i skraplano je, następnie znów ogrzewano i skraplano, aż w końcu, w najwyższej, do kamiennej misy spływał czysty metal — teraz, ponieważ mieli już tylko ubogą rudę, była go zaledwie kropla czy dwie dziennie.

— Nie bój się — powtórzył Gelluk. Jego silny, melodyjny głos zagłuszał poświstujące sapanie wielkich miechów i ryk płomieni. — Chodź, zobacz, jak unosi się w powietrzu, jak się oczyszcza. Oczyszcza też swych poddanych. — Pociągnął Wydrę na skraj paleniska. Jego oczy połyskiwały w oślepiającym blasku ognia. — Złe duchy pracujące dla Króla stają się czyste — rzekł, zbliżając usta do ucha chłopaka. — Gdy tu harują, skazy i nieczystości wypływają z nich, brudy i choroby wyciekają z ich ran. A gdy się wypalą i ulegną oczyszczeniu, mogą polecieć w górę, w górę, aż na dwór Króla. Chodź ze mną, chodź, na szczyt wieży, gdzie ciemna noc wypluwa z siebie księżyc.

Wydra w ślad za nim wdrapał się na kręte schody, z początku

szerokie, potem coraz węższe. Mijali komory parowania z rozpalonymi do czerwoności piecami, których kominy wiodły do pokojów oczyszczania. Tam nadzy niewolnicy zeskrobywali ze ścianek sadzę ze spalonej rudy i ponownie wrzucali ją do pieców. W końcu mag i Wydra dotarli na sam szczyt. Gelluk odwrócił się do niewolnika przycupniętego przy krawędzi szybu.

— Pokaż mi Króla!

Niewolnik, niski i chudy, łysy, z dłońmi i ramionami pokrytymi ropiejącymi wrzodami, zdjął pokrywę z kamiennego zbiornika obok szybu. Gelluk niecierpliwie jak dziecko zajrzał do środka.

— Taki maleńki — mruknął. — Taki młody. Mały książę, królewiątko, pan Turres. Nasienie świata! Klejnot duszy!

Sięgnął za pazuchę i wyjął sakwę z pięknej skóry haftowanej srebrną nicią. Delikatną rogową łyżeczką przywiązaną do sakwy wydobył z misy kilka kropel rtęci i umieścił je w środku. Potem zaciągnął rzemyk.

Niewolnik czekał bez ruchu. Wszyscy ludzie pracujący w upale i oparach wieży pieców byli nadzy bądź odziani jedynie w przepaski biodrowe i mokasyny. Wydra raz jeszcze zerknął na niewolnika. Sądząc po wzroście, uznał go za dziecko, potem jednak ujrzał małe piersi. To była kobieta, całkiem łysa. Na wychudzonych kończynach dostrzegł obrzmiałe, opuchnięte stawy. Raz jeden spojrzała na Wydrę, poruszając wyłącznie oczami. Splunęła w ogień, wytarła dłonią poranione usta i znów zastygła w bezruchu.

— Doskonale, moja mała, doskonale — powiedział Gelluk. — Oddawaj swe nieczystości ogniowi, a przemienia się w żywe srebro, światło księżyca. Czyż to nie cudowne? — ciągnął dalej, prowadząc Wydrę z powrotem na dół. — Z najpospolitszego powstaje najszlachetniejsze. Wspaniała zasada sztuki. Z nieczystej Czerwonej Matki przychodzi na świat Wszechkról, ze śliny umierającej niewolnicy — srebrne nasienie władzy.

Wędrując kamiennymi cuchnącymi schodami ani na moment nie przestawał mówić, a Wydra próbował go zrozumieć, bo oto człowiek obdarzony mocą opowiadał mu o niej.

Gdy jednak znów znaleźli się na słonecznej łące, poczuł, że w głowie nadal wiruje mu ciemność. Po kilku krokach zgiął się wpół i zwymiotował.

Gelluk obserwował go z troską, uważnie. Kiedy wykrzywiony i zadyszany chłopak uniósł głowę, czarnoksiężnik spytał łagodnie:

— Boisz się Króla?

Wydra przytaknął.

— Jeśli zawładniesz jego mocą, nie skrzywdzi cię. Strach przed mocą, walka z mocą — to bardzo niebezpieczne. Należy ją kochać i dzielić się nią. Spójrz, co robię.

Gelluk uniósł sakwę, do której wlał kilka kropel rtęci. Nie spuszczając wzroku z chłopaka, rozwiązał rzemień, uniósł sakwę do ust i wypił zawartość. Otworzył uśmiechnięte usta, demonstrując Wydrze srebrne krople na języku, po czym przełknął.

— Teraz Król jest w moim ciele, szlachetny gość w mym domu. Nie odbierze mi sił, nie każe wymiotować, nie porani ciała, bo się go nie lękam, lecz zapraszam z własnej woli, a on wkracza w moje żyły i kości. Nie dzieje mi się nic złego. Moja krew jest srebrna. Widzę rzeczy nieznane innym. Znam tajemnicę Króla. Kiedy zaś Król mnie opuszcza, skrywa się w najgorszym z brudów, smrodzie. Lecz nawet w tej ohydzie czeka, bym przybył, wziął go i oczyścił, tak jak on oczyścił mnie, tak że raz po raz stajemy się coraz czyściejsi. — Czarnoksiężnik ujął Wydrę za rękę i wraz z nim ruszył naprzód. Uśmiechnął się porozumiewawczo. — Sram promieniami księżyca. Nie spotkasz nikogo innego, kto może to o sobie powiedzieć. I jeszcze więcej, znacznie więcej. Król mieszka też w moim nasieniu. Jest moim nasieniem. Ja jestem Turresem, a on mną… Oszołomiony chłopak jak przez mgłę uświadomił sobie, że idą w stronę wejścia do kopalni. Zeszli pod ziemię. Korytarze kopalni tworzyły mroczny labirynt, tak jak słowa maga. Wydra potykał się, ale szedł naprzód, próbując zrozumieć. Wspomniał niewolnicę w wieży, kobietę, która na niego spojrzała. Wspomniał jej oczy.

Gelluk posłał przodem mały czarodziejski płomyk. Pokonywali dawno porzucone poziomy. Zdawało się, że czarnoksiężnik zna każdy zakamarek kopalni. A może nie. Może w ogóle nie znał drogi i wędrował na oślep. Cały czas mówił. Czasem odwracał się do Wydry, by wskazać drogę bądź go ostrzec, po czym podejmował swą opowieść.

Dotarli do miejsca, w którym kobiety wydłużały stary tunel. Tam mag zamienił kilka słów z Batem w blasku świec, wśród poskręcanych cieni. Dotknął ziemi u wylotu tunelu, ujął w dłonie bryły błota, ścisnął w palcach, roztarł, polizał, wziął do ust i badał smak. Zamilkł. A Wydra obserwował go bacznie, wciąż próbując zrozumieć.

Bat wrócił z nimi do baraków. Nadzorca, jak zawsze, zamknął Wydrę w celi, zostawiając bochenek chleba, cebulę i dzban wody. Wydra przykucnął, przygnieciony zaklęciem. Łapczywie wypił wodę. Cebula była dobra, ostra. Zjadł wszystko.

Gdy zgasło słabe światło przedostające się do celi przez małe otwory w zaprawie zamurowanego okna, nie zapadł w otchłań niespokojnego snu, lecz czuwał, z każdą chwilą bardziej ożywiony. Tumult panujący w jego myślach od chwili spotkania z Gellukiem powoli przycichał. Gdzieś z głębi pamięci wynurzał się coraz wyraźniejszy obraz, ulotny, ale wyraźny: niewolnica w najwyższej komorze wieży; kobieta o pustych piersiach i zaropiałych oczach,

która splunęła śliną z zatrutych ust, otarła wargi i zastygła w bezruchu, czekając na śmierć. Spojrzała na niego.

Ujrzał ją bardzo wyraźnie. Wyraźniej niż wtedy. Wyraźniej niż kogokolwiek w życiu. Widział wychudzone ręce, napuchnięte stawy przy łokciu i przegubie. Szyję chudą jak u dziecka. Zupełnie jakby była z nim w celi, jakby kryła się w nim, była nim samym. Spojrzała na niego. Ujrzał jej oczy i swoje w nich odbicie.

Zobaczył linie zaklęć, które go więziły, ciężkie sploty ciemności, plątaninę magicznych sznurów. Można było rozwiązać ów węzeł. Gdyby odwrócił się w tę stronę, a potem w tę i rozdzielił linie dłońmi… Był wolny.

Nie widział już kobiety. Stał swobodnie, samotny w mroku.

Wszystkie myśli, których nie mógł przywołać od tygodni, wirowały mu w głowie. Burza pomysłów i uczuć. Szaleńcza wściekłość. Żądza zemsty. Smutek. Duma.

Z początku oszołomiły go upajające marzenia o mocy i zemście. Uwolni niewolników. Skrępuje zaklęciem Gelluka i ciśnie go w oczyszczający ogień. Spęta go, oślepi i pozostawi, by wciągał w płuca pary rtęci w najwyższej komnacie, aż do śmierci… Kiedy jednak myśli uspokoiły się i oczyściły, zrozumiał, że nie zdoła pokonać maga o tak wielkiej mocy, nawet jeśli ów mag to szaleniec. Jedyną nadzieją było podsycanie owego szaleństwa. Wówczas czarnoksiężnik zniszczy się sam.

Wydra się zamyślił. Przez cały czas, który spędził z Gallukiem, próbował uczyć się od niego, zrozumieć, co mag mówi. Teraz był jednak pewien, że idee Gelluka, jego pomysły, nauki, których udzielał z takim zapałem, nie miały nic wspólnego z prawdziwą mocą. Wydobycie i oczyszczanie rudy to wspaniałe umiejętności, pełne tajemnic, ale Gelluk najwyraźniej nie znał się na nich. Jego historie o Wszechkrólu i Czerwonej Matce to tylko słowa, i to niewłaściwe słowa. Skąd jednak Wydra to wiedział?

W zalewie gadaniny Gelluk wymienił tylko jedno słowo w Dawnej Mowie, języku, w którym wypowiada się magiczne zaklęcia: Turres. Mówił, iż oznacza “nasienie". Własny magiczny dar Wydry pozwolił mu rozpoznać to słowo jako prawdziwe. Gelluk twierdził, iż znaczy ono też “rtęć" i Wydra wiedział, że to nieprawda.

Jego nauczyciele przekazali mu wszystkie znane sobie słowa w Mowie Tworzenia. Wśród nich nie znalazła się ani nazwa nasienia, ani rtęci. Teraz jednak jego wargi rozwarły się, język poruszył.

— Ayezur — powiedział Wydra.

Jego głos był głosem niewolnicy w kamiennej wieży. To ona znała prawdziwe imię rtęci i wymówiła je.

Przez dłuższy czas stał bez ruchu, po raz pierwszy dostrzegając, gdzie kryje się jego własna moc.

Stał w mroku celi i wiedział, że się uwolni, bo już był wolny. Poczuł nagłą dumę.

Po jakimś czasie z rozmysłem ponownie wszedł w środek pułapki krępujących zakręć. Wrócił na swe dawne miejsce, usiadł na sienniku i myślał dalej. Zaklęcie więżące nie zniknęło, ale nie miało już nad nim władzy. Mógł w nie wchodzić i wychodzić, niczym w krąg linii wymalowanych na posadzce. Z każdym uderzeniem serca czuł nowe fale wdzięczności za odzyskaną wolność.

Zastanawiał się, co musi zrobić i jak. Nie był pewien, czy to on ją wezwał, czy też przyszła do niego z własnej woli. Nie wiedział, jak wymówiła słowo w Dawnej Mowie — w nim, poprzez niego. Nie wiedział, co robi, ani co robi ona, i był niemal pewien, że każde zaklęcie ostrzeże Gelluka. W końcu jednak pospiesznie, przerażony, bo o istnieniu podobnych zaklęć jego nauczyciele wspominali tylko półgłosem, przywołał kobietę z kamiennej wieży.

Sprowadził ją do swego umysłu i ujrzał tak jak wtedy, w tamtej komnacie. Zawołał do niej i przyszła.

Jej obraz ponownie stanął tuż poza pajęczą siecią zaklęć. Patrzyła na niego i widziała go. Pokój wypełniło łagodne, błękitne, pozbawione źródła światło. Jej poranione, zaropiałe wargi zadrżały. Nie odezwała się jednak.

Przemówił pierwszy, zdradzając jej swoje prawdziwe imię:

— Jestem Medra.

— A ja Anieb.

— Jak możemy się uwolnić?

— Jego imię.

— Nawet gdybym je znał… Gdy jestem z nim, nie mogę mówić.

— Gdybym była z tobą, wykorzystałabym je.

— Nie mogę cię wezwać.

— Ale ja mogę przybyć — odparła.

Rozejrzała się. Wydra uniósł wzrok. Oboje wiedzieli, że Gelluk coś zauważył, ocknął się. Wydra poczuł, jak zaciskają się więzy. Opadł na niego dawny cień.

— Przybędę, Medro — rzekła. Wyciągnęła chudą rękę, zaciskając ją w pięść, po czym otworzyła wnętrzem dłoni do góry, jakby coś mu dawała. A potem zniknęła.

Światło odeszło wraz z nią. Znów był sam, w ciemności. Zimne kajdany zaklęć zacisnęły się wokół jego gardła, dławiły. Skrępowały mu ręce, napierały na płuca. Przykucnął, dysząc. Nie mógł myśleć. Nic nie pamiętał.

— Zostań ze mną — powiedział, nie wiedząc, do kogo mówi. Bał się i nie wiedział czego. Czarnoksiężnik, moc, zaklęcie… wszystko pochłonęła ciemność, lecz gdzieś w jego ciele, nie w umyśle, żarzyła się wiedza, której nie potrafił nazwać; pewność kojąca niczym

maleńka lampa w dłoni podczas wędrówki w podziemnym labiryncie. Nie spuszczał wzroku z owej drobinki światła.

Nawiedziły go nużące, złowieszcze sny o tym, że się dusi, jednak uwolnił się od nich. Odetchnął głęboko i w końcu zasnął. Śnił o stromych zboczach za zasłoną deszczu, przez którą przeświecało światło. Śnił o chmurach płynących ponad granicami wysp i o wysokim zielonym wzgórzu stojącym w słońcu i mgle na krańcu morza.

Mag Gelluk i pirat Losen, zwący się królem, współpracowali od lat. Każdy z nich wspierał i powiększał władzę drugiego. Każdy wierzył, że sługą jest ten drugi.

Gelluk nie wątpił, że bez niego żałosne królestwo Losena wkrótce by się rozpadło, a jakiś wrogo nastawiony mag jednym zaklęciem starłby władcę z powierzchni ziemi. Pozwalał jednak odgrywać Losenowi pana, przywykł bowiem do tego, że władca zaspokaja jego potrzeby, daje mu swobodę i dostarcza niewolników, niezbędnych do dalszych doświadczeń. Z łatwością przychodziło mu utrzymanie zaklęć ochronnych rzuconych na Losena, jego wyprawy i statki, a także zaklęć więziennych na miejscach, w których pracowali niewolnicy bądź przechowywano skarby. Stworzenie owych zaklęć to inna sprawa; wymagały długiej, ciężkiej pracy. Teraz jednak już istniały i nie zdołałby ich przełamać żaden mag w Havnorze.

Gelluk nigdy nie spotkał kogoś, kogo mógłby się lękać. W swym życiu natknął się na kilku magów dość potężnych, by musiał zachować czujność, żaden z nich jednak nie dorównywał mu mocą i umiejętnościami.

Ostatnio, zagłębiając się bez reszty w tajemnice księgi wiedzy przywiezionej z wyspy Way przez piratów Losena, Gelluk zobojętniał na większość tego, czego się nauczył i odkrył. Księga udowodniła mu, że wszystko to jedynie cienie, odłamki większej wiedzy. Podobnie jak jedna substancja kontroluje wszystkie inne, tak i jedna prawdziwa wiedza zawiera w sobie wszystko. Zbliżając się do niej, pojął, iż sztuki czarnoksiężników są równie nieporadne i fałszywe jak tytuł i władza Losena. Gdy zjednoczy się z prawdziwą substancją, zostanie królem. Tylko on, jedyny pośród wszystkich ludzi, będzie wymawiał słowa tworzenia i unicestwiania. Zamiast psów będzie hodował smoki.

W młodym różdżkarzu dostrzegł surową i niewyszkoloną moc, którą mógł wykorzystać. Potrzebował znacznie więcej rtęci, niż miał w tej chwili. Potrzebował zatem szukacza. Znajdowanie to prymitywna umiejętność; Gelluk nigdy się nim nie zajmował. Dostrzegał jednak, iż chłopak ma dar. Musi poznać jego prawdziwe imię, aby zdobyć nad nim władzę. Niestety, chłopca trzeba będzie długo szkolić, a potem jeszcze wykopać z ziemi rudę i oczyścić metal. Jak zawsze Gelluk przeskoczył myślami przeszkody i oto zmierzał wprost ku czekającym

u kresu cudownym tajemnicom.

W księdze wiedzy z Way, którą stale woził ze sobą w zaklętym puzdrze, znalazł ustępy traktujące o prawdziwym, oczyszczającym ogniu. Po długich studiach dowiedział się, że kiedy zdobędzie dość czystego metalu, w następnym etapie musi oczyścić go ponownie, by uzyskać Ciało Księżyca. Analizując pokrętny język księgi, uznał, iż aby uzyskać czystą rtęć, ogień należy podsycać nie zwykłym drewnem, lecz ludzkimi ciałami. Tej nocy wciąż od nowa odczytując te same fragmenty, dostrzegł w nich inne możliwe znaczenie. W słowach mądrości zawsze kryło się kolejne dno. Może księga mówiła, że należy poświęcić nie tylko zwykłe ciała, ale też duchy istot niższych? Wielki ogień w wieży winien pochłonąć nie trupy, lecz żywych ludzi. Żywych i świadomych. Czystość z brudu, błogość z bólu. Gdy raz dostrzegło się ogólną prawidłowość, wszystko stawało się jasne. Był pewien, że się nie myli, że w końcu pojął, na czym polega właściwa technika. Nie może się jednak spieszyć, musi być cierpliwy, upewnić się. Przeszedł do następnego ustępu, porównując go z poprzednim i ślęczał nad księgą do późnej nocy. Na moment coś odciągnęło jego uwagę; czyjeś wtargnięcie na krawędzi świadomości. Chłopak próbował jakichś sztuczek. Gelluk niecierpliwie wymówił jedno słowo i powrócił do niezwykłej krainy Wszechkróla, nie dostrzegając, że sny więźnia wymknęły mu się spod kontroli.

Następnego dnia kazał Batowi przyprowadzić chłopca. Nie mógł się już doczekać spotkania. Chciał być dla niego miły, uczyć go, nagradzać, tak jak poprzedniego dnia. Usiadł wraz z nim w słońcu. Gelluk lubił dzieci i zwierzęta. Lubił wszystko co piękne. Miło było mieć przy sobie młode stworzenie. Bezrozumny podziw Wydry był naprawdę ujmujący, podobnie jego bezrozumna siła. Gelluk miał dosyć niewolników, ich słabości, podstępów i ohydnych, chorych ciał. Oczywiście Wydra także był jego niewolnikiem, ale nie musiał o tym wiedzieć. Mogli zostać uczniem i nauczycielem. Lecz uczniowie bywają zbyt chytrzy, pomyślał czarnoksiężnik, przypominając sobie o swym uczniu Wczesnym, stanowczo zbyt sprytnym jak na jego gust. Tego będzie musiał trzymać krócej. Ojciec i syn — tacy mogą stać się dla siebie z Wydrą. Każe chłopcu, by nazywał go ojcem. Przypomniał sobie, że zamierzał poznać prawdziwe imię chłopaka. Istniały po temu różne metody. Najprostszą jednak, ponieważ chłopak i tak znajdował się w jego władzy, było po prostu spytać.

— Jak brzmi twoje prawdziwe imię? — spytał, uważnie obserwując Wydrę.

Umysł stawił słaby opór, lecz usta otwarły się, język poruszył.

— Medra.

— Doskonale, młody Medro — rzekł mag. — Możesz nazywać mnie ojcem.

***

— Musisz odszukać Czerwoną Matkę.

Znów siedzieli obok siebie przed barakiem. Na niebie świeciło ciepłe jesienne słońce. Gelluk zdjął szpiczasty kapelusz; gęste siwe włosy opadały mu na twarz.

— Wiem, że znalazłeś maleńkie złoże, ale z niego da się wycisnąć tylko kilka kropel. Nie warto nawet oczyszczać tej rudy. Jeśli masz mi pomóc, jeśli ja mam cię uczyć, musisz bardziej się postarać. Chyba wiesz, jak masz to zrobić. — Uśmiechnął się do Wydry. — Prawda?

Wydra przytaknął.

Wciąż był wstrząśnięty i oszołomiony. Jak łatwo Gelluk zdobył jego imię, a więc i całkowitą nad nim władzę! Teraz nadzieja zniknęła. Nie mógł się już opierać. W nocy pogrążył się w krańcowej rozpaczy. Wówczas jednak w jego umyśle zjawiła się Anieb. Przybyła z własnej woli, własnymi metodami. Nie mógł jej wezwać, nie mógł nawet o niej myśleć. A nawet jeśli, nie odważyłby się, póki był z Gellukiem. Ona jednak przyszła.

Trudno było ją dostrzec poprzez mgłę gadaniny maga i mroczną sieć spowijających chłopaka zaklęć krępujących. Gdy jednak Wydrze udawało się przebić zasłonę, miał wrażenie, że Anieb nie przebywa z nim, lecz jest nim samym, a może on nią. Patrzył jej oczami. Słyszał jej głos — silniejszy, wyraźniejszy niż głos i zaklęcia Gelluka. Dzięki jej oczom i umysłowi mógł widzieć i myśleć. I zaczął dostrzegać, iż czarnoksiężnik, całkowicie pewny, że posiadł już jego ciało i duszę, nie dba o zaklęcia łączące go z Wydrą. A połączenie to więź. On — lub Anieb wewnątrz niego — mógł podążyć wzdłuż łącza zaklęcia Gelluka w głąb umysłu maga.

Nieświadom tego wszystkiego Gelluk mówił i mówił, posłuszny nieskończonemu zaklęciu swego własnego głosu.

— Musisz odnaleźć prawdziwe łono, brzuch ziemi, w którym ukryte jest czyste Nasienie Księżyca. Wiedziałeś, że Księżyc jest ojcem Ziemi? O tak, tak. Legł z nią, bo takie jest prawo ojca. Zapłodnił prostą glinę swym czystym nasieniem. Ona jednak nie zrodzi Króla. Zanadto się boi. Więzi go i kryje głęboko, lękając się zrodzić swego pana. Aby go urodzić, musi spłonąć żywcem.

Gelluk urwał. Przez długą chwilę milczał zamyślony. W jego oczach płonął entuzjazm. Wydra dostrzegł obrazy w umyśle maga: wielkie ognie, w które wrzucano polana z rękami i nogami. Płonące sylwetki krzyczały niczym świeże drewno w ogniu.

— O tak — rzekł z rozmarzeniem czarnoksiężnik. — Musi spłonąć żywcem. I wtedy, tylko wtedy wyskoczy z niej wspaniały, lśniący Król. Już czas. Najwyższy czas. Musimy mu pomóc. Musimy *znaleźć* największe złoże. Jest tutaj. Co do tego nie mam wątpliwości. Łono matki kryje się pod Samory.

I znów urwał. Nagle spojrzał na wprost na Wydrę, który zamarł przerażony, że czarnoksiężnik przyłapał go na obserwacji swych myśli. Gelluk przyglądał mu się długo swymi dziwnymi, na wpół przytomnymi, na wpół niewidzącymi oczami, uśmiechając się szeroko.

— Mój mały Medro — powiedział, jakby właśnie odkrył, że chłopak stoi obok niego. Poklepał Wydrę po ramieniu. — Wiem, że masz dar odnajdywania tego, co ukryte. Wspaniały dar, jeśli towarzyszy mu wiedza. Nie lękaj się, mój synu. Wiem, czemu doprowadziłeś me sługi jedynie do małej żyły, czemu zwodziłeś, opóźniałeś. Teraz jednak przybyłem. To mnie służysz. Nie masz się czego bać. Nie musisz niczego przede mną ukrywać, prawda? Mądre dziecię kocha swego ojca i słucha go. A wówczas ojciec je nagradza. — Pochylił się blisko, bardzo blisko, jak to miał w zwyczaju, i powiedział łagodnie, z ufnością w głosie: — Jestem pewien, że zdołasz *znaleźć* wielkie złoże.

— Wiem, gdzie ono jest — powiedziała Anieb.

Wydra nie mógł wykrztusić ani słowa. To ona przemówiła poprzez niego głosem słabym, zduszonym.

Niewielu ludzi odzywało się do Gelluka, jeśli nie nakazał im mówić. Zaklęcia, którymi kontrolował, osłabiał i uciszał wszystkich wokół siebie, do tego stopnia weszły mu w nawyk, że w ogóle o nich nie myślał. Przywykł, że inni go słuchają. On sam nie musiał słuchać. Był pewny własnej siły, opętany ideami, nie zwracał uwagi na nic innego. W ogóle nie dostrzegał Wydry. Widział w nim tylko część własnych planów, przedłużenie swojej osoby.

— O tak, tak. Znajdziesz ją — rzekł i znowu się uśmiechnął.

Wydra jednak niezwykle wyraźnie dostrzegał Gelluka, zarówno cieleśnie, jak i jako obecność ogromnej, władczej siły. Miał wrażenie, że Anieb zniweczyła jej odrobinę. Dzięki temu zyskał okruch swobody, pole manewru. I choć Gelluk wciąż stał tak blisko, przerażająco blisko, Wydra zdołał przemówić.

— Zaprowadzę cię tam — rzekł z trudem, niewyraźnie. Gelluk przywykł do tego, że słyszy w ustach innych słowa, które sam tam umieścił. Te słowa także pragnął usłyszeć, lecz ich nie oczekiwał. Ujął dłoń młodzieńca, zbliżając do niego swą twarz, i poczuł, jak Wydra kuli się w sobie.

— Bystry jesteś — rzekł. — Znalazłeś lepszą rudę, wartą wydobycia i oczyszczenia?

— To złoże — powiedział chłopak.

Powolne, z trudem wypowiedziane słowa niosły z sobą ogromny ciężar.

— Wielkie złoże? — Gelluk spojrzał wprost na niego. Ich twarze dzieliła odległość nie większa niż szerokość dłoni. Światełka w niebieskich oczach maga przypominały płynny, szalony blask rtęci. — Łono?

— Tylko mistrz może tam pójść.

— Jaki mistrz?

— Mistrz Domu. Król.

I znów Wydra odniósł wrażenie, że wędruje w ciemności z niewielką lampą. Była nią mądrość Anieb. Przy każdym kroku dostrzegał następny, nie widział jednak miejsca, w którym się znajdował, nie wiedział, co czeka go wkrótce, i nie rozumiał, co ogląda. Widział to jednak i szedł naprzód — krok za krokiem, słowo za słowem.

— Skąd wiesz o Domu?

— Widziałem go.

— Gdzie? Tu, w pobliżu? Wydra przytaknął.

— Czy kryje się w ziemi?

— Powiedz mu, co widzi — szepnęła Anieb w umyśle Wydry i zaczął mówić:

— W ciemności po lśniącym dachu płynie strumień. Pod dachem kryje się dom Króla. Dach wznosi się wysoko nad ziemią, na wyniosłych kolumnach. Posadzka jest czerwona. Wszystkie kolumny są czerwone. Pokrywają je świecące runy.

Gelluk wstrzymał oddech. Po chwili zapytał cicho:

— Potrafisz je odczytać?

— Nie umiem czytać run — odparł Wydra głuchym głosem. — Nie mogę tam wejść. Nikt nie może tam wejść w swym ciele. Jedynie Król. Tylko on potrafi odczytać, co zapisano.

Biała twarz Gelluka zbielała jeszcze bardziej. Jego szczęka zadrżała lekko. Wyprostował się nagle.

— Zaprowadź mnie tam — polecił, próbując się opanować. Lecz nakaz był tak gwałtowny, że Wydra zerwał się z ziemi i przebiegł kilka kroków. Potykał się, o mało nie upadł. Potem ruszył naprzód, sztywno, niezręcznie, próbując nie stawiać oporu nieugiętej, namiętnej woli kierującej jego krokami.

Gelluk podążał tuż za nim, często łapiąc go za rękę.

— Tędy — rzucił kilka razy. — O tak, tak, to właściwa droga.

A jednak szedł za Wydrą. Popychał go, poganiał zaklęciami, lecz drogę wybrał młodzieniec.

Minęli wieżę pieców, dawne i nowe szyby, i znaleźli się w długiej dolinie, do której Wydra zaprowadził Bata owego pierwszego dnia. Była późna jesień. Krzaki i krótka trawa, wtedy zielone, teraz

zbrązowiały i wyschły; wiatr szeleścił ostatnimi liśćmi na gałęziach. Po lewej stronie w wierzbowym zagajniku płynął mały strumyczek. Zbocze wzgórza pokrywały plamy słonecznego światła i długie pasma cieni.

Wydra wiedział, że zbliża się chwila, w której może uwolnić się od Gelluka. Był tego pewien od zeszłej nocy. Wiedział też, że w owej chwili może pokonać Gelluka, pozbawić go mocy. Jeśli czarnoksiężnik odsłoni się, opętany swą wizją — i jeśli Wydra pozna jego imię.

Zaklęcia maga wciąż ich łączyły. Wydra wciskał się w głąb umysłu Gelluka, poszukując prawdziwego imienia. Nie wiedział, gdzie i jak szukać. Był szukaczem, który nie zna swej sztuki. Widział jedynie zapisane w pamięci maga karty ksiąg wiedzy pokryte pozbawionymi znaczenia słowami oraz wizję, którą opisał — ogromny pałac o czerwonych ścianach, a w nim srebrzyste runy tańczące na szkarłatnych kolumnach. Nie potrafił jednak odczytać ksiąg ani run. Nigdy nie nauczono go czytać.

Cały czas wraz z Gellukiem oddalali się od wieży, od Anieb, której obecność czasami słabła i przygasała. Wydra nie odważył się jej przywołać.

Zaledwie kilka kroków dzieliło go od miejsca, w którym pod ziemią, na głębokości zaledwie dwóch, trzech stóp ciemna woda przesiąkała przez żwir ponad warstwą miki. Niżej leżała rozległa grota i złoże cynobru.

Gelluk, choć niemal całkowicie pochłonęły go własne myśli, dzięki połączeniu umysłów dostrzegł obrazy widziane przez Wydrę. Przystanął, dygocząc z niecierpliwości.

Wydra wskazał wznoszące się przed nimi zbocze.

— Tam kryje się dom Króla — rzekł.

W tym momencie czarnoksiężnik całą uwagę przeniósł na wzgórze i wizję, którą w nim dostrzegał. Wówczas Wydra mógł wezwać Anieb, która natychmiast zjawiła się w jego umyśle i jestestwie.

Gelluk stał bez ruchu, zaciskając dłonie. Drżał lekko, niczym myśliwski pies łaknący pogoni, lecz nie potrafiący odnaleźć tropu. Czuł się kompletnie zagubiony. W ostatnich promieniach słońca widział wzgórze porośnięte trawą i krzewami. Nie dostrzegał jednak wejścia, jedynie porośnięte trawą gładkie zbocze.

Choć Wydra nie usłyszał słów, Anieb przemówiła jego głosem, tym samym słabym, bezdźwięcznym głosem:

— Tylko mistrz może otworzyć drzwi. Tylko Król ma klucz.

— Klucz — powtórzył Gelluk.

Wydra stał bez ruchu. Mag nie dostrzegał go, tak jak nie widział Anieb owego dnia w wieży.

— Klucz — rzekł z napięciem Gelluk.

— Klucz kryje się w imieniu Króla.

To był skok wprost w ciemność. Które z nich to powiedziało? Gelluk czekał, dygocząc. Wciąż nie wiedział, co robić.

— Turres — powiedział po dłuższej chwili, zniżając głos do szeptu.

Wiatr zaszeleścił suchą trawą.

Nagle czarownik ruszył naprzód. Jego oczy rozbłysły.

— Otwórz się. W imię Króla! — wykrzyknął. — Jestem Tinaral!

Poruszył rękami w szybkim, pełnym mocy geście, jakby rozsuwał ciężkie zasłony. Zbocze tuż przed nim zadrżało, zakołysało się i otwarło. Szczelina z każdą chwilą stawała się szersza, głębsza. Wytrysnęła z niej woda, obmywając stopy maga.

Gelluk cofnął się zaskoczony i gwałtownie poruszył ręką. Tym gestem odepchnął strumień, tak jak wiatr odpycha strugę wody z fontanny. Rana w ziemi sięgała coraz głębiej, ukazując lśniącą warstwę miki, która po chwili pękła z donośnym trzaskiem. Pod nią kryła się ciemność.

Czarownik postąpił krok naprzód.

— Przybywam — rzekł z radością i wzruszeniem. Bez lęku wkroczył w szczelinę w ziemi. Wokół jego dłoni i głowy tańczyło białe światło. Jednak zawahał się przy krawędzi pękniętego dachu groty. Nie dostrzegł żadnej drogi w dół.

W tym momencie Anieb wykrzyknęła głosem Wydry:

— Tinaralu, wchodź!

Chwiejąc się gwałtownie, czarnoksiężnik próbował się odwrócić. Stracił równowagę na niepewnej krawędzi i runął w ciemność. Szkarłatny płaszcz wydął się wokół niego. Magiczne światło rozbłysło niczym spadająca gwiazda.

— Zasklep się, matko! — krzyknął Wydra, opadając na kolana. Dłonie przytknął do ziemi, do krawędzi szczeliny. — Ulecz się, bądź zdrowa — błagał, prosił, wymawiając w Mowie Tworzenia słowa, których nie znał, póki ich nie wypowiedział. — Bądź cała, matko.

Pęknięta ziemia poruszyła się, brzegi szczeliny zbliżyły się do siebie, zarosły. Pozostał tylko czerwony ślad, blizna pośród ziemi, żwiru i trawy.

Wiatr szeleścił suchymi liśćmi na gałęziach karłowatych dębów. Słońce skryło się za wzgórzem. Na niebo wypłynął niski wał szarych chmur.

Wydra przycupnął u stóp wzgórza. Był sam.

Chmury pociemniały. Na dolinę spadł deszcz, spłukując kurz z trawy. Ponad chmurami słońce schodziło wolno po zachodnich schodach jasnego domu niebios.

W końcu Wydra uniósł głowę. Był przemoknięty, zmarznięty, oszołomiony. Skąd się tu wziął? Coś zgubił. Musiał to odszukać. Nie

wiedział co, ale znajdowało się to w ognistej wieży, gdzie kamienne stopnie wiodą w górę pośród dymu i oparów. Musiał tam iść. Dźwignął się z ziemi i powłócząc nogami, niepewnym krokiem ruszył w głąb doliny.

Nie pomyślał nawet, by się ukryć, osłonić. Na szczęście w pobliżu nie było strażników. W kopalni nie zatrudniano ich wielu. Nie musieli uważać, bo zaklęcia maga stanowiły najlepsze zamknięcie. Teraz zniknęły, lecz uwięzieni w wieży ludzie o tym nie wiedzieli. Pracowali dalej, zmuszani najpotężniejszym ze wszystkich zaklęć: brakiem nadziei.

Wydra przeszedł przez sklepioną komorę paleniska, mijając krzątających się wokół niewolników. Powoli wdrapał się po krętych, ciemnych, cuchnących schodach. W końcu dotarł do najwyższego pomieszczenia.

Tam właśnie czekała chora kobieta, która mogła go uleczyć, nędzarka ukrywająca skarb. Obca, będąca nim samym.

W milczeniu stanął w drzwiach. Siedziała na kamiennej posadzce obok tygla. Jej wychudzone ciało było szare i ciemne jak kamień, broda i piersi lśniły od śliny spływającej z ust. Przypomniał sobie źródło tryskające z rozdartej ziemi.

— Medra — powiedziała.

Ukląkł i ujął jej ręce, patrząc prosto w twarz.

— Anieb — szepnął — chodź ze mną.

— Chcę wrócić do domu. — Obolałymi ustami niewyraźnie formułowała słowa.

Pomógł jej wstać. Nie rzucił zaklęcia, które mogłoby ich ukryć. Zużył już całą swą moc. Anieb, choć miała wielką siłę, dzięki której dotarła wraz z nim do owej dziwnej doliny i oszukała maga tak, by zdradził swoje imię, nie znała zaklęć ani sztuczek. Była krańcowo wyczerpana.

Nikt jednak nie zwracał na nich uwagi, jakby ktoś rzucił urok. Minęli baraki, oddalając się od kopalni. Przeszli przez rzadki las i ruszyli w stronę wzgórz kryjących górę Onn przed wzrokiem mieszkańców nizin Samory.

***

Anieb szła szybciej, niż można by oczekiwać po kobiecie tak wyniszczonej i wychudzonej, niemal nago maszerującej w chłodzie i deszczu. Całą wolę skupiła na kolejnych krokach; nie myślała o niczym innym, nawet o nim. Była z nim jednak i czuł jej obecność

równie wyraźnie jak wówczas, gdy przybyła na jego wezwanie. Krople deszczu spływały po jej nagiej głowie i ciele. Zatrzymał ją i okrył swą koszulą, wstydząc się, bo była przepocona i brudna. Anieb pozwoliła mu na to, a potem znów ruszyła naprzód. Nie mogła iść szybko, ale nie spuszczała wzroku z niewyraźnego szlaku, którym wędrowali. W końcu zapadła wczesna noc pod chmurami i nie wiedzieli, gdzie stawiają kroki.

— Zapal światło — poprosiła. Jej głos załamał się lękliwie, błagalnie. — Nie możesz zapalić światła?

— Nie wiem — odparł. Spróbował przywołać magiczne światełko. Po chwili ziemia pod ich stopami zalśniła słabo.

— Musimy poszukać schronienia, odpocząć — rzekł.

— Nie mogę się zatrzymać — odparła i znów ruszyła przed siebie.

— Nie możesz iść całą noc.

— Jeśli się położę, już nie wstanę. Chcę zobaczyć górę.

Jej słaby głos ledwie przebijał się przez szum deszczu.

Poszli dalej. W ciemności, w słabym, srebrzystym blasku magicznego światła, w którym rozbłyskiwały srebrne deszczowe krople, widzieli jedynie szlak przed sobą. Gdy się potknęła, chwycił ją za rękę. Potem szli już przytuleni do siebie, szukając otuchy i ciepła. Wędrowali coraz wolniej i wolniej, wciąż naprzód. Szumiał deszcz padający z czarnego nieba, cicho mlaskało błoto pod stopami, szeleściła mokra trawa na szlaku.

— Spójrz — powiedziała Anieb, przystając nagle. — Medro, spójrz.

Wydra szedł niemal jak we śnie. Blade magiczne światło przygasło w zetknięciu ze słabszą wszechogarniającą jasnością. Niebo było szare. Przed nimi jednak i nad nimi wysoko, ponad chmurami lśnił czerwienią wierzchołek góry.

— Tam — szepnęła Anieb, wskazując ręką. Uśmiechnęła się. Spojrzała na Wydrę i powoli spuściła wzrok. Osunęła się na kolana. Ukląkł obok, próbując ją podtrzymać. Wymknęła mu się jednak z objęć. Starał się podtrzymać chociaż jej głowę, uchronić przed błotem. Wstrząsały nią konwulsje. Szczękała zębami. Tulił ją do siebie, próbując ogrzać.

— Kobiety Dłoni — szepnęła. — Spytaj je. W wiosce. Widziałam górę.

Raz jeszcze spróbowała usiąść, podnieść wzrok, lecz dreszcze wstrząsały całym jej ciałem. Głośno chwytała oddech. W czerwonym świetle sponad wierzchołka góry, rozjaśniającym niebo na wschodzie, Wydra ujrzał szkarłatną pianę i ślinę spływającą z jej ust. Czasami Anieb przywierała do niego, już się jednak nie odezwała. Walczyła ze śmiercią. Walczyła o każdy oddech. Czerwone światło przygasło, niknąc wśród szarości. Chmury ponownie spowiły górę, ukrywając

wschodzące słońce. Był już dzień, szary, deszczowy dzień, gdy po jej ostatnim oddechu nie nadszedł następny.

Mężczyzna imieniem Medra siedział w błocie z martwą kobietą w ramionach i płakał.

Wkrótce potem natknął się na niego wozak prowadzący muła z ładunkiem dębowego drewna z lasu Faliern. *Zabrał* go do Przylesia. Nie zdołał przekonać, by zostawił martwą kobietę. Słaby, roztrzęsiony młody mężczyzna nie chciał odłożyć swego brzemienia. Wdrapał się na wóz i tulił ją przez całą drogę do wsi.

— Ona mnie ocaliła — powiedział. Wozak nie zadawał więcej pytań.

— Ocaliła mnie, ale ja nie potrafiłem jej ocalić — rzekł Wydra gwałtownie do mieszkańców górskiej wioski.

Wciąż nie chciał wypuścić jej z objęć, tuląc do siebie mokre od deszczu, sztywne ciało, jakby zamierzał go bronić. Powoli zdołali go przekonać, że jedna z kobiet to matka Anieb i że powinien oddać jej córkę. W końcu to uczynił. Cały czas jednak patrzył, czy aby dość delikatnie zaopiekuje się jego przyjaciółką. Potem spokojnie poszedł za inną kobietą. Włożył podane mu suche ubranie, zjadł odrobinę chleba, który od niej dostał, i położył się na sienniku, do którego go doprowadziła. Znużony i zapłakany, usnął.

***

Po kilku dniach we wsi zjawili się ludzie Bata. Wypytywali, czy ktokolwiek widział albo słyszał o wielkim magu Gelluku i młodym szukaczu — obaj zniknęli bez śladu, dodali, jakby pochłonęła ich ziemia. Nikt w Przylesiu nie wspomniał ani słowem o obcym ukrytym na stryszku w domu Miodu. Nie zdradzili go. Może dlatego obecnie ludzie nazywają ich wioskę nie Przylesiem, lecz Wydrzą Norą.

***

Wydra przeszedł ciężką próbę i podjął wielkie ryzyko, stając naprzeciw większej mocy. Szybko odzyskał siły, był bowiem młody, lecz długo nie mógł pozbierać myśli. Utracił coś, utracił na wieki, w chwili gdy to znalazł.

Przeszukiwał wspomnienia i cienie, szukał pośród obrazów z

przeszłości — napaść na dom w Havnorze, kamienna cela, Ogar, ceglane mury baraków i więżące go zaklęcia, wędrówki z Batem, słowa Gelluka, niewolnicy, ogień, kamienne stopnie wiodące poprzez dym i opary do najwyższej komnaty wieży. Musiał odzyskać to wszystko, przejrzeć, przetrząsnąć. Raz po raz stawał w owej komnacie i spoglądał na kobietę, a ona patrzyła na niego. Raz po raz wędrował przez dolinę wśród suchej trawy i ognistych wizji maga — razem z nią. Raz po raz widział upadek maga, zamykającą się ziemię. Oglądał czerwoną górską grań w blasku świtu. Anieb umarła w jego ramionach, gdy tulił do siebie jej wyniszczoną twarz. Kim była? Co zrobili? Jak im się to udało? Ona jednak nie mogła mu odpowiedzieć.

Jej matka, Ayo, i siostra matki, Miód, były mądrymi kobietami. Pielęgnowały Wydrę ciepłymi olejami i masażami, pieśniami i ziołami. Rozmawiały z nim i słuchały, co miał do powiedzenia. Żadna nie wątpiła, że kryje się w nim wielka moc. On jednak zaprzeczał.

— Niczego nie zdołałbym zdziałać bez twojej córki — rzekł.

— Co takiego zrobiła? — spytała cicho Ayo.

Opowiedział jej, najlepiej jak umiał.

— Byliśmy sobie obcy, a jednak zdradziła mi swoje imię. A ja oddałem jej moje. — Mówił z wahaniem, czyniąc długie przerwy. — Szedłem z czarnoksiężnikiem, skrępowany przez niego. Ona jednak mi towarzyszyła. I była wolna. Wspólnie zdołaliśmy zwrócić przeciw niemu jego moc, tak że zniszczył się sam. — Zastanawiał się długą chwilę. W końcu rzekł: — Oddała mi swą moc.

— Wiedzieliśmy, że ma wielki dar — powiedziała Ayo. — Nie miał jej jednak kto uczyć. W górach nie pozostał żaden nauczyciel. Magowie króla Losena niszczą wszystkich czarodziejów i wiedźmy. Nie ma się do kogo zwrócić.

— Kiedyś wędrowałam w górach — dodała Miód. — Nadeszła wiosenna burza i zabłądziłam. Przyszła do mnie wtedy. Przyszła do mnie, nie ciałem, i wskazała drogę. Miała wówczas zaledwie dwanaście lat.

— Czasami wędrowała też z umarłymi — szepnęła Ayo. — W lesie, w stronę Faliernu. Znała dawne moce. Te, o których wspominała mi babka. Moce ziemi. Mówiła, że są tam szczególnie silne.

— Ale była też zwykłą dziewczyną. — Miód ukryła twarz w dłoniach. — Dobrą dziewczyną.

Po dłuższym czasie odezwała się Ayo:

— Zeszła do Szreni z grupką młodych, żeby kupić runo od tamtejszych pasterzy. Na wiosnę minął rok. Czarnoksiężnik, o którym mówili, przybył tam. Rzucał zaklęcia, chwytał niewolników.

Zapadła cisza.

Ayo i Miód były bardzo podobne do siebie. Wydra ujrzał w nich Anieb, jaką mogła być — niską, szczupłą, energiczną kobietę o

okrągłej twarzy i jasnych oczach oraz gęstych ciemnych włosach, nie prostych, jak u większości mieszkańców wyspy, lecz ciasno skręconych. Wielu ludzi na zachód od Havnoru miało podobne włosy.

Anieb jednak była łysa, jak wszyscy niewolnicy w wieży pieców.

Jej imię użytkowe brzmiało Kosaciec, błękitny, wiosenny irys. Matka i ciotka nadal ją tak nazywały.

— Choćbym nie wiem jak się starał, nie zdołam nic zmienić — rzekł.

— No pewnie — odparła Miód. — Co można zdziałać samemu? Uniosła palec wskazujący. Potem wyprostowała resztę palców i zacisnęła je razem w pięść. W końcu powoli odwróciła rękę i otworzyła wnętrzem dłoni do góry, jakby coś mu dawała. Widział kiedyś, jak Anieb czyniła podobny gest. To nie zaklęcie, pomyślał, patrząc uważnie. Nie zaklęcie, lecz znak. Ayo obserwowała go czujnie.

— To tajemnica — oznajmiła.

— Mógłbym ją poznać? — spytał po jakimś czasie.

— Już ją znasz. Obdarzyłeś nią moją córkę, a ona ciebie. Zaufanie.

— Zaufanie — powtórzył. — Tylko to przeciw nim wszystkim? Gelluk odszedł. Może Losen upadnie. I co z tego? Czy niewolnicy odzyskają wolność? Żebracy będą mieli co jeść? Zapanuje sprawiedliwość? Myślę, że w nas, w ludziach kryje się zło. Zaufanie mu przeciwdziała. Pokonuje dzielącą nas przepaść, ale zło wciąż jest. I wszystko, co robimy, w końcu służy złu, bo tacy jesteśmy, chciwi i okrutni. Patrzę na świat, na lasy i górę, na niebo. Wszystko jest takie, jak być powinno, ale nie my, nie ludzie. Czynimy zło. Żadne zwierzę nie czyni zła. Nie mogłoby. My jednak możemy i robimy to. I nigdy nie przestajemy.

Słuchały go, nie przytakując, nie zaprzeczając, lecz akceptując jego rozpacz. Jego słowa wniknęły w ciszę, pozostały tam wiele dni i w końcu powróciły do niego odmienione.

— Nie możemy niczego zdziałać bez siebie nawzajem — powiedział. — Ale tylko ludzie chciwi i okrutni trzymają się razem, dodają sobie sił. A ci, którzy nie chcą do nich dołączyć, stoją samotnie. — Nieustannie towarzyszył mu obraz Anieb. Taką ujrzał ją po raz pierwszy: umierająca kobieta, stojąca samotnie w komnacie na szczycie wieży. — Prawdziwa moc się marnuje. Każdy mag używa swej sztuki przeciw innym, służąc chciwcom. Co dobrego może zdziałać tak użyta sztuka? To marnotrawstwo. Służy złu bądź zostaje zmarnowana, jak życie niewolników. Nikt nie może być wolny, póki jest sam. Nawet mag. Wszyscy zostali uwięzieni, używają swej mocy i niczego nie zyskują. Nic się nie zmienia. Nie da się wykorzystać mocy w służbie dobra.

Ayo zacisnęła dłoń i otwarła ją w znanym mu geście. To był znak.

Do Przylesia przybył mężczyzna, węglarz ze Szreni.

— Moja żona, Gniazdo, przesyła wiadomość mądrym kobietom — rzekł i wieśniacy zaprowadzili go do domu Ayo. Stając na progu, uczynił szybki gest: pięść rozchylającą się w otwartą dłoń. — Gniazdo mówi, że wrony wcześnie odlatują, a ogar jest na tropie wydry — oznajmił.

Wydra, obierający przy ogniu orzechy, zamarł. Miód podziękowała posłańcowi, przyniosła mu kubek wody i garść wyłuskanych orzechów. Wraz z Ayo pogawędziły chwilę o jego żonie. Kiedy odszedł, odwróciła się do Wydry.

— Ogar służy Losenowi — powiedział. — Odejdę jeszcze dzisiaj. Miód zerknęła na siostrę.

— Czas zatem, abyśmy porozmawiali.

Usiadła naprzeciw niego. Ayo stała przy stole; milczała. W palenisku płonął ciepły ogień. W owej zimnej, mokrej porze roku, tu w górach, mieli pod dostatkiem wyłącznie drew na opał.

— W całej tej okolicy, i może poza nią, są ludzie, którzy myślą tak jak ty. Że nikt sam nie może zachować mądrości. Ci ludzie próbują trzymać się razem. Dlatego nazywają nas Dłonią albo Kobietami Dłoni, choć są wśród nas i mężczyźni. Nazwa ta jednak pomaga, bo wielcy nie oczekują po kobietach, że będą ze sobą współpracować albo myśleć o takich sprawach jak władza, zło czy dobro, czy moc.

— Powiadają — wtrąciła Ayo stojąca wśród cieni — że istnieje wyspa, na której wciąż jeszcze, jak za czasów królów, panuje sprawiedliwość. Nazywają ją Wyspą Morreda. Nie jest to jednak Enlad Królów ani Ea. Leży na południe, nie na północ od Havnoru; tak mówią. Twierdzą też, że tamtejsze Kobiety Dłoni zachowały dawne sztuki i wciąż ich nauczają. Nie ukrywają przed sobą nawzajem, jak czarnoksiężnicy.

— Może dzięki tym naukom pokonasz owych czarnoksiężników — wtrąciła Miód.

— Może zdołasz *znaleźć* tę wyspę — dodała Ayo.

Wydra wodził oczami od jednej do drugiej. Bez wątpienia zdradziły mu swój największy sekret, największą nadzieję.

— Wyspa Morreda — powtórzył.

— Tak nazywają ją tylko Kobiety Dłoni, ukrywając znaczenie tych słów przed magami i piratami. Oni bez wątpienia posługują się inną nazwą.

— To musi być bardzo daleko stąd — zauważyła Miód.

Dla wszystkich mieszkańców wioski góra Onn była całym światem, a wybrzeża Havnoru skrajem wszechświata. Za nimi rozciągała się kraina snów i pogłosek.

— Trzeba płynąć morzem, na południe; tak mówią — oznajmiła Ayo.

— On już to wie, siostro — wtrąciła Miód. — Czyż nie mówił, że był szkutnikiem? Ale z pewnością to bardzo długa podróż. Skoro tropi cię czarnoksiężnik, jak zdołasz się tam udać?

— Dzięki łasce wód, na których nie pozostaje ślad — odparł Wydra i wstał.

Z jego kolan posypały się skorupki orzechów. Miotłą zamiótł je do popielnika.

— Lepiej już pójdę.

— Weź trochę chleba — powiedziała Ayo.

Miód pospiesznie spakowała do sakwy z żołądka owcy suchary, twardy ser i orzechy. Ludzie z Przylesia byli biedni. Dali mu wszystko, co mieli, tak jak Anieb.

— Moja matka urodziła się w Skraju Drogi, po drugiej stronie lasu Faliern — powiedział Wydra. — Znacie to miasteczko? Nazywają ją Róża, córka Jarzębiny.

— Latem wozacy jeżdżą do Skraju Drogi.

— Czy ktoś mógłby pomówić z rodziną matki? Przekażą jej wiadomość. Jej brat, Mały Jesion, co rok lub dwa odwiedza miasto.

Skinęły głowami.

— Niech tylko wie, że żyję — rzekł. Matka Anieb przytaknęła.

— Dowie się.

— Idź już — dodała Miód.

— Odejdź wodą — zakończyła Ayo. Uścisnął je obie i wyszedł z domu.

Ruszył biegiem naprzód, zostawiając za sobą nędzne chaty, wprost do huczącego potoku, którego śpiew słyszał co noc, kładąc się do snu. Zaczął się do niego modlić.

— Zabierz mnie i ocal — poprosił. Rzucił zaklęcie, którego dawno temu nauczył go stary Zmiana, i wypowiedział słowo Przemiany. A potem nad bystrą wodą nie klęczał już człowiek. Wydra wsunęła się do potoku i znikła.

III. RYBOŁÓW

Na naszym wzgórzu człek raz żył,
Co z woli swej korzystał sił.
Zmieniał swe miano i swój stan,
Lecz wciąż pozostał taki sam.
A woda płynie bystro w dal,
A woda płynie w dał.

Pewnego zimowego popołudnia przy ujściu rzeki Onnevy do północnego skraja Wielkiej Zatoki Havnorskiej, na mokrym piasku stał człowiek odziany w ubogi strój i zniszczone buty; szczupły, brązowoskóry, o ciemnych oczach i włosach tak cienkich i gęstych, że przypominały sierść wydry. Padał deszcz, drobniutki, zimny, ponury deszcz szarej zimy. Przemoczony do nitki człowiek zgarbił się, odwrócił i powoli ruszył w stronę smużki dymu, którą ujrzał daleko na horyzoncie. Za sobą zostawił ślady czterech łap wydry tuż przy brzegu oraz dwóch ludzkich stóp kroczących naprzód.

Pieśni nie mówią, dokąd się udał. Twierdzą tylko, że wędrował, “wędrował długo, z wyspy na wyspę". Jeśli ruszył wzdłuż wybrzeża Wielkiej Wyspy, w wielu wioskach mógł natknąć się na położną, mądrą kobietę, czy czarodzieja, znających sygnał Dłoni i gotowych mu pomóc. Lecz ponieważ wiedział, że tropi go Ogar, prawdopodobnie czym prędzej opuścił Havnor jako członek załogi łodzi rybackiej z Cieśniny Ebavnoru albo na handlowym statku z Morza Najgłębszego.

Na wyspie Ark i w Orrimy na Hosku, a także wśród Dziewięćdziesięciu Wysp przetrwały podania o człowieku, który przybył tam, szukając Wyspy Morreda, gdzie ludzie pamiętają prawa królów i honor czarnoksiężników. Nie da się orzec, czy opowieści te traktują o Medrze, bo posługiwał się wówczas wieloma imionami. Praktycznie nigdy nie nazywał siebie Wydrą.

Upadek Gelluka nie zachwiał pozycją Losena. Królowi piratów służyli też inni czarnoksiężnicy, wśród nich Wczesny, który bardzo chciał odszukać niedorostka, pogromcę Gelluka, i miał duże szansę go odnaleźć. Władza Losena sięgała poza granice Havnoru, na północ Morza Najgłębszego. Z upływem lat rosła. Węch Ogara zaś pozostał czuły jak zwykle.

Być może, Medra przybył na Pendor, by umknąć pogoni. Wyspa ta leżała daleko na zachód od Morza Najgłębszego. Możliwe też, iż przywiodły go tam pogłoski krążące wśród Kobiet Dłoni na Hosku. W owych czasach Pendor był bogatą wyspą. Nie przybył tam jeszcze

smok. Do tej pory wszystkie wyspy, które odwiedził Medra, w najlepszym razie przypominały Havnor; zwykle działo się na nich jeszcze gorzej. Wojny, napaści piratów i spory możnych stanowiły chleb powszedni; pola zarosły chwastami, w miastach roiło się od złodziei. Z początku wydało mu się, że na Pendorze odnalazł Wyspę Morreda, miasto bowiem było piękne i spokojne, a ludziom świetnie się wiodło.

Spotkał tam starego maga, który nazywał się Smoczy Lot; jego prawdziwe imię zostało zapomniane. Gdy Smoczy Lot wysłuchał opowieści o Wyspie Morreda, ze smutkiem potrząsnął głową.

— Nie tutaj — rzekł. — To nie ta wyspa. Władcy Pendoru to dobrzy ludzie. Pamiętają królów, nie łakną wojen ani rozbojów. Wysyłają jednak swych synów na zachód, by polowali na smoki dla zabawy, jakby smoki z zachodnich rubieży były kaczkami bądź gęsiami, które można zabijać. Nic dobrego z tego nie przyjdzie.

Smoczy Lot z radością przyjął Medrę na swego ucznia.

— Mnie samego nauczał mag, który oddał mi wszystko, co wiedział. Nigdy jednak nie znalazłem nikogo, komu mógłbym tę wiedzę przekazać — powiedział. — Przychodzą do mnie młodzi i pytają: Do czego przydaje się twoja sztuka? Potrafisz znajdować złoto? Mógłbyś mnie nauczyć przemieniać kamienie w diamenty? Dać miecz, który zabije smoka? Nic mi nie gadaj o równowadze świata. Nie da się na tym zarobić, mówią. Nie da się zarobić.

I tak starzec uskarżał się na głupotę młodzieży i upadek moralności w dzisiejszych czasach. Jako nauczyciel okazał się szczodry i niestrudzony. Po raz pierwszy Medra spojrzał na magię nie jak na zbiór dziwnych darów i odrębnych umiejętności, lecz jak na sztukę, którą poznać można dzięki długiej nauce i korzystać z niej po długiej praktyce, choć nawet wtedy nie traci ona niczego ze swojej osobliwości. Smoczy Lot znał niewiele więcej zaklęć i czarów niż jego uczeń, jednakże wyraźnie dostrzegał coś znacznie ważniejszego: harmonię owej wiedzy. Dzięki temu stał się magiem.

Słuchając go, Medra myślał o tym, jak wędrowali z Anieb w mroku i deszczu, kierując się słabym blaskiem, ukazującym jedynie następny krok, i jak podnieśli oczy, by ujrzeć czerwony wierzchołek góry o świcie.

— Każde zaklęcie zależy od wszystkich innych zaklęć — mówił Smoczy Lot. — Ruch jednego liścia porusza wszystkie inne liście na wszystkich drzewach wszystkich wysp Ziemiomorza. Istnieje wzorzec. Jego właśnie musisz szukać. Ku niemu się zwracać. Wszystko winno być częścią wzorca. Tylko w nim kryje się wolność.

Medra spędził ze starcem cały rok, a gdy mag umarł, władca Pendoru poprosił, by uczeń zajął jego miejsce. Mimo skarg i wyrzekań na łowców smoków, Smoczy Lot cieszył się na wyspie ogromnym

szacunkiem. Jego następca zyskałby władzę i zaszczyty. Uznawszy, że bardziej nie zdoła się już zbliżyć do Wyspy Morreda, Medra spędził jeszcze nieco czasu na Pendorze. Wypłynął nawet statkiem z młodym władcą. Minęli Toringaty i zapuścili się daleko na Rubieże Zachodnie w poszukiwaniu smoków. W głębi serca pragnął ujrzeć smoka, lecz przedwczesne sztormy, plaga owych czasów, trzy razy odepchnęły statek do Ingat. Odmówił ponownego skierowania go wbrew wichurom na zachód. Od swych dziecięcych lat, kiedy pływał łódką w Zatoce Havnorskiej, wiele się nauczył o zaklinaniu pogody.

Niedługo potem opuścił Pendor i znów ruszył na południe. Zapewne odwiedził Ensmer. W różnych przebraniach wędrował dalej i w końcu dotarł na Geath w Archipelagu Dziewięćdziesięciu Wysp.

Podobnie jak dziś, wtedy także łowiono tam wieloryby. Nie miał ochoty przykładać do tego ręki. Na wyspie Geath statki i miasta cuchnęły. Nie podobała mu się myśl o podróży statkiem niewolniczym, lecz na wschód wypływała jedynie galera wioząca wielorybi tran do O Portu. Medra słyszał wzmianki o Morzu Zamkniętym, na południe i wschód od O. Były tam bogate, mało znane wyspy, rzadko nawiązujące kontakty z krainami Morza Najgłębszego. Może tam kryło się to, czego szukał. Przedstawił się zatem jako zaklinacz pogody i zaokrętował na galerę, której wiosłami poruszało czterdziestu niewolników.

Dla odmiany pogoda się poprawiła. Mieli sprzyjający wiatr. Po błękitnym niebie wędrowały białe obłoczki. Morze skrzyło się w blasku późnowiosennego słońca. Opuścili Geath i pewnego dnia Medra usłyszał, jak kapitan mówi do sternika:

— Skręć dziś na południe, żeby ominąć Roke. Nie wiedział nic o tej wyspie, spytał zatem:

— Co tam jest?

— Śmierć i zniszczenie — odparł kapitan, niski mężczyzna o małych, smutnych, mądrych oczach przypominających oczy wieloryba.

— Wojna?

— Wiele lat temu. *Zaraza.* Czarna magia. Wody otaczające Roke są przeklęte.

— Robaki — dodał sternik, brat kapitana. — W każdej rybie złowionej w pobliżu Roke roi się od robaków niczym w truchle zdechłego psa.

— Czy wciąż mieszkają tam ludzie? — spytał Medra.

— Czarownice — odparł kapitan, a jego brat dodał:

— Robakożercy.

W Archipelagu było wiele podobnych wysp — wyjałowionych, zniszczonych klątwami i plagami zsyłanymi przez walczących czarnoksiężników. Lepiej było ich nie odwiedzać ani nawet nie

przepływać w pobliżu. Medra nie myślał więcej o wyspie aż do nocy.

Zasnął na pokładzie, w blasku gwiazd, i przyśnił mu się prosty, niezwykle wyraźny sen. Był dzień, po jasnym niebie płynęły chmury. A po drugiej stronie morza ujrzał skąpaną w promieniach kopułę wysokiego zielonego wzgórza. Ocknął się i ciągle miał tę wizję przed oczami. Wiedział, że to wzgórze oglądał już dziesięć lat wcześniej, w zamkniętym zaklęciem więzieniu przy kopalni w Samory.

Usiadł. Ciemne morze było tak spokojne, że gwiazdy odbijały się tu i ówdzie na łagodnie falującej wodzie. Wiosłowe galery rzadko oddalają się od lądu i rzadko żeglują w nocy. Zwykle zawijają do zatok bądź przystani. Podczas tej przeprawy jednak nie mieli gdzie rzucić cumy, a ponieważ pogoda im sprzyjała, ustawili maszt i wciągnęli na niego wielki, kwadratowy żagiel. Statek płynął wolno naprzód. Niewolnicy spali na ławkach. Wolni członkowie załogi także drzemali. Czuwał tylko sternik i wachtowy, a i tego morzył sen. Woda szeptała za burtą. Deski lekko trzeszczały. Łańcuch niewolnika zadźwięczał cicho — raz, drugi.

Takiej nocy nie potrzebują zaklinacza pogody, a zresztą jeszcze mi nie zapłacili, rzekł do siebie Medra, by uspokoić sumienie. Wciąż myślał o Roke. Czemu nigdy nie słyszał o tej wyspie, nie widział jej na mapach? Może rzeczywiście była przeklęta i bezludna, ale powinna się *znaleźć* na mapie.

Mógłby polecieć tam jako rybołów i wrócić na statek przed świtem. Ale po co odwiedzać Roke? Wszędzie można znaleźć spustoszone krainy, nie ma potrzeby specjalnie ich szukać, uznał. Wygodniej usadowił się na zwoju liny i zapatrzył w niebo. Spoglądając na zachód, ujrzał cztery jasne gwiazdy Kuźni wiszące nisko nad morzem. Wydawały się nieco niewyraźne. Nagle na jego oczach kolejno zgasły.

Gładka tafla morza leciusieńko zadrżała.

— Kapitanie! — zawołał Medra, zrywając się z miejsca. — Obudź się!

— Co się stało?

— Nadciąga magiczny wiatr. Za nami. Zwińcie żagiel. Powietrze nawet nie drgnęło; było kompletnie nieruchome.

Wielki żagiel wisiał na maszcie. Jedynie zachodnie gwiazdy gasły i znikały w milczącej czerni wznoszącej się wolno coraz wyżej. Kapitan spojrzał w niebo.

— Magiczny wiatr, mówisz? — spytał z wahaniem.

Ludzie parający się magią używali pogody niczym broni, posyłając grad, by wybił zbiory wroga, i wichurę, by zatopiła jego statki. Podobne burze, szalone, nieprzewidywalne, nie ustawały w miejscu, do którego je skierowano, i sprawiały kłopoty żniwiarzom bądź żeglarzom jeszcze setki mil dalej.

— Zwińcie żagiel, zdejmijcie żagiel! — powtórzył rozkazująco Medra.

Kapitan ziewnął, rzucił przekleństwo i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Członkowie załogi podnieśli się z pokładu i powoli spuszczali wielką płachtę. Szef wioślarzy, zadawszy kilka pytań kapitanowi i Medrze, jął wrzeszczeć na niewolników, budził nieszczęsnych uderzeniami pokrytej węzłami liny. Żagiel był już w połowie masztu, ruszyła się połowa wioseł, Medra wymówił pół zaklęcia uspokajającego, gdy uderzył magiczny wiatr.

Towarzyszyła mu błyskawica rozdzierająca nagłą, nieprzeniknioną ciemność. Lunął deszcz. Statek wierzgnął niczym spłoszony koń i skoczył naprzód tak gwałtownie, że maszt się ułamał, choć liny wytrzymały. Żagiel uderzył w wodę, napełnił się i pociągnął za sobą galerę. Wielkie wiosła osunęły się w dulkach. Zakuci w łańcuchy niewolnicy krzyczeli na swych ławach. Baryłki tranu pękały i przewalały się po pokładzie, a żagiel ciągnął i nie puszczał. Pokład wzniósł się pionowo. Kolejna wielka fala uderzyła w galerę, przewróciła ją i zatopiła. Rozpaczliwe wrzaski umilkły nagle. Ryk sztormu słabł, w miarę jak niezwykły wiatr oddalał się na wschód. W sercu burzy morski ptak rozpostarł skrzydła, wznosząc się znad czarnych wód. Bezbronny, samotny, pofrunął na północ.

Pierwsze promienie słońca na wąskim paśmie piasku pod granitowymi urwiskami oświetliły ślady ptasich nóg. W pewnym momencie ślady urwały się, zastąpione ludzkimi śladami. Odciski stóp zdążały wzdłuż plaży zwężającej się między skałami a morzem. Potem i one zniknęły.

Medra zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa towarzyszącego ciągłemu przyjmowaniu obcej postaci. Był jednak wstrząśnięty po katastrofie i osłabiony długim nocnym lotem, a szara plaża doprowadziła go jedynie do stromych skał, na które nie zdołałby się wdrapać. Rzucił zaklęcie i raz jeszcze wypowiedział słowo. Już jako rybołów wzleciał na mocnych skrzydłach ponad urwisko. Potem, opętany żądzą lotu, pofrunął dalej nad krainą jeszcze spowitą w mrok. Daleko w oddali ujrzał jaśniejącą w pierwszych promieniach słońca kopułę wysokiego zielonego wzgórza.

Tam właśnie pofrunął i tam wylądował. A gdy dotknął ziemi, znów stał się człowiekiem.

Długą chwilę stał bez ruchu, oszołomiony. Miał wrażenie, że nie powrócił do swej postaci z własnej woli, lecz sprawiło to dotknięcie tej ziemi, tego wzgórza. Władała tu magia, znacznie potężniejsza niż jego własna.

Czujny, zaciekawiony rozejrzał się wokół. Na całym wzgórzu kwitł iskiernik. Jego długie płatki połyskiwały żółcią w trawie. Dzieci w Havnorze znały ów kwiat. Nazywały go iskrami z Hien, które

spłonęło, gdy smok Orm Ognisty zaatakował wyspy, a *Er*reth-Akbe ścigał go na najdalszy zachód, aż na Selidor. Medra przypominał sobie pieśni i opowieści o bohaterach: Erreth-Akbem i innych przed nim, Akambarze, który wyparł Kargów na wschód, i Serriadhu, władcy pokoju. A także o magu Athu i Morredzie, Białym Czarnoksiężniku, umiłowanym królu. Odważni i mądrzy, stanęli przed nim, jakby wezwał ich, przywołał, choć nie wypowiedział ni słowa. Ujrzał ich. Stali w wysokiej trawie wśród kwiatów w kształcie płomyków kołyszących się w porannym wietrze.

A potem wszyscy zniknęli. Znów był sam na wzgórzu, wstrząśnięty i zadziwiony.

Widziałem władców i królów Ziemiomorza, pomyślał. I wszyscy są tylko trawą rosnącą na tym wzgórzu.

Powoli ruszył na wschodnie zbocze, jasne i ciepłe, skąpane w blasku słońca, które wyłoniło się już zza horyzontu. W jego promieniach ujrzał dachy miasta nad wychodzącą na wschód zatoką. A dalej za nimi granicę, gdzie morze styka się z niebem. Odwróciwszy się na zachód, zobaczył pola, pastwiska i drogi. Na północy wznosiły się długie zielone wzgórza. W południowym zakątku wyspy wyrastał gaj wysokich drzew. Medrze wydało się, że to forpoczta wielkiej puszczy, takiej jak Faliern na Havnorze, po chwili jednak ze zdumieniem dostrzegł za gajem pozbawione drzew wrzosowiska i pastwiska.

Stał tam długo; w końcu zszedł w dół, stąpając wśród wysokiej trawy i iskiernika. U stóp wzgórza ujrzał dróżkę wiodącą ku farmom, dobrze utrzymanym, lecz chyba opuszczonym. Szukał drogi do miasta, żadna ścieżka jednak nie wiodła na wschód. Na polach nie dostrzegł żywego ducha, choć część z nich była świeżo zaorana. Gdy mijał farmy, nie zaszczekał żaden pies. Jedynie na rozstajach stary osioł, pasący się na kamienistej łące, wysunął łeb nad drewnianym płotem, łaknąc towarzystwa. Medra, wychowany w mieście, wśród łodzi, nie znał się na farmach i zwierzętach, miał jednak wrażenie, że osioł spogląda na niego przyjaźnie. Przystanął, by pogładzić szarobrązowy kościsty pysk.

— Gdzie jestem, ośle? — spytał. — Jak mam dotrzeć do miasta?

Osioł przytulił głowę do jego dłoni i zastrzygł długim prawym uchem. Zatem Medra na rozstajach skręcił w prawo, choć zdawało mu się, że w ten sposób powróci na wzgórze. Wkrótce znalazł się wśród domów, a potem na ulicy wiodącej wprost do miasta nad zatoką.

W mieście tym panowała równie osobliwa cisza jak na farmach. Nie słyszał żadnych głosów. Nie widział twarzy. Trudno było czuć niepokój w tak na pozór zwyczajnym miasteczku w słodki, wiosenny poranek. Jednakże cisza sprawiała, że zastanawiał się, czy istotnie nie trafił do krainy spustoszonej przez zarazę, na przeklętą wyspę. Szedł

dalej. Między domem a starą śliwą rozciągnięto sznur z praniem. Przypięte do niego ubrania kołysały się na ciepłym wietrze. Zza rogu, z ogrodu, wyszedł kot o białych łapach — dorodny, lśniący. Medra skręcił w brukowaną uliczkę, kiedy usłyszał głosy. Przystanął, nasłuchując. Cisza.

Poszedł dalej. Uliczka prowadziła na niewielki rynek, gdzie nie rozstawiono żadnych kramów. Zebrali się tam ludzie. Nieliczni. Nie kupowali ani nie sprzedawali. Czekali na niego. Odkąd na zielonym wzgórzu wyrastającym nad miastem ujrzał plamy światła i cienia w trawie, w jego sercu zapanował spokój. Przepełniało go wyczekiwanie niezwykłości, ale nie lęk. Teraz stanął bez ruchu, patrząc na ludzi, którzy wyszli mu na spotkanie.

Było ich troje, stary, rosły mężczyzna o szerokich barach i lśniących siwych włosach oraz dwie kobiety. Czarodziej zawsze pozna czarodzieja. Medra natychmiast się zorientował, iż kobiety obdarzone są mocą.

Uniósł zaciśniętą w pięść rękę, a potem odwrócił ją i otworzył, ukazując wnętrze dłoni.

Jedna z kobiet, ta wyższa, roześmiała się, nie odpowiedziała jednak podobnym gestem.

— Powiedz nam, kim jesteś — rzekł siwowłosy uprzejmie, lecz bez słowa powitania. — Powiedz, jak tu przybyłeś.

— Urodziłem się w Havnorze. Wychowano mnie na szkutnika i czarnoksiężnika. Płynąłem statkiem z Geath do O Portu. Sam jeden uszedłem z życiem zeszłej nocy, gdy uderzył w nas magiczny wiatr.

Medra zamilkł. Wspomnienie galery i płynących nią ludzi pochłonęło jego myśli, tak jak czarne morze pochłonęło statek. Ze świstem wciągnął powietrze, jakby wynurzał się z wody.

— Jak tu przybyłeś?

— Jako… jako ptak, rybołów. Czy to jest Roke?

— Zmieniłeś się? Przytaknął.

— Komu służysz? — spytała niższa i młodsza z kobiet, odzywając się po raz pierwszy. Miała czujną, twardą twarz i długie czarne brwi.

— Nie mam pana.

— Czemu wybierałeś się do O Portu?

— W Havnorze wiele lat temu trafiłem w niewolę. Ci, którzy mnie uwolnili, opowiedzieli mi o miejscu, gdzie nie ma panów, wciąż pamięta się rządy Serriadha i szanuje sztuki. Od siedmiu lat szukam owego miejsca, owej wyspy.

— Kto ci o nim opowiedział?

— Kobiety Dłoni.

— Każdy może podnieść pięść i pokazać dłoń — powiedziała łagodnie wyższa kobieta. — Ale nie każdy zdoła do Roke dolecieć, dopłynąć, dożeglować, w ogóle tu dotrzeć. Musimy zatem spytać, co

cię tu sprowadza.

Wydra nie odpowiedział od razu.

— Przypadek — rzekł w końcu — sprzyjający latom pragnień. Nie sztuka, nie wiedza. Myślę, że przybyłem do miejsca, którego szukałem, ale tego nie wiem. Myślę, że jesteście ludźmi, o których mi opowiadano. Ale tego nie wiem. Myślę, że drzewa, które widziałem ze wzgórza, skrywają w sobie wielką tajemnicę. Ale tego nie wiem. Wiem jedynie, że odkąd postawiłem stopę na tamtym wzgórzu, stałem się taki jak kiedyś, w dzieciństwie, gdy pierwszy raz usłyszałem pieśń “Czyny Enladzkie". Błąkam się pośród cudów.

Zbliżyli się ku nim inni ludzie. Usłyszał ciche głosy.

— Gdybyś tu został, co byś robił? — spytała kobieta o czarnych brwiach.

— Mogę budować łodzie, naprawiać je, żeglować. Potrafię znajdować nad ziemią i pod ziemią. Umiem zaklinać pogodę, jeśli tego wam trzeba. I będę uczył się od wszystkich, którzy zechcą mi coś przekazać.

— Czego pragniesz się uczyć? — spytała wyższa kobieta łagodnym głosem. Teraz Medra poczuł, że zadano mu pytanie, od którego zależeć będzie reszta jego życia. I znowu przez jakiś czas milczał. Zaczął coś mówić, umilkł i w końcu rzekł:

— Nie mogłem nikogo ocalić. Nikogo, nawet tej, która mnie ocaliła. Nic, co wiem, nie mogło jej uwolnić. Nie potrafię niczego. Jeśli wiecie, co znaczy wolność, błagam, nauczcie mnie.

— Wolność — powtórzyła wysoka kobieta. Jej głos zabrzmiał niczym trzaśniecie bicza. Spojrzała na swych towarzyszy i po chwili uśmiechnęła się lekko. Odwracając się do Medry, powiedziała:

— Jesteśmy więźniami, toteż wolność stanowi główny temat naszych nauk. Przybyłeś tu poprzez mury naszego więzienia. Twierdzisz, że szukasz wolności. Powinieneś jednak wiedzieć, że odejście z Roke może okazać się jeszcze trudniejsze niż przybycie tutaj. To więzienie wewnątrz więzienia, częściowo wzniesione przez nas samych — zerknęła na pozostałych. — Co powiecie? — spytała.

Zdawało się, że porozumiewają się w milczeniu. W końcu niższa z kobiet spojrzała na Medrę ognistymi oczami.

— Zostań, jeśli chcesz — rzekła.

— Zostanę.

— Jak mamy cię nazywać?

— Rybołów.

I tak go nazywano.

Na Roke znalazł jednocześnie więcej i mniej, niż sugerowała nadzieja, która od tak dawna kierowała jego krokami. Dowiedział się, że wyspa Roke leży w sercu Ziemiomorza. Pierwszą ziemią, wydźwigniętą z wód przez Segoya na początku czasu, była Jasna Za

na północy, drugą Roke. Zielone wzgórze, Pagórek Roke, miał korzenie głębsze niż wszystkie wyspy.

Drzewa, które czasami zdawały się stać w jednym miejscu wyspy, a czasami w innym, były najstarszymi drzewami świata, źródłem i sercem magii.

— Gdyby ścięto Gaj, upadłaby wszelka magia. Korzenie owych drzew to korzenie wiedzy. Wzory w cieniach ich liści i w blasku słońca powtarzają słowa, które Segoy wymówił podczas aktu Tworzenia.

Tak twierdziła Żar, jego zapalczywa nauczycielka o czarnych brwiach.

Na Roke sztuki magii nauczały wyłącznie kobiety. Na całej wyspie żyło niewielu mężczyzn. Żaden z nich nie władał mocą.

Trzydzieści lat wcześniej piraccy władcy z Wathort wysłali flotę, by podbiła Roke — nie dla bogactw, lecz by zniszczyć moc magii, o której krążyły plotki. Jeden z czarnoksiężników z Roke zdradził wyspę czarownikom z Wathort. Zdjął zaklęcia ostrzegawcze i obronne. Wówczas piraci zajęli wyspę, nie magią, ale mieczem i ogniem. Ich wielkie okręty zapełniły zatokę Thwil. Pirackie hordy paliły i rabowały. Łowcy niewolników uwozili mężczyzn, chłopców, młode kobiety. Małe dzieci i starców zabijali. Podpalali pola i domy. Gdy po kilku dniach odpłynęli, nie pozostawili ani jednej wioski. Farmy leżały w ruinie.

Miasto nad zatoką Thwil miało w sobie odrobinę niezwykłości Pagórka i Gaju. Choć bowiem napastnicy przebiegali przez nie w poszukiwaniu niewolników i łupów, i podpalali domy, ognie natychmiast wygasały, a wąskie uliczki zwiodły przybyszów na manowce. Spośród tych, co przeżyli napaść, większość stanowiły mądre kobiety i ich dzieci, które ukryły się w mieście bądź wewnętrznym Gaju. Mężczyźni, którzy obecnie żyli na Roke, byli właśnie owymi ocalałymi, obecnie już dorosłymi dziećmi. Na wyspie niepodzielnie rządziły Kobiety Dłoni. Ich zaklęcia od dawna strzegły Roke, a obecnie pilnowały jej jeszcze czujniej.

Kobiety Dłoni nie ufały mężczyznom. Jeden z nich je zdradził. Zaatakowali je mężczyźni. Męskie ambicje zwiodły na manowce magiczną sztukę, tak by służyła sprawie zysku.

— Nie chcemy mieć nic wspólnego z ich rządami — powiedziała łagodnym głosem wysoka Woal.

Żar jednak rzekła do Medry:

— Sami zgotowaliśmy sobie zgubę.

Kobiety Dłoni zebrały się na Roke ponad sto lat wcześniej, tworząc związek magów. Dumne, pewne swej mocy, próbowały nauczać innych, by w sekrecie trzymali się razem, przeciwstawiając się siewcom wojny, łowcom niewolników, do czasu gdy otwarcie przeciw nim powstaną. Kobiety wyruszały z Roke do innych krajów

wokół Morza Najgłębszego, tkając szeroką, niewidoczną sieć oporu. Nawet teraz pozostały z niej jeszcze strzępy. Medra natknął się na jeden z nich w wiosce Anieb i odtąd podążał tym śladem. Nie doprowadziły go jednak na wyspę. Od czasu najazdu Roke całkowicie odcięła się od świata, zamknięta wewnątrz kordonu potężnych zaklęć ochronnych, cały czas wzmacnianych przez mądre kobiety z wyspy. Wszelkie kontakty z innymi zostały zerwane.

— Nie mogliśmy ich ocalić — powiedziała Żar. — Nie mogliśmy ocalić siebie.

Woal, mimo uśmiechu i łagodnego głosu, była nieugięta. Oznajmiła Medrze, że zgodziła się na jego pozostanie na Roke, bo chciała mieć na niego oko.

— Raz już przebiłeś się przez nasz mur — rzekła. — To, co o sobie opowiadasz, może być prawdą, ale nie musi. Co mógłbyś mi powiedzieć, bym ci zaufała?

Zgodziła się z innymi, by dać mu mały domek na wybrzeżu i pracę u szkutniczki z Thwil, która sama wyuczyła się swego fachu i z radością przyjęła zręcznego pomocnika. Woal nie wtrącała się do jego życia. Zawsze witała go uprzejmie. Jednak na jej pytanie — “Co mógłbyś mi powiedzieć, bym ci zaufała?" — nie umiał odpowiedzieć.

Żar zwykle krzywiła się na jego widok. Zadawała mu krótkie pytania, słuchała odpowiedzi i milczała.

Pewnego razu nieśmiało spytał ją o Wewnętrzny Gaj, gdy bowiem zagadywał o to innych, zawsze słyszał: “Żar ci powie".

Ona jednak odmówiła odpowiedzi. Nie arogancko, lecz stanowczo.

— O Gaju możesz się nauczyć tylko w Gaju i tylko od niego. Pewnego popołudnia zeszła na piaszczystą plażę zatoki Thwil, gdzie Medra naprawiał łódź rybacką. Pomogła mu, jak umiała, wypytując o sztukę budowy łodzi, a on pokazał jej wszystko, co potrafił. Było to bardzo miłe popołudnie. Potem odeszła bez słowa. Trochę go niepokoiła. Była nieobliczalna. Zdumiał się, gdy kilka dni później oznajmiła:

— Po Długim Tańcu wyruszam do Gaju. Jeśli chcesz, chodź ze mną.

Choć zdawało się, że z pagórka Roke widać cały Gaj, kiedy człowiek wszedł między drzewa, nie zawsze znajdował drogę na pola. Wędrował pod dębami, bukami, jesionami, kasztanowcami, orzechami i wierzbami, znajomymi drzewami, zielonymi wiosną, nagimi zimą. Między nimi rosły też ciemne świerki i wysokie drzewa iglaste, których Medra nie znał, o miękkiej czerwonawej korze i stożkowatym kształcie. Szedł między nimi, a wiodąca wśród drzew ścieżka nigdy nie pozostawała taka sama. Ludzie w Thwil radzili, by zanadto nie zagłębiać się w las, bo tylko wracając tą samą drogą można było mieć

pewność, że się nie zabłądzi.

— Jak daleko sięga ten las? — spytał Medra.

— Tak daleko jak myśl — odparła Żar.

Mówiła, że liście na drzewach przemawiają, a cienie można odczytać.

— Uczę się je rozumieć — rzekła.

Podczas pobytu na Orrimy Medra nauczył się czytać zwykłe pismo Archipelagu. Później Smoczy Lot z Pendoru nauczył go niektórych run mocy. Była to jednak wciąż powszechna wiedza. Tego, czego Żar dowiedziała się samotnie w Wewnętrznym Gaju, nie znał nikt oprócz tych, z którymi podzieliła się swą wiedzą. Całe lato mieszkała pod kopułą Gaju, za osłonę mając jedynie gałęzie i gotując na niewielkim ogniu obok strumienia wypływającego z puszczy i wpadającego do rzeki.

Medra obozował nieopodal. Nie wiedział, czego Żar od niego chciała. Najwyraźniej pragnęła go uczyć. Zacząć odpowiadać na pytania o Gaj. Ale milczała. On także nie odzywał się słowem, nieśmiały i ostrożny, lękając się zakłócić jej samotność, która zdumiewała go, podobnie jak osobliwość samego Gaju. Drugiego dnia Żar poprosiła, by z nią poszedł, i zaprowadziła go daleko w głąb lasu. Wędrowali godzinami w milczeniu. W letnie popołudnie w lesie panowała cisza. Nie śpiewał żaden ptak. Liście nie szeleściły. Ścieżki między pniami ulegały nieskończonym zmianom, a jednak wszystkie były takie same. Medra nie zorientował się nawet, kiedy zawrócili. Wiedział jednak, że zaszli dalej niż wybrzeża Roke. Ciepłym wieczorem znów znaleźli się pośród pól i pastwisk. Gdy wracali do obozu, ujrzał nad zachodnimi wzgórzami cztery gwiazdy Kuźni.

Żar pożegnała go jedynie krótkim dobranoc. Następnego dnia oznajmiła:

— Zamierzam usiąść pod drzewami.

Niepewny, czego od niego oczekuje, podążył za nią w pewnej odległości. Gdy usiadła, zrobił to samo. Milczała, patrzyła i nasłuchiwała. On też patrzył, milczał i nasłuchiwał. Spędzili tak kilkanaście dni, aż wreszcie pewnego poranka Medra zbuntował się i kiedy Żar ruszyła do Gaju, został nad strumieniem. Nawet nie obejrzała się za siebie.

Tego ranka z Thwil przybyła Woal. Przyniosła im kosz chleba, sera i owoców.

— Czego się dowiedziałeś? — spytała Medrę swym chłodnym, łagodnym głosem.

— Że jestem głupcem — odparł.

— Czemu, Rybołowie?

— Tylko głupiec może siedzieć wiecznie pod drzewami i niczego się nie nauczyć.

Woal uśmiechnęła się lekko.

— Moja siostra nigdy dotąd nie uczyła mężczyzny — powiedziała. Zerknęła na niego i odwróciła wzrok, spoglądając na zielone i złote pola. — Nigdy dotąd nie spojrzała na mężczyznę — dodała.

Medra milczał. Twarz go paliła. Spuścił głowę.

— Myślałem… — zaczął i urwał.

W słowach Woal ujrzał drugie oblicze niecierpliwości milczącej Żar.

Próbował patrzeć na nią jak na kogoś nieosiągalnego, a przecież pragnął dotknąć jej miękkiej brązowej skóry, czarnych lśniących włosów. Gdy patrzyła na niego z nagłym wyzwaniem, myślał, że ją rozgniewał. Bał się ją zranić, urazić. Czego się lękała? Jego pożądania? Swojego własnego? Nie była jednak niedoświadczoną dziewczyną, lecz mądrą kobietą, magiem. Tą, która wędruje po Wewnętrznym Gaju i dostrzega wzory wśród cieni!

Wszystko to przemknęło mu przez głowę, niczym gwałtowna fala przerywająca tamę.

— Sądziłem, że magowie nie spoufalają się z innymi — powiedział w końcu. — Smoczy Lot mówił, że miłosne zbliżenie niszczy naszą moc.

— Tak twierdzą niektórzy — odparła łagodnie Woal. Uśmiechnęła się i pożegnała.

Medra czekał do wieczora, oszołomiony i zły. Gdy w końcu Żar wynurzyła się z Gaju i ruszyła do swego liściastego szałasu nad strumieniem, poszedł za nią, jako wymówkę dźwigając kosz Woal.

— Mogę z tobą pomówić? — spytał. Przytaknęła krótko, marszcząc czarne brwi.

Medra milczał. Żar przykucnęła, by sprawdzić, co jest w koszyku.

— Brzoskwinie! — wykrzyknęła i uśmiechnęła się.

— Mój mistrz, Smoczy Lot, mówił, że czarodzieje, którzy się kochają, tracą moc — wypalił w końcu Medra.

Nie odpowiedziała, wykładając na ziemię wszystko z koszyka i dzieląc na dwie części.

— Sądzisz, że to prawda? — spytał. Wzruszyła ramionami.

— Nie.

Zabrakło mu słów. Po chwili spojrzała na niego.

— Nie — powtórzyła cicho. — Nie sądzę, by była to prawda. Myślę, że wszystkie prawdziwe moce, stare moce u swych korzeni są tym samym.

Stał bez ruchu, w milczeniu.

— Te brzoskwinie są dojrzałe — rzekła. — Będziemy musieli zjeść je od razu.

— Gdybym zdradził ci moje imię — powiedział. — Moje prawdziwe imię…

— Wówczas podałabym ci moje — odparła. — Jeśli… jeśli tak właśnie powinniśmy zacząć.

Zaczęli jednak od brzoskwiń.

Oboje byli nieśmiali. Gdy Medra ujął jej dłoń, trzęsły mu się ręce i Żar, której imię brzmiało Elehal, odwróciła się gniewnie. Potem, bardzo lekko, musnęła jego palce. Kiedy gładził jej lśniące czarne włosy opadające niczym wodospad, zdawała się z trudem znosić jego dotknięcie, toteż przestał. Gdy spróbował ją objąć, była sztywna, odpychająca. Potem odwróciła się i pospiesznie, niezręcznie, gwałtownie chwyciła go w objęcia. Pierwsza wspólna noc i kolejne spędzone razem nie dały im zbyt wiele rozkoszy ani ukojenia. Uczyli się jednak od siebie. Pokonując wstyd i lęk, poznali w końcu namiętność. Wówczas długie dni w ciszy lasu i długie, rozświetlone gwiazdami noce stały się dla nich prawdziwą radością.

Kiedy z miasta przybyła Woal, przynosząc im ostatnie letnie brzoskwinie, wybuchnęli śmiechem. Brzoskwinie stały się symbolem ich szczęścia. Próbowali ją przekonać, by z nimi została i zjadła kolację. Nie zgodziła się jednak.

— Bądźcie tu, póki możecie — rzekła.

Tego roku lato nie trwało długo. Szybko nadeszły deszcze. Wczesną jesienią śnieg spadł na Roke, choć rzadko docierał tak daleko na południe. Kolejne sztormy atakowały wyspę, jakby wichry zbuntowały się przeciw manipulacjom czarowników. Kobiety siedziały razem przy ogniu w samotnych domach. Ludzie w Thwil zbierali się wokół palenisk. Słuchali skowytu wiatru, bębnienia deszczu, ciszy śniegu. Nad zatoką Thwil morze z hukiem uderzało o rafy i skały otaczające wyspę. Żadna łódź nie zdołałaby pokonać fal.

Dzielili się wszystkim, co mieli. Pod tym względem była to naprawdę Wyspa Morreda. Nikt na Roke nie głodował ani nie był bezdomny, choć też nikt nie miał wiele więcej, niż potrzebował. Ukryci przed resztą świata, nie tylko przez morze i sztormy, lecz przez zaklęcia otaczające wyspę i zwodzące statki z kursu, pracowali, rozmawiali i śpiewali pieśni: “Zimową kolędę", “Czyny młodego króla". Mieli też księgi: “Kroniki Enladzkie" i “Dzieje mądrych bohaterów". Starzy mężczyźni i kobiety czytali na głos urywki owych bezcennych ksiąg w sali na przystani, gdzie rybacy splatali i naprawiali sieci. Było tam palenisko. Rozpalali ogień. Ludzie przybywali nawet z farm po drugiej stronie wyspy, by słuchać dawnych historii. Siedzieli w ciszy, zasłuchani.

— Nasze dusze są głodne — mawiała Żar.

Zamieszkała z Medrą w jego małym domku nieopodal domu Sieci, choć wiele czasu spędzała z siostrą. Żar i Woal były małymi dziewczynkami, gdy przybyli najeźdźcy z Wathort. Matka ukryła je w piwnicy na farmie, a potem, korzystając ze swych zaklęć, próbowała

obronić męża i braci, którzy nie chcieli się kryć, lecz walczyli z najeźdźcami. Zostali zarżnięci tak jak ich bydło. Dom i budynki spalono. Dziewczynki spędziły w piwnicy wiele dni i nocy. Gdy w końcu zjawili się sąsiedzi, by pogrzebać gnijące ciała krów, znaleźli dwójkę dzieci, milczących, wygłodniałych, uzbrojonych w motykę i wyłamane ostrze pługa, gotowych bronić kopców kamieni i ziemi wzniesionych nad umarłymi.

Medra usłyszał od Żar zaledwie skrawki owej historii. Pewnego wieczoru opowiedziała mu ją Woal, trzy lata starsza od siostry i przechowująca w pamięci żywe obrazy tamtych dni. Żar siedziała obok, słuchając w milczeniu.

W rewanżu Medra opowiedział Woal i Żar o kopalniach w Samory, czarnoksiężniku Gelluku i niewolnicy Anieb. Gdy skończył, Woal milczała długą chwilę.

— To właśnie miałeś na myśli, gdy tu przybyłeś? “Nie mogłem ocalić tej, która mnie ocaliła".

— A ty spytałaś: “Co mógłbyś mi powiedzieć, bym ci zaufała?".

— Powiedziałeś — odparła Woal.

Medra ujął jej dłoń i uniósł do swego czoła. Opowiadając historię Somory, wstrzymywał łzy. Teraz pozwolił, by płynęły otwarcie.

— Dała mi wolność — rzekł. — Wciąż czuję, że wszystko, co robię, robię dzięki niej i dla niej. Nie, nie dla niej. Dla zmarłych niczego nie da się zrobić, ale dla…

— Dla nas — wtrąciła Żar. — Dla nas. Tych, którzy żyją w ukryciu. Nie zabici, nie zabijając. Martwi pozostaną martwi. Władcy, wielcy ludzie, podążają własną drogą. Cała nadzieja świata skupia się w ludziach, którzy nie mają znaczenia.

— Czy wiecznie musimy się ukrywać?

— Powiedziane jak na mężczyznę przystało. — Woal uśmiechnęła się lekko, z bólem.

— Tak — odparła Żar. — Musimy się ukrywać. Jeśli trzeba, wiecznie. Bo poza tą wyspą nie pozostało już nic, jedynie śmierć bądź zadawanie śmierci. Powiedziałeś to, a ja ci wierzę.

— Ale prawdziwej mocy nie uda się ukryć — zauważył Medra. — Nie na długo. W ukryciu moc umiera.

— Na Roke magia nie zginie — powiedziała Woal. — Na Roke wszystkie zaklęcia są silne. Tak mawiał sam Ath. Wędrowałeś przecież pod drzewami… Naszym zadaniem jest podtrzymywać tę siłę, ukrywać ją. O tak. Gromadzić, tak jak młody smok chciwie gromadzi w sobie ogień. I dzielić się nią. Ale tylko tutaj. Przekazywać ją następnym pokoleniom, tu, gdzie jest bezpieczna, gdzie wielcy rabusie i zabójcy nie będą jej szukać, bo nikt z nas nie ma dla nich znaczenia. Pewnego dnia smok zdobędzie dość sił, nawet jeśli trzeba na to tysiąca lat…

— Lecz poza Roke żyją zwykli ludzie — rzekł Medra. — Pracują nad siły, głodują, umierają w biedzie. Czy muszą tak żyć tysiąc lat, pozbawieni nadziei?

Powiódł wzrokiem od jednej siostry do drugiej, jednej łagodnej i niewzruszonej, drugiej — pod powłoką surowości — ciepłej i wrażliwej jak pierwszy płomień, z którego powstaje ogień.

— Na Havnorze — dodał — daleko od Roke, w wiosce na górze Onn, wśród ludzi, którzy nie wiedzą nic o świecie, wciąż żyją Kobiety Dłoni. Po tylu latach sieć wciąż istnieje. Jak ją utkano?

— Zręcznie, magicznie — odparła Żar. — Jak na sztukmistrzów przystało.

— I rzucono daleko! — Ponownie spojrzał na swe towarzyszki. — Niewiele nauczono mnie w mieście Havnor. Moi nauczyciele mówili, bym nie używał magii do złych celów. Żyli jednak w strachu, nie mieli sił, by przeciwstawić się potężniejszym od siebie. Dali mi wszystko, co posiadali. Nie było tego wiele. Tylko szczęście sprawiło, że moc nie zwiodła mnie na manowce. Szczęście i siła Anieb. Gdyby nie ona, służyłbym teraz Gellukowi. A przecież ona także nie odebrała żadnych nauk i stała się niewolnicą. Skoro nawet najlepsi źle uczą magii, a potężni wykorzystują ją do złych celów, jak może wzrosnąć nasza siła? Czym będzie karmił się młody smok?

— Jesteśmy w centrum — odparła Woal. — Musimy w nim pozostać i czekać.

— Musimy dawać to, co mamy — rzekł Medra. — Jeśli wszyscy poza nami żyją w niewoli, co warta jest nasza wolność?

— Prawdziwa sztuka pokonuje fałszywą. Wzór pozostanie. — Żar zmarszczyła brwi. Sięgnęła po pogrzebacz i poruszyła swój imiennik w palenisku. Nadwęglone drwa buchnęły jasnym ogniem. — To wiem, ale nasze życie jest krótkie, a Wzór bardzo długi. Gdyby tylko Roke wciąż pozostała taka jak kiedyś. Gdybyśmy mieli więcej ludzi władających prawdziwą sztuką, nauczających, uczących się, zachowujących moc…

— Gdyby Roke była wciąż taka jak kiedyś, znana ze swej siły, ci, których się lękamy, znów by przybyli, by nas zniszczyć — wtrąciła Woal.

— Naszą siłą jest dochowanie tajemnicy — podsumował Medra. — Ale i naszym problemem.

— Naszym problemem są mężczyźni — sprostowała Woal. — Wybacz, drogi bracie, lecz mężczyzn bardziej interesują inni mężczyźni niż kobiety i dzieci. Może tu być pięćdziesiąt czarownic i nie zwrócą na to uwagi. Gdyby jednak wiedzieli, że przebywa u nas pięciu magów, znów spróbowaliby nas zniszczyć.

— Choć zatem byli wśród nas mężczyźni, nazwano nas Kobietami Dłoni — dodała Żar.

— I wciąż nimi jesteście — zgodził się Medra. — Anieb była jedną z was. Ona, wy, my wszyscy żyjemy w tym samym więzieniu.

— Co możemy zrobić? — spytała Woal.

— Poznać naszą siłę! — odparł Medra.

— Załóżmy szkołę — powiedziała Żar. — Mędrcy będą uczyć się od siebie nawzajem, studiować Wzór… Gaj nas osłoni.

— Władcy wojen nienawidzą uczonych i nauczycieli — rzekł Medra.

— Myślę, że także się ich boją — mruknęła Woal. Rozmawiali tak owej długiej zimy. Inni rozmawiali z nimi.

Powoli z wizji zrodził się zamiar. Z tęsknoty plan. Woal, jak zawsze ostrożna, ostrzegała przed niebezpieczeństwem. Siwowłosy Wydma tak bardzo się zapalił, że — jak mówiła Żar — pragnął natychmiast *zacząć* uczyć magii wszystkie dzieci z Thwil. Gdy Żar raz uwierzyła, że wolność Roke polega na ofiarowaniu wolności innym, całkowicie skoncentrowała się na tym, jak Kobiety Dłoni mogą odzyskać siłę. Lecz jej myśli, uformowane przez długie samotne czuwania wśród drzew, zawsze pragnęły jasnych, prostych rozwiązań.

— Jak możemy uczyć naszej sztuki, gdy nie wiemy, czym jest naprawdę? — pytała.

Toteż rozmawiały i o tym wszystkie mądre kobiety z wyspy: Czym jest prawdziwa sztuka magiczna? Kiedy staje się fałszywa? Jak utrzymać bądź przywrócić równowagę? Które sztuki są potrzebne, użyteczne, a które niebezpieczne? Czemu niektórzy ludzie mają jeden dar, a nie inne? I czy można nauczyć się sztuki, do której brak nam wrodzonego talentu? Podczas owych dyskusji powstały nazwy, od tej pory zawsze nadawane owym umiejętnościom: szukanie, zaklinanie pogody, przemiany, uzdrawianie, przywoływanie, wzory, imiona, sztuka iluzji i znajomość pieśni.

Nawet dziś są to sztuki mistrzów z Roke, choć Mistrz Pieśni zajął miejsce Mistrza Szukania, gdy szukanie uznano za zwykłą użyteczną sztuczkę, niegodną magów.

Podczas tych dyskusji zrodziła się Szkoła na Roke.

Niektórzy twierdzą, że Szkoła powstała zupełnie inaczej. Mówią, że na Roke rządziła niegdyś niewiasta, zwana Mroczną Kobietą, sprzymierzona z Dawnymi Mocami ziemi. Twierdzą, iż kobieta ta żyła w jaskini, pod Pagórkiem Roke, nigdy nie wychodząc na świat, lecz tkając potężne zaklęcia, zasnuwając nimi ziemie i morze, i zmuszając ludzi, by byli posłuszni jej złej woli. Potem jednak na Roke przybył pierwszy arcymag, zburzył barierę, wtargnął do jaskini, pokonał Mroczną Kobietę i zajął jej miejsce.

W opowieści tej nie kryje się nawet ziarno prawdy, poza jednym: istotnie, jeden z pierwszych mistrzów z Roke otworzył wielką grotę i zszedł do niej. Grota ta jednak nie leżała na Roke, choć korzenie Roke

są korzeniami wszystkich innych wysp.

Prawdą jest też, iż w czasach Medry i Elehal ludzie z Roke, kobiety i mężczyźni, nie lękali się Dawnych Mocy ziemi, lecz oddawali im cześć, szukając w nich siły i natchnienia. Z upływem lat jednak uległo to zmianie.

Tego roku wiosna nadeszła późno — zimna i burzliwa. Medra zaczął budować łódź. Gdy zakwitły drzewka brzoskwiniowe, łódka była już gotowa: smukła, solidna łódź rybacka w havnorskim stylu. Nazwał ją “Nadzieja". Wkrótce potem wypłynął z zatoki Thwil, nie zabierając ze sobą towarzysza.

— Czekaj na mnie pod koniec lata — powiedział do Żar.

— Będę w Gaju — odparła. — A moje serce będzie z tobą, moja ciemna Wydro, biały Rybołowie, mój ukochany Medro.

— A moje z tobą, mój Ognisty Żarze, moje kwitnące drzewo, moja ukochana Elehal.

***

Podczas pierwszego ze swych poszukiwań Medra, czy też Rybołów, jak go nazywano, pożeglował na północ Morzem Najgłębszym na Orrimy. Wyspę tę odwiedził już kilka lat wcześniej. Żyli tam Ludzie Dłoni, którym ufał. Jeden z nich, Kruk, był bogatym odludkiem. Sam nie miał magicznego daru, miłował jednak wielce słowo pisane, księgi wiedzy i historię. To właśnie Kruk, jak sam powiedział, przemocą posadził Rybołowa nad książką, by nauczył się czytać.

— Nieuczeni magowie to przekleństwo Ziemiomorza! — krzyczał. — Moc w połączeniu z ignorancją rodzi zło.

Kruk był dziwnym człowiekiem, kapryśnym, aroganckim, szczodrym i kiedy przyszło do obrony jego namiętności, odważnym. Wiele lat wcześniej rzucił wyzwanie władzy Losena. W przebraniu udał się do portu w Havnorze i zdołał umknąć z czterema księgami pochodzącymi ze starożytnej biblioteki królów. Właśnie zdobył, i był z tego ogromnie dumny, magiczną rozprawę z Way, traktującą o mocy rtęci.

— Ją także sprzątnąłem sprzed nosa Losenowi — powiedział, zwracając się do Rybołowa. — Spójrz tylko, należała do słynnego czarnoksiężnika.

— Do Tinarala — rzekł Rybołów. — Znałem go.

— A zatem to śmieć? — Kruk natychmiast potrafił odczytywać wszelkie znaki, jeśli tylko odnosiły się do ksiąg.

— Nie wiem. Mam na oku większą zdobycz. Kruk zaciekawiony podniósł wzrok.

— Księgę Imion — wyznał Rybołów. — Zaginęła, gdy Ath wyruszył na zachód. Mag zwany Smoczym Lotem mówił, że kiedy Ath zatrzymał się na Pendorze, powiedział tamtejszemu czarownikowi, iż zostawił Księgę Imion na przechowanie u kobiety z Dziewięćdziesięciu Wysp.

— U kobiety?! Na przechowanie? Z Dziewięćdziesięciu Wysp? Oszalał?!

Kruk złościł się i narzekał, lecz sama myśl o tym, że Księga Imion wciąż może istnieć, sprawiła, że gotów był wyruszyć na Dziewięćdziesiąt Wysp.

Pożeglowali zatem “Nadzieją" na południe. Najpierw wylądowali na cuchnącej Geath, a potem, w przebraniu handlarzy, wędrowali od jednej wysepki do drugiej, pokonując labirynt kanałów. Kruk wyładował całą łódź towarami znacznie lepszymi od tych, które znali gospodarze z wysp, a Rybołów ofiarował je po uczciwej cenie, najczęściej na wymianę, wyspiarze bowiem niemal nie używali pieniędzy. Wkrótce sława zaczęła wyprzedzać dwóch handlarzy. Wszyscy wiedzieli, że chętnie wymienią się na księgi, byle stare i niezwykłe. Na wyspach jednak wszystkie księgi były stare i niezwykłe, choć niewiele ich już zostało.

Kruk szalał z radości, zdobywszy poplamiony wodą bestiariusz z czasów Akambara w zamian za pięć srebrnych guzików, nóż z rękojeścią z macicy perłowej i sztukę jedwabiu z Lorbanery. Zachwycał się starożytnymi opisami harikki, otaka i lodowego niedźwiedzia. Rybołów schodził na ląd na każdej wyspie, demonstrując swe towary w kuchniach miejscowych gospodyń i sennych tawernach, gdzie przesiadywali starcy. Czasami od niechcenia zaciskał rękę w pięść i unosił, ukazując wnętrze dłoni. Nikt jednak nie odpowiedział podobnym znakiem.

— Książki? — rzekł z powątpiewaniem wyplatacz koszy na północnym Sudidi. — Tak jak ta tutaj? — wskazał ręką długie pasma pergaminu wplecione w strzechę. — To one przydają się do czegoś jeszcze?

Kruk dostrzegł słowa widoczne tu i ówdzie pomiędzy sitowiem dachu i zaczął trząść się z gniewu. Rybołów pospiesznie odprowadził go do łodzi.

— To był tylko podręcznik uzdrawiacza zwierząt — powiedział Kruk. Opuścili już wyspę i żeglowali dalej. — Zdążyłem przeczytać “choroby stawów" i coś o sutkach owiec. Ale co za ignorancja! Co za straszna ignorancja! Wzmocnić dach kartami książki!

— A w dodatku była to bardzo użyteczna wiedza — przyznał Rybołów. — Jak ludzie mogą żyć godnie, jeśli nie zachowuje się

wiedzy, nie naucza jej? Gdyby tylko można zgromadzić księgi w jednym miejscu…

— Takim jak biblioteka królów. — W głosie Kruka zabrzmiała nuta tęsknoty za utraconą chwałą.

— Albo twoja biblioteka — uzupełnił Rybołów. Stał się już znacznie subtelniejszy niż kiedyś.

— To tylko fragmenty — odrzekł jego towarzysz, mówiąc z lekceważeniem o dziele swego życia. — Resztki!

— Początek — sprostował Rybołów. Kruk jedynie westchnął.

— Myślę, że powinniśmy znów popłynąć na południe. — Rybołów skręcił, zmierzając w stronę otwartego kanału, w kierunku Pody.

— Ty masz dar — przyznał Kruk. — Wiesz, gdzie szukać. Poszedłeś wprost do bestiariusza na strychu… Ale tu niczego nie ma. Niczego ważnego. Ath nie pozostawiłby największej z ksiąg wiedzy prostakom, którzy zrobiliby z niej dach. Zabierz nas na Pody, jeśli chcesz, a potem z powrotem na Orrimy. Mam już dosyć.

— Poza tym kończą nam się guziki — dokończył wesoło Rybołów. Czuł w sercu radość. Gdy tylko pomyślał o Pody, zrozumiał, że zmierza we właściwą stronę. — Może znajdę coś po drodze — dodał. — To w końcu mój talent.

Żaden z nich wcześniej nie był na Pody, sennej, południowej wyspie. Tutejszy piękny, stary port, Telio, wzniesiony z różowego piaskowca, otaczały pola i sady, które powinny być żyzne i pachnące, lecz od stu lat wyspą władali panowie z Wathort, nakładając podatki i porywając niewolników. Ich rządy odebrały siły ziemi i ludziom. Słoneczne ulice Telio były smutne i brudne. Ludzie mieszkali tu jak w głuszy: w namiotach i szałasach zbudowanych ze śmieci bądź na gołej ziemi.

— To na nic. — Kruk z niesmakiem ominął ludzkie odchody. — Ci nieszczęśnicy nie mają żadnych książek, Rybołowie.

— Zaczekaj. Daj mi jeden dzień.

— To niebezpieczne. To bez sensu. — Kruk jednak słabo protestował. Skromny, naiwny młodzieniec, którego niegdyś nauczył czytać, stał się obecnie jego mądrym przewodnikiem.

Podążył za nim głównymi ulicami i dalej, w głąb dzielnicy małych domków, dawnych siedzib tkaczy. Na Pody hodowano len. Wszędzie wokół stały kamienne budynki zmiękczalni, obecnie puste. W oknach widać było warsztaty tkackie. Na małym placu, skrytym w cieniu przed palącym słońcem, kilka kobiet przędło, siedząc wokół studni. W pobliżu bawiły się dzieci, niespokojne od gorąca, obdarte, z zainteresowaniem obserwujące przybyszów. Rybołów bez wahania ruszył w tamtą stronę, jakby wiedział, dokąd zmierza. Grzecznie powitał kobiety.

— Mój piękny panie — powiedziała z uśmiechem jedna z nich —

nie warto nawet pokazywać, co masz w swych workach. Nie mam bowiem ani miedziaka, ani kawałka kości. Od dawna ich nie oglądałam.

— Może jednak masz kawałek płótna, dobrodziejko, tkaniny bądź nici? Płótno z Pody jest najlepsze. Tak słyszałem aż na Havnorze. Potrafię też ocenić to, co teraz przędziecie. Piękna nić, doprawdy.

Kruk obserwował go z rozbawieniem i lekką wzgardą. Choć potrafił wspaniale targować się o książki, przekomarzania ze zwykłymi kobietami o guziki i nici były poniżej jego godności.

— Niech no tylko to otworzę — powiedział Rybołów, rozkładając swe rzeczy na bruku. Kobiety i brudne nieśmiałe dzieci podeszły bliżej, by obejrzeć cuda, jakie chciał im pokazać.

— Szukamy tkanin, niefarbowanych nici i innych rzeczy. Choćby guzików. Macie kościane bądź rogowe? Za trzy, cztery guziki gotów jestem dać mały aksamitny czepek. Albo zwój wstążki. Spójrzcie tylko na jej kolor! Pięknie pasowałaby do twych włosów, dobrodziejko. Szukamy też papieru bądź książek. Nasi panowie z Orrimy je lubią. Macie jakieś księgi?

— Piękny z ciebie mężczyzna — rzekła kobieta, która odezwała się pierwsza, i ze śmiechem uniosła do czarnego warkocza czerwoną wstążkę. — Żałuję, że nic dla ciebie nie mam!

— Nie śmiałbym prosić o całusa — odparł Medra. — Ale może otwartą dłoń.

Uczynił znak. Przez moment patrzyła na niego.

— To łatwe — rzekła cicho, odpowiadając tym samym gestem. — Ale nie zawsze bezpieczne wśród obcych.

Medra nadal demonstrował swe towary i wymieniał żarty z kobietami i dziećmi. Nikt niczego nie kupił. Miejscowi przyglądali się błyskotkom jak najcenniejszym skarbom. Pozwolił im patrzeć i obmacywać do woli. Nie odezwał się ani słowem, gdy jedno z dzieci podwędziło małe lusterko z polerowanego mosiądzu, choć widział, jak cacko znika pod obdartą koszulą. W końcu oznajmił, że musi iść dalej. Gdy tylko zebrał towar, dzieci odeszły.

— Mam sąsiadkę — oznajmiła kobieta o czarnych warkoczach — może znalazłoby się w jej domu trochę papieru, jeśli was to interesuje.

— Zapisanego? — wtrącił Kruk, który siedział dotąd na pokrywie studni i okropnie się nudził. — Pokrytego znakami?

Zmierzyła go wzrokiem.

— Pokrytego znakami, panie — powiedziała. A potem, zwracając się do Rybołowa, dodała innym tonem: — Jeśli zechcesz pójść ze mną, mieszka tam. To zwykła dziewczyna i w dodatku biedna, ale wierz mi, handlarzu, powita cię z otwartymi rękami, choć może nie wszyscy to czynimy.

— Z nas trojga troje. — Kruk pospiesznie uczynił znak. —

Oszczędź sobie jadu, kobieto.

— To wy, panie, musicie oszczędzać. Ja nie mam czego. Jesteśmy tu biedni. — Jej oczy błysnęły. Bez słowa poprowadziła ich naprzód.

Po chwili dotarli do piętrowego kamiennego domu na końcu uliczki. Kiedyś był piękny; teraz stał częściowo pusty, zrujnowany, pozbawiony okien i gzymsów. Przeszli przez podwórze z wykopaną pośrodku studnią. Kobieta zapukała do drzwi. Otworzyła jej dziewczyna.

— To nora czarownicy — rzekł Kruk, czując zapach ziół i aromatycznego dymu. Cofnął się o krok.

— Uzdrowicielki — poprawiła przewodniczka. — Czy ona wciąż niedomaga, Dory?

Dziewczyna przytaknęła, spoglądając najpierw na Rybołowa, potem na Kruka. Miała trzynaście, może czternaście lat. Choć szczupła, była mocno zbudowana. Jej oczy lśniły gniewnie.

— To Mężczyźni Dłoni, Dory, jeden niski i piękny, drugi wysoki i dumny. Szukają papierów. Wiem, że kiedyś miałaś coś takiego, ale czy masz jeszcze? Z ich *rzeczy* nic ci się nie przyda, może jednak dadzą ci kawałek kości. Czyż nie? — Zerknęła na Rybołowa, który skinął głową.

— Jest bardzo chora, Trzcino — powiedziała dziewczyna i zwróciła się do Rybołowa: — Nie jesteś uzdrowicielem. — Jej głos zabrzmiał oskarżycielsko.

— Nie.

— A ona owszem — wtrąciła Trzcina. — Jak jej matka. I matka matki. Wpuść nas, Dory. Albo przynajmniej mnie. Chcę z nią pomówić. — Dziewczyna na moment zniknęła w głębi domu. Trzcina odwróciła się do Medry. — Jej matka umiera na suchoty. Żaden uzdrowiciel nie mógłby jej pomóc. Kiedyś jednak umiała leczyć skrofuły i zaklinać ból. Była wspaniała. Dory z pewnością jej dorówna.

Dziewczyna wezwała ich gestem. Kruk wolał zaczekać na zewnątrz. Znaleźli się w wysokim, długim pomieszczeniu. Wokół widniały jeszcze ślady dawnej elegancji, jednak wszystko było bardzo stare i bardzo biedne. Rybołów dostrzegał wszędzie akcesoria uzdrowicielki i pęki suszonych ziół, ułożone w pewnym porządku. Tuż przy pięknym kamiennym kominku, z którego unosiła się wąska smużka słodkiego ziołowego dymu, stało łóżko. Leżąca na nim kobieta była tak wyniszczona, że w półmroku zdawała się jedynie kupką kości wśród cieni. Gdy Rybołów podszedł do niej, spróbowała usiąść. Córka uniosła jej głowę na poduszce i Rybołów usłyszał:

— Czarnoksiężnik. To nie przypadek.

Natychmiast pojął, że ta kobieta ma moc. Czy ona go tutaj wezwała?

— Jestem szukaczem — rzekł. — Znajduję.

— Możesz ją uczyć?

— Mogę ją zabrać do innych, którzy to potrafią.

— Zrób to.

— Zrobię.

Opadła na poduszki i zamknęła oczy.

Wstrząśnięty mocą jej woli, Rybołów wyprostował się i odetchnął głęboko. Spojrzał na dziewczynę, ona jednak nie zareagowała, z niemą rozpaczą obserwując matkę. Dopiero gdy kobieta pogrążyła się we śnie, Dory poszła pomóc Trzcinie, która krzątała się po izbie, zbierając zakrwawione szmatki rozrzucone wokół łóżka.

— Przed chwilą znów miała krwotok, a ja nie mogłam go powstrzymać — odezwała się Dory. Z jej oczu spływały łzy, kreśląc linie na policzkach. Twarz dziewczyny niemal się nie zmieniła.

— O, moja mała, biedne jagniątko. — Trzcina przytuliła ją. Dory odpowiedziała uściskiem, lecz nawet nie pochyliła głowy.

— Zmierza już tam, do muru, a ja nie mogę z nią pójść — powiedziała. — Idzie sama, a ja nie mogę z nią pójść. Czy ty byś mógł? — Oderwała się od sąsiadki, spoglądając na Rybołowa. — Mógłbyś!

— Nie — rzekł. — Nie znam drogi.

Lecz gdy mówiła, ujrzał to, co widziała dziewczyna: długie zbocze opadające w ciemność i dalej, na skraju mroku, niski kamienny mur. Nagle wydało mu się, że dostrzega kobietę wędrującą wzdłuż muru, bardzo chudą, zwiewną; kości i cienie. Nie była to jednak umierająca matka dziewczyny, lecz Anieb. A potem wizja zniknęła. Znów stał naprzeciw młodej czarownicy. Jej oczy z wolna łagodniały. Ukryła twarz w dłoniach.

— Musimy pozwolić im odejść — powiedział.

— Wiem — szepnęła.

Trzcina wodziła wzrokiem od jednego do drugiego. Jej oczy błyszczały.

— Człek nie tylko zręczny — rzekła — ale i utalentowany. Cóż, nie jesteś pierwszy.

Spojrzał na nią pytająco.

— Miejsce to nazywamy domem Atha — oświadczyła.

— On tu mieszkał — wtrąciła Dory. Przez moment w jej przepojonym beznadziejnym bólem głosie zabrzmiała nutka dumy. — Mag Ath, setki lat temu, zanim wyruszył na zachód. Wszystkie moje przodkinie były mądrymi kobietami. Zatrzymał się tutaj. Z nimi.

— Daj mi miednicę — poprosiła Trzcina. — Przyniosę wody, by namoczyć bandaże.

— Ja przyniosę wodę — wtrącił Rybołów. Z miednicą wyszedł na podwórko, do studni. Tak jak przedtem, Kruk siedział na cembrowinie, niespokojny i znudzony.

— Czemu tracimy tu czas? — spytał ostro, gdy Rybołów spuścił do studni wiadro. — Czyżbyś stał się sługą czarownic?

— Owszem. I będę jej służył aż do śmierci. A potem zabiorę jej córkę na Roke. Jeśli chcesz przeczytać Księgę Imion, możesz popłynąć z nami.

***

I tak szkoła na Roke zyskała pierwszą uczennicę zza morza, a także pierwszego bibliotekarza. Księga Imion, obecnie przechowywana w Wieży Osobnej, stała się podstawą wiedzy i metody imion leżącej u podstaw magii z Roke. Dory, która, jak mówiono, uczyła własnych nauczycieli, stała się mistrzynią sztuk uzdrawiania i ziół; zapewniła tej sztuce poczesne miejsce wśród innych nauczanych na Roke. Kruk natomiast, niezdolny rozstać się choćby na miesiąc z Księgą Imion, posłał po własne książki na Orrimy i wraz z nimi osiadł w Thwil. Pozwalał ludziom ze szkoły je studiować, jeśli tylko okazywali im — i jemu — stosowny szacunek.

Następne lata dla Rybołowa upływały podobnie. Późną wiosną wypływał “Nadzieją", szukając i znajdując ludzi do szkoły na Roke — głównie dzieci i młodzież, czasami też dorosłych mężczyzn i kobiety obdarzonych magicznym darem. Większość dzieci była biedna. I choć nie zabierał nikogo wbrew jego woli, rodzice i panowie rzadko poznawali prawdę. Rybołów był rybakiem potrzebującym do pomocy chłopaka bądź dziewczyny do pracy w tkalni, albo też kupował niewolników dla swego pana z innej wyspy. Jeśli oddawano dziecko, by zapewnić mu lepszą przyszłość, czy sprzedawano je do pracy, płacił prawdziwymi kościanymi płytkami. Gdy sprzedawano je w niewolę, płacił złotem i następnego dnia odpływał. Wtedy zaś złoto zmieniało się z powrotem w krowie łajno.

Zapuszczał się daleko, nawet na Wschodnie Rubieże, i nigdy nie odwiedzał dwukrotnie tego samego miasta czy wyspy, chyba że upłynęły całe lata. Mimo wszystko jednak wkrótce zaczęto o nim szeptać. Ludzie nazywali go złodziejem dzieci, straszliwym czarnoksiężnikiem, który porywa dzieci na swą wyspę na lodowej północy i wysysa im krew. Na Way i Felkway po dziś dzień rodzice straszą nim dzieci, pouczając, by nie ufały nieznajomym.

Wkrótce wielu Ludzi Dłoni wiedziało, co się dzieje na Roke. Na wyspę zaczęli przybywać przysyłani przez nich młodzi ludzie. Wielu z trudem docierało do celu, gdyż kryjące wyspę zaklęcia były jeszcze silniejsze niż dawniej. Sprawiały, iż wydawała się jedynie chmurą,

rafą wśród spienionych fal. Do tego wiatr z Roke nie dopuszczał do zatoki Thwil statków, o ile na pokładzie nie znalazł się czarnoksiężnik zdolny go odwrócić. Mimo to jednak przybywali. Lata mijały i w końcu okazało się, iż szkoła potrzebuje nowej siedziby, większej niż jakikolwiek budynek w Thwil.

W Ziemiomorzu mężczyźni budują statki, a kobiety domy. Tak nakazywał obyczaj. Jednak przy wznoszeniu większych budowli kobiety pracowały ramię w ramię z mężczyznami. Nie obowiązywały tu przesądy nie dopuszczające mężczyzn do kopalni ani zabraniające kobietom oglądać kładzenia kilu. Mężczyźni i kobiety, obdarzeni wielką mocą, wznieśli wspólnie Wielki Dom na Roke. Kamień węgielny położono na szczycie wzgórza, z którego biło źródło, nad miastem Thwil, naprzeciw Pagórka. Mury stawiano nie tylko z kamienia i drewna, lecz także z potężnych czarów, a wzmocniono zaklęciami. Pierwszą gotową częścią wielkiego domu było jego serce, Podwórzec Fontanny.

Tam właśnie Medra przyszedł wraz z Elehal, stąpając po białych kamieniach, nim jeszcze otoczono je murami. Elehal zasadziła obok fontanny młodą jarzębinę z Gaju. Przyszła teraz, by sprawdzić, jak się miewa drzewko. Silny wiosenny wiatr od lądu porywał wodę z fontanny. Na Pagórku zebrała się grupka ludzi: czarnoksiężnik Hega z O nauczał krąg młodzieży sztuczek iluzji. Nazywali go Mistrzem Sztuk. Iskiernik już dawno przekwitł. Wiatr porywał jego popioły. We włosach Żar pojawiły się siwe pasma.

— I znów wyruszasz, pozostawiając nam kwestię ustalenia reguł. — Jej brwi marszczyły się równie groźnie jak kiedyś, lecz głos rzadko przybierał równie surową nutę.

— Zostanę, jeśli chcesz, Elehal.

— Chcę, żebyś został. Ale nie rób tego. Zajmujesz się szukaniem. Musisz to robić. Tyle że ustalenie najlepszych metod — reguł, tak je chce nazwać Waris — to praca dwakroć cięższa niż budowa domu i wywołująca dziesięciokroć więcej sporów. Chciałabym móc się od tego oderwać. Znów spacerować *z* tobą, jak kiedyś… I chciałabym, byś nie płynął na północ.

— Czemu się spieramy? — spytał z głębokim smutkiem.

— Bo jest nas więcej! Zbierz w komnacie dwudziestu, trzydziestu ludzi obdarzonych mocą, a będą starali się działać po swojemu. Kiedy mężczyzn, którzy zawsze pracowali samotnie, połączysz w grupę z kobietami mającymi swoje sposoby, osiągniesz tylko niechęć. Do tego istnieją między nami głębokie różnice, Medro. Musimy dojść do zgody. To niełatwe. Choć odrobina dobrej woli mogłaby zdziałać dużo.

— Mówisz o Warisie?

— O Warisie i kilku innych. To mężczyźni. Dla nich tylko to się

liczy. Gardzą Dawnymi Mocami i boją się ich. Podejrzliwie traktują moce kobiet, bo sądzą, że łączą się one z Dawnymi Mocami. Jakby jakikolwiek śmiertelnik mógł z nich korzystać bądź próbować je kontrolować! Zbyt są skupieni na swej męskości. Twierdzą, że prawdziwy czarnoksiężnik musi być mężczyzną żyjącym bez kobiet. Siostra powiedziała mi wczoraj, że wraz z Ennio i cieślami zaproponowali, iż wzniosą im zamkniętą część domu albo nawet odrębny dom, by mogli zachować czystość. To nie moje słowo, lecz Warisa. Oni jednak odmówili. Chcą, by reguła Roke oddzieliła mężczyzn od kobiet i by mężczyźni podejmowali wszystkie decyzje. Jaki kompromis możemy z nimi zawrzeć? Czemu tu przyszli, jeśli nie chcą współpracować z kobietami?

— Powinniśmy ich odesłać.

— Odesłać stąd? W gniewie? By uprzedzili władców Wathortu i Havnoru, że wiedźmy z Roke szykują burzę?

— Zapominam. Zawsze zapominam. — W jego głosie dźwięczała rozpacz. — Zapominam o murach więzienia. Gdy pozostaję poza nimi, nie jestem takim głupcem. Ale kiedy tu jestem, nie wierzę, iż to więzienie. Tam jednak, bez ciebie, pamiętam. Nie chcę odejść, ale muszę. Nie chcę przyznać, że cokolwiek tutaj mogło pójść nie tak, ale muszę. Odpłynę raz jeszcze na północ, Elehal. Ale kiedy wrócę, zostanę. To, co muszę znaleźć, znajdę tutaj. Czyż już tego nie znalazłem?

— Nie — odparła. — Znalazłeś mnie. Lecz w Gaju czeka cię dużo szukania i znajdowania. Może nawet znajdziesz ukojenie. Czemu na północ?

— By dotrzeć do Ludzi Dłoni z Enladu i Ca. Nigdy tam nie byłem. Nie wiemy nic o ich magii. Enlad królów i jasna Ea, najstarsza z wysp! Z pewnością znajdziemy tam sojuszników.

— Lecz między nami leży Havnor — przypomniała.

— Nie popłynę na Havnor, ukochana. Zamierzam go okrążyć, wodą.

Zawsze potrafił ją rozśmieszyć. Tylko jemu się to udawało. Gdy go nie było, milczała — spokojna, rozsądna. Już dawno zrozumiała, że niecierpliwość w pracy, którą i tak trzeba wykonać, nie ma sensu. Czasami wciąż jeszcze marszczyła brwi, czasami się uśmiechała, ale nie śmiała się. Gdy tylko mogła, samotnie ruszała do Gaju, jak kiedyś. Lecz w latach budowy domu i założenia Szkoły rzadko nadarzały się jej takie okazje. A kiedy chodziła tam, zwykle zabierała ze sobą kilku uczniów, by wraz z nią poznawali ścieżki wiodące przez las i wzory wśród liści. Była bowiem Mistrzem Wzorów.

Tego roku Rybołów późno wyruszył w podróż. Zabrał ze sobą piętnastoletniego chłopca, Okrucha, obiecującego zaklinacza pogody, który musiał poćwiczyć na morzu, i Sadzę, sześćdziesięciolatkę, która

przybyła z nim na Roke siedem, osiem lat wcześniej. Była jedną z Kobiet Dłoni na Ark i choć brakło jej daru magicznego, potrafiła doskonale sprawić, by ludzie sobie nawzajem ufali i pracowali ramię w ramię. Również na Roke uznawano Sadzę za jedną z mądrych kobiet. Poprosiła Rybołowa, by zabrał ją w odwiedziny do matki, siostry i dwóch synów. Miał zostawić Okrucha wraz z nią i w drodze powrotnej zabrać ich na Roke. Wyruszyli więc w pogodny letni dzień na północny wschód przez Morze Najgłębsze. Rybołów nakazał Okruchowi, by wypełnił żagiel odrobiną magicznego wiatru, chcieli bowiem dotrzeć na Ark przed Długim Tańcem.

Kiedy zbliżyli się do wyspy, sam Rybołów otoczył “Nadzieję" iluzją, by wydawała się nie łodzią, lecz płynącą na wodzie kłodą drewna, gdyż na tych wodach roiło się od piratów i łowców niewolników Losena.

Z Sesesry na wschodnim wybrzeżu Ark, gdzie zostawił pasażerów i odtańczył Długi Taniec, pożeglował cieśninami Ebavnor, zamierzając skręcić na zachód, wzdłuż południowych wybrzeży Omeru. Cały czas podtrzymywał iluzję. Lecz w piękny, słoneczny letni dzień przy północnym wietrze ujrzał daleko, wysoko, nad błękitnymi falami, nad mglistym brązem i błękitem ziemi długie, białe zbocza góry Onn.

To był Havnor. Jego ojczyzna. Zostawił tam najbliższych; nie wiedział, żyją jeszcze czy umarli. Tam też, na zboczu góry, leżała Anieb. Nigdy tu nie wrócił. Nigdy nawet się nie zbliżył. Ile lat minęło? Szesnaście, siedemnaście? Nikt by go już nie poznał. Nikt nie pamiętał chłopca, Wydry, poza matką, ojcem i siostrą, jeśli wciąż żyli. Z pewnością w Wielkim Porcie byli też Ludzie Dłoni. Teraz powinien ich rozpoznać.

Żeglował szeroką cieśniną i wkrótce góra Onn zniknęła mu z oczu, przysłonięta przez przylądki u ujścia Zatoki Havnorskiej. Nie zobaczy jej więcej, jeśli nie skręci w wąski przesmyk. Wówczas ujrzy górę: wyniosły szczyt, wierzchołek wznoszący się nad spokojnymi wodami. Tam właśnie jako dwunastolatek próbował wezwać magiczny wiatr. Żeglując dalej, zobaczy wieże, z początku niewyraźne, maleńkie kropki i kreski, a potem łopoczące na nich barwne chorągwie. Białe miasto w sercu świata.

Jedynie tchórzostwo trzymało go z dala od Havnoru. Lęk o własną skórę. Obawa, że odkryje, iż jego rodzina odeszła. Że zbyt wyraźnie przypomni sobie Anieb.

Bywały chwile, gdy miał wrażenie, że tak jak on wezwał ją za życia, tak ona może go przyzwać martwa. Więź, która pozwoliła jej go ocalić, nie uległa zerwaniu. Wiele razy Anieb odwiedzała go we śnie, stojąc w milczeniu, jak wtedy gdy ujrzał ją po raz pierwszy w cuchnącej wieży w Samory. Ujrzał ją też wiele lat wcześniej w wizji uzdrowicielki Telio, w gasnącym świetle obok kamiennego muru.

Teraz dzięki Elehal i innym ludziom z Roke wiedział już, czym jest ów mur: oddziela światy żywych i umarłych. A w owej wizji Anieb wędrowała po jasnej stronie, nie drugiej, biegnącej w ciemności.

Czyżby lękał się tej, która go uwolniła?

Halsując z silnym wiatrem, okrążył południowy przylądek i pożeglował do Wielkiej Zatoki Havnorskiej.

***

Na wieżach Haynoru wciąż powiewały chorągwie; nadal rządził tam król. Chorągwie należały do zdobytych miast i wysp. Królem był wojownik Losen. Nie opuszczał już marmurowego pałacu — przebywał w nim całe dnie, otoczony niewolnikami, patrząc jak miecz Erreth-Akbego niczym gnomon wielkiego słonecznego zegara rzuca cień na dachy w dole. Wydawał rozkazy, a niewolnicy odpowiadali: “Tak się stanie, wasza wysokość". Ogłaszał audiencje i starcy przybywali tłumnie, mówiąc: “Jesteśmy posłuszni waszej wysokości", wzywał swych czarnoksiężników i mag Wczesny zjawiał się, składając głęboki ukłon.

— Spraw, bym mógł chodzić! — krzyknął Losen, tłukąc sparaliżowane nogi słabymi rękami.

— Wasza wysokość — odparł mag — jak wiesz, moje mizerne umiejętności nie wystarczyły, posłałem jednak po największego uzdrowiciela Ziemiomorza, mieszkającego w odległym Narveduen. Kiedy się zjawi, wasza wysokość znów będzie chodzić i tańczyć Długi Taniec.

Wówczas Losen zaczynał kląć i płakać, niewolnicy przynosili mu wino, a mag wychodził z ukłonem, sprawdzając po drodze, czy zaklęcie paraliżujące wciąż działa.

Utrzymywanie Losena przy władzy było dla niego znacznie wygodniejsze niż otwarte rządy Havnorem. Zbrojni nie ufali czarnoksiężnikom, nie chcieli im służyć. Nieważne jak wielką mocą dysponował mag, nie zdołałby utrzymać armii i floty, gdyby żołnierze i marynarze nie chcieli wykonywać rozkazów. Ludzie lękali się i słuchali Losena od dawna, toteż posłuszeństwo weszło im w krew. Przypisywali mu cechy, które istotnie posiadał: zdolności strategiczne, niezłomne umiejętności przywódcze i bezwzględne okrucieństwo, a także cechy, których mu brakowało — na przykład władza nad służącymi mu czarnoksiężnikami.

Teraz na jego dworze pozostał już tylko Wczesny i kilku skromnych sztukmistrzów. Wczesny wygnał bądź zabił wszystkich

rywali do łask Losena. Od lat samodzielnie rządził Havnorem.

Jeszcze jako uczeń i pomocnik Gelluka zachęcał swego mistrza do badań nad księgami z Way. Póki Gelluka zaprzątało jedynie poszukiwanie rtęci, mógł działać na własną rękę. Nagła śmierć Gelluka nim wstrząsnęła. Było w niej coś tajemniczego, jakiś brakujący element, osoba. Wzywając na pomoc usłużnego Ogara, przeprowadził dokładne śledztwo. Rzecz jasna miejsce pobytu Gelluka nie było żadną tajemnicą. Ogar wytropił go aż do świeżej szramy na zboczu wzgórza i oznajmił, że leży tu głęboko pogrzebany. Wczesny nie miał zamiaru go wykopywać. Chłopca, który towarzyszył magowi, Ogar wytropić nie umiał. Nie potrafił rzec, czy spoczywa pod wzgórzem wraz z Gellukiem, czy zdołał uciec. Nie pozostawił po sobie żadnych śladów zaklęć, jak to zwykle czynią magowie, wyjaśnił Ogar. Do tego całą noc padał ulewny deszcz i gdy Ogar natrafił na ślady, okazało się, że należą do kobiety, która już nie żyje.

Wczesny nie ukarał Ogara za niepowodzenie, jednak mu tego nie zapomniał. Nie przywykł do niepowodzeń i ich nie lubił. Nie spodobało mu się to, co Ogar powiedział o Wydrze, toteż i o tym nie zapomniał.

Żądza władzy karmi się sama sobą i stale wzrasta. Wczesny głodował, umierał z głodu. Rządzenie Havnorem, krainą żebraków i biednych wieśniaków, nie dawało mu radości. Po co komu tron Mahariona, jeśli zasiada na nim jedynie pijany kaleka? Po co pałace największego z miast, skoro mieszkają w nich jedynie płaszczący się niewolnicy? Mógł posiąść każdą kobietę, jakiej tylko zapragnął. Kobiety jednak pozbawiłyby go mocy, odebrały siłę. Nie chciał, by kręciły się w pobliżu. Pożądał wroga, przeciwnika, którego warto zniszczyć.

Od ponad roku szpiedzy donosili mu o tajemnym spisku obejmującym całe królestwo, grupkach zbuntowanych czarowników nazywających siebie Dłonią. Spragniony walki, kazał zbadać jedną z tych grup. Składała się ze starych kobiet, położnych i kopaczy rowów, uczniów kowalskich i małych chłopców. Rozwścieczony i poniżony, Wczesny kazał ich stracić wraz z człowiekiem, który o nich doniósł. To była publiczna egzekucja w imieniu Losena za zbrodnię spiskowania przeciw królowi. Być może, ostatnio za rzadko stosowali podobne środki, jednakże sprzeciwiała się zasadom Wczesnego. Nie miał ochoty urządzać publicznego widowiska z udziałem głupców, którzy go nabrali, przestraszyli. Wolałby pozbyć się ich sam, po cichu — żeby wroga przerazić, trzeba działać natychmiast. Pragnął oglądać ludzi, którzy się go boją, czuć, smakować ich przerażenie. Ponieważ jednak rządził w imieniu Losena, ludzie powinni obawiać się króla. Wczesny musiał trzymać się z boku.

Wkrótce po egzekucji posłał po Ogara. Omówili jakąś ważną

sprawę, a wtedy stary szukacz zapytał:

— Słyszałeś kiedyś o wyspie Roke?

— Leży na południe i zachód od Kamery. Przez jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt lat należała do władców z Wathort.

Choć rzadko opuszczał miasto, Wczesny szczycił się swą znajomością całego Archipelagu, zdobytą dzięki lekturze raportów marynarzy i oglądaniu wspaniałych, pradawnych map przechowywanych w pałacu. Studiował je nocami, zastanawiając się, gdzie i jak rozszerzyć swe imperium.

Ogar przytaknął, jakby w samej Roke interesowało go wyłącznie położenie.

— A co? — zaciekawił się Wczesny.

— Jedna ze staruch, które kazałeś torturować przed spaleniem… Kat powiedział, że mówiła o synu na Roke. Wzywała go, jakby miał moc, by przybyć tutaj.

— I co?

— To dość dziwne. Stara kobieta z wioski w głębi lądu nigdy nie widziała morza, a jednak wykrzykiwała nazwę innej wyspy.

Wczesny machnął ręką.

— Jej syn był pewnie rybakiem, opowiadał o swych podróżach. Ogar pociągnął nosem, skinął głową i odszedł.

Tak naprawdę jednak Wczesny nigdy nie lekceważył żadnej drobnostki, o której wspomniał Ogar, gdyż często okazywało się, że w istocie nie jest to wcale drobnostka. Wiedział też, że stary szukacz zdaje sobie z tego sprawę, i nie znosił go za to. Nie znosił go także za jego nieugiętość. Nigdy nie wychwalał Ogara, wykorzystywał go możliwie jak najrzadziej, choć miał w nim użyteczne narzędzie.

Nazwę Roke zachował w pamięci i gdy znów ją usłyszał w tym samym kontekście, zrozumiał, iż Ogar jak zwykle trafił na właściwy trop.

Jeden z patroli Losena na południe od Omer schwytał trójkę dzieci — dwóch chłopców, piętnasto — i szesnastolatka, i dwunastoletnią dziewczynkę. Dzieci uciekały skradzioną łodzią rybacką napędzaną magicznym wiatrem. Patrol złapał je tylko dlatego, że miał własnego zaklinacza pogody, czarodzieja, który przywołał falę, by zalała skradzioną łódź. Gdy odstawili ich do Havnoru, jeden z chłopców załamał się i zaczął gadać o tym, że chce dołączyć do Dłoni. Na dźwięk tego słowa żołnierze oznajmili, że zostanie poddany torturom i spalony na stosie. Wówczas chłopiec wykrzyknął, że jeśli go oszczędzą, opowie im wszystko o Dłoni, Roke i wielkich magach z Roke.

— Sprowadźcie ich tutaj — polecił posłańcowi Wczesny.

— Dziewczyna odleciała, panie — odparł niechętnie żołnierz.

— Odleciała?

— Przybrała postać ptaka, podobno rybitwy. Nie spodziewali się tego po tak młodej dziewczynie. Zniknęła, nim się zorientowali.

— Sprowadźcie zatem chłopaków — rzekł Wczesny złowrogo.

Przyprowadzili mu jednego chłopca; drugi wyskoczył ze statku do Zatoki Havnorskiej i został zabity z kuszy. Więzień był do tego stopnia sparaliżowany strachem, że budził niesmak nawet u Wczesnego. Jak zdołałby przerazić kogoś, kogo strach dusi i oślepia? Rzucił na chłopca więżące zaklęcie utrzymujące go w pozycji stojącej i pozostawił tak nieruchomego niczym posąg na dzień i noc. Od czasu do czasu przemawiał do posągu. Mówił, że sprytny z niego chłopak, że byłby z niego dobry uczeń, może nawet popłynąłby na Roke, bo Wczesny także się tam wybiera na spotkanie z tamtejszymi magami.

Gdy go uwolnił, chłopak próbował udawać, że wciąż jest z kamienia, nie chciał mówić. Wczesny musiał wniknąć do jego umysłu metodą, której nauczył się od Gelluka dawno temu, gdy Gelluk był jeszcze prawdziwym mistrzem magii. Dowiedział się wszystkiego, potem chłopak do niczego się już nie nadawał. Wczesny musiał się go pozbyć. Czuł się poniżony, bo ktoś tak głupi go przechytrzył. Dowiedział się tylko, że na Roke przebywa Dłoń i jest tam szkoła, w której uczą magii. Poznał też imię jednego człowieka.

Sam pomysł szkoły magii okropnie go rozśmieszył. Szkoła dla dzików! — pomyślał. Uczelnia dla smoków! Całkiem możliwe jednak, że na Roke zbierali się ludzie dysponujący mocą, a wizja związku, sojuszu czarnoksiężników, wzbudziła w nim ogromny wewnętrzny sprzeciw. To nienaturalne. Mogło do tego dojść tylko dzięki jednemu — naciskowi dominującej woli, woli maga dość silnego, by utrzymać na służbie nawet mocarnych czarnoksiężników. Oto wróg, którego tak bardzo potrzebował.

Słudzy poinformowali, że Ogar czeka przy drzwiach. Wczesny posłał po niego.

— Kim jest Rybołów? — spytał.

Z wiekiem Ogar — pomarszczony, z długim nosem i smutnymi oczami — stał się podobny do swego imiennika. Pociągnął nosem, jakby chciał powiedzieć, że nie ma pojęcia, wiedział jednak, że nie zdoła okłamać Wczesnego. Westchnął.

— To Wydra — rzekł — ten sam, który zabił starą Białą Twarz.

— Gdzie się ukrywa?

— W ogóle się nie kryje. Wędrował po mieście, rozmawiał z ludźmi, odwiedził matkę w Skraju Drogi za górą. Teraz tam właśnie przebywa.

— Powinieneś był wspomnieć o tym od razu — rzekł Wczesny.

— Nie wiedziałem, że ci na nim zależy. Kiedyś go szukałem dawno, dawno temu. Przechytrzył mnie. — W głosie Ogara nie było słychać gniewu.

— Oszukał i zabił wielkiego maga, mojego mistrza. Jest niebezpieczny. Pragnę zemsty. Z kim rozmawiał? Chcę ich tu mieć. Potem zajmę się nim samym.

— Ze starymi kobietami w porcie, starym czarodziejem, swoją siostrą.

— Sprowadź ich tutaj. Weź moich ludzi.

Ogar pociągnął nosem, westchnął, skłonił się i wyszedł.

Lecz Wczesny niewiele zdołał wydobyć od ludzi, których sprowadzili mu jego żołnierze. Znów to samo: należeli do Dłoni, Dłoń to związek potężnych czarnoksiężników z Wyspy Morreda bądź Roke. Mężczyzna zwany Wydrą bądź Rybołowem przybywał właśnie stamtąd, choć pochodził z Havnoru i wszyscy darzyli go wielkim szacunkiem, mimo iż był tylko szukaczem. Jego siostra zniknęła — może powędrowali razem do Skraju Drogi, gdzie mieszkała ich matka? Wczesny grzebał w kolejnych zamglonych, tępych umysłach. Kazał torturować najmłodszych więźniów, a potem palić wszystkich na stosach, tak by Losen mógł ich oglądać z okna. Król potrzebował rozrywki.

Wszystko to zajęło ledwie dwa dni. Cały ten czas Wczesny spoglądał w stronę wioski Skraj Drogi. Wysłał tam najpierw Ogara wraz ze swą myślą. Gdy zorientował się już, gdzie przebywa Wydra, poleciał na orlich skrzydłach, potrafił bowiem znakomicie odmieniać swą postać. Był tak śmiały, że przybierał nawet postać smoka.

Wiedział, że w tym przypadku lepiej zachować ostrożność. Ów człowiek pokonał Tinarala, no i ta cała sprawa z Roke… Miał w sobie moc albo moc go otaczała. Trudno jednak było Wczesnemu lękać się zwykłego szukacza, który zadaje się z położnymi i inną hołotą. Nie potrafił zmusić się do podstępu. Wylądował w blasku słońca na nędznym rynku wioski, zmieniając w biegu szpony w ludzkie nogi i wielkie skrzydła w ręce.

Jakieś dziecko z wrzaskiem uciekło do matki. W pobliżu nie było nikogo innego. Wczesny odwrócił głowę, szybko, sztywno niczym orzeł. Czarodziej zawsze dostrzeże innego czarodzieja. Wiedział, w którym domu ukrywa się jego ofiara. Podszedł bliżej i szeroko otworzył drzwi.

Siedzący przy stole szczupły, brązowoskóry mężczyzna uniósł głowę i spojrzał na niego.

Wczesny podniósł rękę, by rzucić zaklęcie więżące. Jego dłoń zastygła jednak w pół drogi, unieruchomiona.

A zatem pojedynek! Nareszcie godny przeciwnik. Wczesny cofnął się o krok, po czym z uśmiechem, powoli, lecz nieuchronnie podniósł obie ręce, rozkładając je szeroko. Tamten nie mógł go już powstrzymać.

Dom zniknął. Wczesny nie widział ścian, dachu, nikogo. Stał na

piaszczystym ryneczku w porannym słońcu, unosząc ręce.

Rzecz jasna, było to tylko złudzenie. Na moment jednak go powstrzymało. Potem musiał odczynić zaklęcie, przywołując z powrotem dom, ściany i dach, otwarte drzwi za plecami, połysk światła odbijającego się od garnków, kamieni paleniska, stołu. Za stołem jednak nikt już nie siedział. Wróg zniknął.

Wówczas mag poczuł złość, ogromną wściekłość, niczym zgłodniały człowiek, któremu wyrwano z ręki jedzenie. Przywołał swego wroga, lecz nie znał jego prawdziwego imienia, toteż przywołanie pozostało bez odpowiedzi.

Wyszedł z domu, odwrócił się i rzucił zaklęcie ognia. Ściany i strzecha stanęły w płomieniach. Kobiety wybiegły na dwór z krzykiem. Bez wątpienia ukrywały się dotąd w innym pomieszczeniu. Nie zwracał na nie uwagi.

Ogar! — pomyślał. Wymówił słowa przywołania, używając prawdziwego imienia starego czarnoksiężnika, który przybył, tak jak musiał. Sprawiał wrażenie zirytowanego.

— Byłem w tawernie — rzekł — tu, blisko. Mogłeś wymówić moje imię użytkowe. I tak bym się zjawił.

Wczesny spojrzał na niego przelotnie. Usta Ogara zamknęły się i pozostały zamknięte.

— Będziesz mówił, kiedy ci pozwolę — rzekł mag. — Gdzie on jest?

Ogar skinął głową na północny wschód.

— Co tam leży?

Wczesny otworzył usta Ogara i dał mu dość głosu, by powiedział beznamiętnym martwym tonem:

— Samory.

— W jakiej ten człowiek jest postaci?

— Wydry — odparł głuchy głos. Wczesny roześmiał się.

— Zaczekam na niego! — rzekł. Jego ludzkie nogi zamieniły się w żółte szpony, ręce w rozłożyste, pierzaste skrzydła. Orzeł wzleciał w górę i poszybował z wiatrem.

Ogar pociągnął nosem, westchnął i ruszył za nim, niechętnie biegnąc na przód. W wiosce ogień już przygasał, dzieci płakały, a kobiety wykrzykiwały przekleństwa w ślad za drapieżnym ptakiem.

***

W próbach czynienia dobra kryje się niebezpieczeństwo: umysł ludzki nie zawsze potrafi rozróżnić dobre zamiary od dobrze

wykonanego zadania. Płynąca rzeką Yennawa wydra nie myślała o tych sprawach. Zajmowała ją jedynie szybkość, kierunek, słodki smak rzecznej wody, upajające uczucie towarzyszące pływaniu. Wcześniej jednak, gdy Medra siedział za stołem w domu babki w Skraju Drogi, rozmawiając z matką i siostrą, podobne myśli przemknęły mu przez głowę tuż przedtem, nim drzwi otwarły się i na progu stanęła przerażająca, lśniąca postać.

Medra przybył do Havnoru przekonany, że ponieważ nie ma złych zamiarów, nie zrobi nic złego. Stało się jednak inaczej. Z jego powodu zginęli mężczyźni, kobiety, dzieci; zmarli w męczarniach, spaleni żywcem. Na śmiertelne niebezpieczeństwo naraził siostrę i matkę, siebie samego i Roke. Jeśli Wczesny (znał maga z budzących grozę pogłosek) schwyta go i wykorzysta tak jak innych, opróżniając mu umysł niczym otwarty worek, wszystkim na Roke zagrozi potęga czarnoksiężnika oraz armii i floty mu posłusznej. Medra zdradzi Roke Havnorowi tak jak czarnoksiężnik, którego imienia nigdy nie wymieniano, zdradził ją Wathortowi. Może ów człowiek także sądził, że nie robi nic złego?

Medra po raz kolejny zastanawiał się desperacko, jak opuścić Havnor natychmiast, niepostrzeżenie, gdy zjawił się czarnoksiężnik.

Teraz jako wydra myślał jedynie, że chciałby pozostać wydrą, być wydrą, na zawsze zamieszkać w słodkiej, brązowej wodzie żywej rzeki. Dla wydry nie istnieje śmierć, jedynie życie do samego końca. Lecz w smukłym, zręcznym zwierzęciu krył się umysł śmiertelnika i gdy strumień opłynął wzgórze na zachód od Samory, wydra wyszła z wody na błotnisty brzeg. Po chwili leżał tam skulony mężczyzna, wstrząsany dreszczami.

Dokąd teraz? Czemu tu przybył?

Działał bez namysłu; przyjął postać, która wydała mu się najnaturalniejsza. Uniknął do rzeki jak wydra, płynął jak wydra, lecz tylko we własnej postaci mógł myśleć jak człowiek, ukryć się, działać jak człowiek, jak czarnoksiężnik, stawić czoło temu, który go ścigał.

Wiedział, że nie ma szans w starciu z Wczesnym. Powstrzymanie pierwszego zaklęcia więżącego wymagało użycia całej jego mocy, pozostały mu jedynie sztuczki, iluzja, zmiana postaci. Gdyby znów starł się z wrogiem, zginąłby, a wraz z nim Roke, Roke i jej dzieci. Jego ukochana Elehal i Woal, Kruk, Dory, wszyscy, fontanna na białym dziedzińcu, drzewo obok fontanny. Pozostałby tylko Gaj i zielony Pagórek, milczący, niewzruszony. Usłyszał słowa Elehal: “Pomiędzy nami leży Havnor". Usłyszał, jak mówi: “Wszystkie prawdziwe moce, stare moce u swych korzeni są tym samym".

Uniósł wzrok. Wzgórze nad strumieniem było tym samym wzgórzem, na które przybył owego dnia z Tinaralem, czując w sobie obecność Anieb. Zaledwie kilka kroków dzieliło go od blizny, szramy

w ziemi, wciąż wyraźnej pod zielonym płaszczem trawy.

— Matko — rzekł, klęcząc — matko, otwórz się dla mnie. Położył ręce na bruździe, nie wyczuł w nich jednak mocy.

— Wpuść mnie, matko — szepnął w mowie starej jak samo wzgórze. Ziemia zadrżała lekko i otworzyła się.

Usłyszał krzyk orła, wstał powoli i skoczył w ciemność.

Nadleciał orzeł, krążąc z krzykiem nad doliną, wzgórzem, wierzbami nad strumieniem. Krążył długo, szukając zdobyczy. Potem odleciał.

Po długim czasie późnym popołudniem w dolinie pojawił się stary Ogar. Od czasu do czasu przystawał, węsząc. W końcu usiadł na zboczu obok szramy w ziemi, by dać odpocząć znużonym nogom. Na zboczu dostrzegł okruchy świeżej ziemi, przygniecioną trawę. Pogładził ją, wyprostował, wreszcie wstał, napił się czystej brązowej wody pod wierzbami i ruszył doliną w stronę kopalni.

Medra ocknął się w mroku, w bólu. Ból pojawiał się i znikał. Ciemność trwała niezmiennie. Raz jeden pojaśniała nieco, przechodząc w półmrok. Ujrzał wtedy wiodące w dół zbocze i kamienny mur, za którym panowała *czerń*. Nie mógł jednak wstać i podejść do muru. Nagle ból z nową siłą zaatakował jego ramię, biodro i głowę. Potem wróciła ciemność, pustka.

Pragnienie, a z nim ból. Pragnienie i odgłos płynącej wody.

Próbował sobie przypomnieć, jak przywołuje się światło. Anieb prosiła błagalnie: “Wezwij światło, wezwij!". Czołgał się w ciemności, aż w końcu dźwięk wody przybrał na sile, a kamienne podłoże stało się wilgotne. Wówczas zaczął macać przed sobą. Trafił ręką na wodę. Napił się i spróbował odpełznąć w bok. Było mu bardzo zimno. Jedna ręka bolała go, nie zostało w niej ani krzty siły; w głowie pulsował ból. Medra jęknął i zadrżał, próbując się skulić, ogrzać. W mroku nie było jednak ciepła ani światła.

Oddalił się nieco od miejsca, w którym leżał. Widział siebie, choć mroku nie rozjaśniał nawet najlżejszy blask. Leżał bezradnie, skulony obok strumyczka ściekającego z warstwy miki. Niedaleko spoczywała jeszcze jedna postać: długie włosy, kości okryte przegniłym czerwonym jedwabiem. Za nią grota rozszerzała się w ciemność. Widział, że kolejne komnaty i korytarze wiodą znacznie dalej, niż przypuszczał, i patrzył na nie z tym samym obojętnym zainteresowaniem jak na ciało Tinarala i własne. Poczuł lekki żal. To sprawiedliwe, że zginie tutaj obok człowieka, którego zabił! Owszem, tak być powinno, lecz w głębi duszy czuł ból, nieznośny ból, który towarzyszył mu całe życie.

— Anieb — rzekł.

I nagle znów znalazł się w swoim ciele. Ręka, biodro i głowa bolały go bardzo, był słaby i oszołomiony w oślepiającej ciemności.

Gdy się poruszył, jęknął, usiadł jednak. Muszę żyć, pomyślał. Muszę przypomnieć sobie, jak żyć, jak przywołać światło, jak pamiętać, pamiętać cienie liści.

Jak daleko sięga las?

Tak daleko jak myśl.

Uniósł wzrok, spoglądając w ciemność. Po chwili lekko poruszył zdrową ręką i wypłynęło z niej słabe światełko.

Daleko w górze wznosiło się sklepienie groty. Strużka wody ściekającej z mikowej półki połyskiwała w blasku magicznego światła.

Nie widział już komnat i korytarzy podziemnych jaskiń, oglądanych wcześniej obojętnym bezcielesnym okiem. Dostrzegał jedynie to, co ukazywało migotliwe światełko, tak jak wtedy gdy wędrował nocą z Anieb aż do jej śmierci. Z każdym krokiem zagłębiał się w ciemność.

Dźwignął się na kolana.

— Dziękuję, matko — szepnął.

Podniósł się z ziemi i zaraz upadł, głośno krzycząc z bólu. Po jakimś czasie znów spróbował, tym razem ustał. Ruszył naprzód.

Wędrówka przez grotę trwała długo. Wsunął zranioną rękę za pazuchę. Zdrową przyciskał do biodra, dzięki temu szło mu się łatwiej. Ściany po obu stronach zbliżyły się do siebie, był w tunelu, gdzie strop wisiał nisko, tuż nad jego głową. Po jednej ze ścian spływała woda, tworząc niewielkie kałuże wśród kamieni. Nie był to wspaniały pałac z wizji Tinarala, sala o wyniosłych kolumnach pokrytych mistycznymi runami. Medrę otaczała tylko ziemia, błoto, kamienie, woda. Panował chłód. Powietrze było nieruchome. Szmer strumyka został w tyle, cisza dzwoniła w uszach. Poza niewielkim kręgiem magicznego światła roztaczała się ciemność.

Medra zatrzymał się, pochylił głowę.

— Anieb, czy zdołasz przybyć aż tutaj? Nie znam drogi. Odczekał chwilę. Widział jedynie ciemność, słyszał ciszę. Po chwili z wahaniem wszedł w tunel.

***

Wczesny nie miał pojęcia, jakim cudem Wydrze udało się przed nim uciec. Był jednak pewien dwóch *rzeczy: że* ma do czynienia ze znacznie potężniejszym magiem niż wszyscy, których dotąd spotkał, i że jego przeciwnik jak najszybciej wróci na Roke, tam bowiem znajduje się ośrodek jego mocy. Nie było sensu próbować dotrzeć tam przed nim. Wyprzedził go już na starcie. Wczesny jednak mógł

podążyć jego śladem, a gdyby własnych mocy nie starczyło, weźmie ze sobą potęgę, której nie oprze się żaden mag. Nawet Morred ugiął się w końcu — nie przed mocą wrogiego czarnoksiężnika, lecz olbrzymimi armiami wroga.

— Wasza wysokość wysyła swą flotę — poinformował Wczesny sparaliżowanego starca siedzącego na tronie w pałacu królów. — Wielki nieprzyjaciel gromadzi siły na południe stąd, na Morzu Najgłębszym. Wyruszamy, by go zniszczyć. Sto okrętów pożegluje z Wielkiego Portu i z Oheru, z Portu Południowego i lenna na Hosk. Największa flota, jaką oglądał świat! Ja ich poprowadzę, a chwała przypadnie tobie — dodał ze śmiechem.

Losen patrzył na niego bez słowa, ogarnięty grozą, w końcu pojmując, kto jest tu panem, a kto sługą.

Czarnoksiężnik cieszył się wśród ludzi Losena tak wielkim posłuchem, że po zaledwie dwóch dniach ogromna flota wypłynęła z Havnoru. Po drodze dołączały do niej inne statki. Osiemdziesiąt okrętów przepłynęło obok Ark i Hien, gnał je magiczny wiatr wiejący wprost ku Roke. Czasem Wczesny w białej jedwabnej szacie, z wysoką białą laską — rogiem morskiej bestii z najdalszej północy — stał na dziobie pierwszej galery, której setka wioseł błyskała w słońcu niczym skrzydła morskiego ptaka. Niekiedy przybierał postać mewy, orła bądź smoka i krążył nad flotą.

— Władca smoków, władca smoków! — krzyczeli ludzie, gdy dostrzegali go na niebie.

Na Hien zeszli na ląd po prowiant i wodę. Pośpiech sprawił, że nie zdążyli zgromadzić zapasów. Napadali zatem miasta na zachodnim brzegu Hien, rabując to, czego potrzebowali. To samo czynili na Yissti i Kamery. Brali żywność, resztę palili. Potem wielka flota skręciła na zachód, zmierzając ku jedynemu portowi na Roke, zatoce Thwil. Wczesny dowiedział się o jej istnieniu z map przechowywanych w Havnorze. Wiedział, że nad portem wznosi się wysokie wzgórze. W pobliżu wyspy przybrał postać smoka i wzleciał wysoko w przestworza, wskazując drogę statkom, szukając wzrokiem owego wzgórza.

Gdy dostrzegł zieloną plamę nad zamglonym morzem, krzyknął głośno — żeglarze na statkach usłyszeli głos smoka — i poleciał naprzód, nie czekając, aż podążą za nim.

Wszystkie pogłoski o Roke twierdziły, że wyspy bronią zaklęcia i uroki kryjące ją przed oczami z zewnątrz. Jeśli istotnie wzgórze bądź otwierającą się przed nim zatokę spowijały jakiekolwiek zaklęcia, dla Wczesnego były ulotne, przejrzyste. Nic nie przesłaniało mu oczu, nie rzucało wyzwania woli. Przeleciał nad zatoką, nad miasteczkiem i budowanym dużym domem na zboczu, zmierzając na szczyt wysokiego zielonego wzgórza. Tam wylądował, wyciągając szpony i

łopocząc rdzawoczerwonymi smoczymi skrzydłami.

I odkrył, że znów jest człowiekiem, choć nie zmienił swej postaci. Stanął bez ruchu zaniepokojony, niepewny.

Wiał wiatr. Długa trawa kołysała się w jego powiewach. Lato dobiegało końca; trawa była już sucha, pożółkła, Wczesny nie dostrzegł wśród niej żadnych kwiatów oprócz białych, puszystych główek dmuchawców. Nagle ujrzał kobietę wspinającą się na zbocze poprzez morze trawy. Nie szła żadną ścieżką, lecz stąpała bez wysiłku.

Wydało mu się, że podniósł dłoń, by powstrzymać ją zaklęciem, nie zrobił tego jednak i podeszła. Zatrzymała się ledwie kilka długości ręki od niego.

— Powiedz mi swoje imię — rzekła, a on odparł:

— Teriel.

— Po co tu przybyłeś, Terielu?

— Aby was zniszczyć.

Kobieta w średnim wieku, o okrągłej twarzy, niska i silna, miała ślady siwizny we włosach. Ciemnymi oczami pod ciemnymi brwiami spoglądała wprost w jego oczy, więżąc go, zmuszając do mówienia prawdy.

— Zniszczyć nas? To wzgórze? Tamte drzewa? — Zerknęła na widoczny niedaleko zagajnik. — Może Segoy, który je stworzył, mógłby odwrócić swe dzieło. Może ziemia sama się zniszczy, może w końcu unicestwi się naszymi rękami, ale nie twoimi. Fałszywy królu, fałszywy smoku, fałszywy człowieku, nie przychodź na Pagórek Roke, póki nie poznasz ziemi, na której stoisz. — Zrobiła jeden gest ku ziemi. Potem odwróciła się i stąpając wśród traw, zeszła ze wzgórza tą samą drogą, którą przybyła.

Teraz widział, że wokół stoją inni ludzie, wielu ludzi. Mężczyźni, kobiety i dzieci, żywi i duchy umarłych, cały tłum. Przerażali go; skulił się, próbując rzucić zaklęcie, które ukryłoby go przed nimi.

Nie zrobił tego jednak. Nie pozostała w nim nawet odrobina magii. Zniknęła, uciekła z niego, wsiąkła w to straszne wzgórze, w potworną ziemię pod stopami. Odeszła. Nie był już czarnoksiężnikiem, lecz człowiekiem jak inni, słabym i bezsilnym.

Wiedział o tym, wiedział z absolutną pewnością. Mimo to jednak wciąż usiłował rzucić zaklęcie. Uniósł ręce w geście towarzyszącym inkantacji, z wściekłością młócąc powietrze. Potem spojrzał na wschód, mrużąc oczy, wypatrując błysku słońca na wiosłach galery, żagli okrętów przybywających, by ukarać tych ludzi i go ocalić. Ujrzał jednak tylko mgłę zasnuwającą morze poza ujściem zatoki. Na jego oczach zgęstniała i pociemniała, napływając kolejnymi falami.

***

Z obrotów ziemi ku słońcu biorą się dni i noce, lecz we wnętrzu ziemi dzień nigdy nie nastaje. Medra wędrował przez noc. Mocno kulał, nie zawsze był w stanie podtrzymać magiczne światło. Gdy zgasło na dobre, musiał się zatrzymać i przespać. Sen nie przypominał wcale śmierci, jak mu się kiedyś zdawało. Gdy się ocknął, wciąż był przemarznięty, obolały, spragniony. Kiedy tylko udało mu się zaświecić światełko, dźwignął się z ziemi i ruszył naprzód. Nie widział Anieb, wiedział jednak, że tu jest. Podążał za nią. Czasami natykał się na wielkie groty, czasami na sadzawki nieruchomej wody. Trudno było naruszyć ich martwą powierzchnię, ale musiał coś pić. Miał wrażenie, że schodzi coraz głębiej i głębiej. Potem dotarł do najdłuższej sadzawki i gdy ją minął, korytarz zaczął się wznosić. Teraz czasami szła za nim Anieb. Powtarzał jej imię, ona jednak nie odpowiadała. Nie mógł wymówić innego imienia. Myślał o drzewach, korzeniach drzew. Oto królestwo u korzeni drzew. Jak daleko sięga las? Tak daleko, jak sięga las. Równie daleko jak życie, głęboko jak korzenie drzew. Tam dokąd liście rzucają swe cienie. Tu nie było cieni, jedynie ciemność. Szedł jednak naprzód i naprzód, póki w końcu nie ujrzał przed sobą Anieb. Dostrzegł błysk jej oczu, obłok kręconych włosów. Przez moment obejrzała się na niego, a potem odwróciła się i odbiegła długim zboczem w mrok.

W miejscu gdzie stał, ciemność nie panowała już niepodzielnie. Na twarzy czuł lekki powiew. Daleko z przodu dostrzegł słabe światełko — naturalne, nie magiczne. Ruszył przed siebie. Od dawna już się czołgał, wlokąc za sobą prawą nogę, która nie utrzymywała ciężaru ciała. Czuł zapach wieczornego wiatru, widział wieczorne niebo pomiędzy gałęziami i liśćmi drzew. Wygięty dębowy korzeń podtrzymywał wylot tunelu, wystarczająco wielki, by przepuścić człowieka bądź borsuka. Medra wyczołgał się z niego i legł pod korzeniem. Światło wokół gasło, pomiędzy liśćmi rozbłysły pierwsze gwiazdy.

Tam znalazł go Ogar — wiele mil od doliny, na zachód od Samory, na skraju wielkiej puszczy Faliern.

— Mam cię — rzekł, spoglądając na zabłocone, nieruchome ciało. — Za późno — dodał z żalem. Pochylił się, by sprawdzić, czy zdoła go podnieść albo powlec za sobą, i poczuł słabiutkie ciepło życia. — Twardy jesteś — mruknął. — Obudź się. No już, Wydro, zbudź się.

Medra rozpoznał Ogara, choć nie był w stanie usiąść i ledwie mógł mówić. Stary mag okrył go własną kurtką i poczęstował wodą z manierki. Potem przykucnął obok, oparty plecami o rozłożysty dębowy pień. Jakiś czas spoglądał w dal, w głąb lasu. Był późny ranek upalnego letniego dnia. Promienie słońca przenikały przez liście,

przybierając tysiące odcieni zieleni. Wysoko na drzewie wiewiórka łajała natrętną sójkę. Ogar podrapał się po karku i westchnął.

— Czarnoksiężnik jak zwykle podąża złym śladem — rzekł w końcu. — Twierdził, że wróciłeś na Roke i że tam cię złapie. Nic nie mówiłem.

Spojrzał na mężczyznę, którego znał jedynie jako Wydrę.

— Zszedłeś w głąb ziemi, tam gdzie stary mag, prawda? Znalazłeś go?

Medra przytaknął.

— Hmm. — Ogar zaśmiał się cicho, zgrzytliwie. — Zwykle znajdujesz to, czego szukasz, prawda? Jak ja. — Dostrzegł, że jego towarzysz porusza się niespokojnie. — Zabiorę cię stąd. Sprowadzę wóz z wioski. Muszę tylko chwilę odsapnąć. Posłuchaj, nie martw się. Nie ścigałem cię przez te wszystkie lata tylko po to, by cię oddać Wczesnemu, tak jak kiedyś Gellukowi. Było mi wtedy przykro. Zastanawiałem się nad tym, co ci mówiłem — że musimy trzymać się razem, dla kogo pracujemy. Wtedy nie miałem wyboru, ale ponieważ źle ci się przysłużyłem, pomyślałem, że jeśli spotkam cię kiedyś, postaram się to naprawić, jeśli zdołam. Jak to szukacz z szukaczem.

Wydra oddychał z trudem. Ogar na moment położył dłoń na jego ręce.

— Nie martw się — powiedział i wstał. — Odpoczywaj — dodał.

Znalazł wozaka, który zgodził się zawieść ich do Skraju Drogi. Matka i siostra Wydry zamieszkały tam u kuzynów na czas odbudowy spalonego domu. Powitały ich z radością i niedowierzaniem. Nie wiedząc o tym, że Ogara łączy cokolwiek z władcą i jego magiem, przyjęły go jak jednego ze swoich, dobrego człowieka, który odnalazł półżywego Wydrę w lesie i przywiózł do domu.

— To mądry człowiek — oznajmiła matka Wydry, Róża. — Bez dwóch zdań. Komuś takiemu daje się wszystko, co najlepsze.

Wydra powoli dochodził do siebie. Nastawiacz kości opatrzył mu złamaną rękę i strzaskane biodro; mądre niewiasty smarowały maściami skaleczenia po ostrych kamieniach na jego rękach, głowie i kolanach, matka przynosiła przysmaki z ogrodu i lasu, on jednak wciąż leżał słaby i wymizerowany, jak wówczas gdy znalazł go Ogar. Nie ma w sobie serca, orzekła mądra kobieta z wioski. Gdzieś je zagubił, pochłonięte przez strach, troski bądź wstyd.

— Gdzie zatem jest twe serce? — spytał Ogar. Po długiej ciszy Wydra rzekł:

— Na Roke.

— Tam gdzie Wczesny pożeglował z wielką flotą? Rozumiem. Masz tam przyjaciół. Wiem, że jeden z tych statków wrócił. Spotkałem w tawernie członka załogi. Pójdę, popytam. Dowiem się, czy dotarli na Roke i co się tam stało. Na razie mogę tylko rzec, że stary Wczesny

spóźnia się z powrotem. Hmm, hmm — mruknął, zadowolony z własnego żartu. — Wczesny się spóźnia — powtórzył i wstał. Spojrzał na chorego, mizernego Wydrę. — Odpoczywaj — dodał i odszedł.

Nie było go kilka dni. Gdy w końcu wrócił wozem zaprzężonym w konia, wyglądał tak, że siostra Wydry pobiegła do brata, krzycząc:

— Ogar musiał wygrać jakąś walkę albo zdobyć majątek! Jedzie miejskim wozem, z miejskim koniem, jak książę!

Wkrótce potem zjawił się sam Ogar.

— No cóż — rzekł. — Po pierwsze, gdy tylko dotarłem do miasta, udałem się do pałacu, by posłuchać nowinek. I co ja widzę? Widzę starego króla pirata stojącego na własnych nogach, wykrzykującego rozkazy jak dawniej! Stojącego! Od lat był sparaliżowany. A teraz stoi i wykrzykuje rozkazy! Niektórzy ludzie robili to, co kazał, inni nie. Wymknąłem się stamtąd — w pałacu takie sytuacje bywają niebezpieczne. Poszedłem do przyjaciół i spytałem, gdzie się podziewa stary Wczesny i czy flota dotarła już na Roke i wróciła. Wczesny? Zdziwili się. Nikt o nim nie słyszał. W mieście nie było po nim śladu. “Może ty mógłbyś go znaleźć?" — dodali w żartach. Hmm. Wiedzą, jak go uwielbiani. A co do statków, niektóre wróciły. Marynarze twierdzą, że nie dotarli do wyspy Roke. W ogóle jej nie ujrzeli. Przepłynęli przez miejsce, na którym według morskich map powinna się znajdować, i nie było tam żadnej wyspy. Potem rozmawiałem z ludźmi z jednej z wielkich galer. Twierdzili, że w okolicy gdzie powinna leżeć wyspa, wpłynęli w mgłę gęstą jak mokra szmata. Morze także zgęstniało, toteż wioślarze z trudem unosili wiosła. Tkwili tak w pułapce cały dzień i noc, a gdy się wydostali, na morzu nie pozostał żaden statek z wielkiej floty. Niewolnicy byli na granicy buntu, toteż kapitan jak najszybciej wrócił do domu. Kolejny statek, stara “Sztormowa Chmura", niegdyś flagowy okręt Losena, zawinęła do portu na moich oczach. Rozmawiałem z kilkoma marynarzami. Mówili, że w miejscu gdzie winna leżeć Roke, znaleźli jedynie mgłę i rafy. Pożeglowali zatem dalej na południe wraz z siedmioma innymi okrętami i spotkali się z flotą z Wathortu. Może tamtejsi władcy usłyszeli, że zbliża się wielka armada, bo nie zadawali żadnych pytań. Wysłali ze swych statków magiczny ogień i rzucili się do abordażu. Ludzie, z którymi rozmawiałem, twierdzili, że z najwyższym trudem udało im się uciec, a i to nie wszystkim. Przez cały ten czas nie mieli wieści od Wczesnego. Nikt nie zaklinał pogody, chyba że mieli własnego magika na pokładzie. Wrócili zatem do domu, wlokąc się przez Morze Najgłębsze, niczym psy, które przegrały walkę. To mi powiedział marynarz ze “Sztormowej Chmury". Podobają ci się wieści?

Wydra z trudem powstrzymywał łzy. Ukrył twarz w dłoniach.

— Tak — rzekł w końcu. — Dziękuję.

— Tak też sądziłem. A co do króla Losena — dodał Ogar — kto

wie… — Pociągnął nosem i westchnął. — Na jego miejscu bym się wycofał. Chyba sam tak zrobię.

Wydra zdołał się uspokoić. Otarł nos i oczy, odchrząknął.

— To chyba dobry pomysł. Przybądź na Roke. Tam jest bezpieczniej.

— Wygląda na to, że trudno ją znaleźć — zauważył Ogar.

— Ja potrafię — rzekł Wydra.

IV. MEDRA

Naszych drzwi strzeże człowiek stary,
Co wpuszcza wedle własnej miary,
Choć wielu przejść chce, rzadko kiedy
Potrafią wkroczyć w Bramę Medry.
A woda płynie bystro w dal,
A woda płynie w dał.

Ogar został w Skraju Drogi. Mógł tam zarabiać na życie szukaniem. Poza tym spodobała mu się tawerna i gościnność matki Wydry.

Nim nastała jesień, gnijące ciało Losena zawisło do góry nogami na sznurze w oknie pałacu królów, a sześciu wodzów rozpoczęło walki o jego królestwo. Okręty wielkiej floty ścigały się i polowały na siebie nawzajem na falach cieśnin i wzburzonego magią morza. “Nadzieja" jednak, kierowana rękami dwóch młodych czarodziejów z Dłoni, z Havnoru, przewiozła Medrę bezpiecznie przez Morze Najgłębsze aż na Roke.

W porcie czekała na niego Żar. Podszedł, wychudzony, kulejący, i ujął jej dłonie. Nie potrafił spojrzeć jej w twarz.

— Na mym sercu ciąży zbyt wiele śmierci, Elehal — rzekł.

— Chodź ze mną do Gaju — odparła.

Poszli tam razem i zostali aż do zimy. W następnym roku zbudowali sobie domek na brzegu strumienia Thwilburn wypływającego z Gaju. Mieszkali tam latem.

Pracowali i nauczali w Wielkim Domu. Widzieli, jak wyrasta: kamień po kamieniu, każdy z nich wzmocniony zaklęciami ochrony, trwałości, spokoju. Byli przy ustanawianiu Reguły Roke, choć nie wszyscy przyjęli ją chętnie. Zawsze zdarzali się przeciwnicy. Magowie przybywali z innych wysp i powstawali z grona uczniów — kobiety i mężczyźni obdarzeni mocą, wiedzą i dumą, zaprzysiężeni zgodnie z Regułą i gotowi do wspólnej pracy dla dobra innych. Każdy jednak inaczej spoglądał na świat.

Starzejąca się Elehal z coraz większym znużeniem przyjmowała problemy i namiętności Szkoły. Coraz mocniej pociągały ją drzewa. Wędrowała wśród nich samotnie, daleko, jak sięga myśl. Medra stąpał u jej boku, nie docierał jednak równie daleko. Był przecież kulawy.

Po jej śmierci jakiś czas samotnie mieszkał w domku tuż przy Gaju.

Pewnego jesiennego dnia przybył do Szkoły ścieżką biegnącą

przez pola na Pagórek Roke. Wszedł tylnymi drzwiami. Pokonując sale i kamienne korytarze, dotarł do serca Szkoły — marmurowego Podwórca Fontanny, na którym drzewo zasadzone przez Elehal wznosiło wysoko gałęzie czerwone od jagód.

Słysząc o jego przybyciu, na miejscu zjawili się nauczyciele z Roke — mężczyźni i kobiety uznani za mistrzów swych sztuk. Sam Medra był Mistrzem Szukania, póki nie odszedł do Gaju. Obecnie sztuki tej nauczała młoda kobieta, niegdyś jego uczennica.

— Długo się zastanawiałem — rzekł. — Jest was ośmioro. Dziewięć to lepsza liczba. Jeśli zechcecie, uznajcie mnie znów za mistrza.

— Co będziesz robił, mistrzu Rybołowie? — spytał Mistrz Przywołań, siwowłosy mag z Hien.

— Pilnował drzwi — odparł Medra. — Jestem kulawy, więc nie oddalę się zanadto. Jestem stary, więc będę wiedział, co rzec do tych, którzy tu przybędą. Jestem szukaczem, więc umiem odkryć, czy to dla nich właściwe miejsce.

— To rozwiązałoby wiele naszych problemów i bylibyśmy bezpieczniejsi — rzekła młoda Szukaczka.

— Jak to zrobisz? — spytał Mistrz Przywołań.

— Spytam o ich imiona — odparł Medra z uśmiechem. — Jeśli mi je zdradzą, mogą wejść. A kiedy uznają, że nauczyli się już wszystkiego, mogą znów wyjść. Jeśli powiedzą mi moje imię.

Tak też się stało. Do końca życia Medra strzegł drzwi Wielkiego Domu na Roke. Tylne drzwi, wychodzące na wzgórze, długo jeszcze zwano Bramą Medry, nawet gdy w domu, z upływem stuleci, wiele się zmieniło. I wciąż Odźwierny jest dziewiątym Mistrzem z Roke.

W Skraju Drogi i wioskach wokół góry Onn na Havnorze prządki i tkaczki wciąż śpiewają zagadkę, której ostatni wers, być może, traktuje o mężczyźnie zwanym Medra, Wydra i Rybołów:

> Trzech rzeczy nie ujrzy już ludzkie oko:
> Jasnej wyspy Solei w słońcu nad falami,
> Smoka, co w morzu pływa nad wodą głęboką,
> Ptaka, co w grobie fruwa pod ziemi zwałami.

DIAMENT I CZARNA RÓŻA

Piosenka rybaków z zachodniego Havnoru

Gdzie tylko pójdzie mój miły,
Pójdę i ja,
Gdziekolwiek lodź swą skieruje,
Skręci lodź ma.
Będziemy śmiać się we dwoje
I ronić Izy.
A jeśli śmierć go zabierze,
Odejdę z nim.
Gdzie tylko pójdzie mój miły,
Pójdę i ja,
Gdziekolwiek łódź swą skieruje,
Skręci łódź ma.

Na zachód od Havnoru, pośród wzgórz porośniętych gęstymi lasami dębów i kasztanów, leży miasto Polana. Niegdyś najbogatszym mieszkańcem miasta był kupiec zwany Złotym. Należał do niego tartak produkujący deski do budowy statków w Południowym i Wielkim Porcie Havnor, należały największe gaje kasztanowe, a także wozy, którymi wozacy przewozili drewno i kasztany na drugą stronę wzgórz. Świetnie mu się wiodło.

Gdy na świat przyszedł jego syn, matka rzekła:

— Nazwijmy go Kasztan albo Dąb.

— Diament — odparł ojciec, bo wedle jego oceny, tylko diamenty były cenniejsze niż złoto.

Mały Diament dorastał w najpiękniejszym domu Polany — tłuściutkie jasnookie niemowlę, wesoły rumiany chłopczyk. Miał słodki głos i wspaniały słuch, toteż matka, Tuly, nazywała go Słodkim Słowiczkiem albo Skowronkiem. Imię Diament nigdy jej się nie podobało. Chłopiec śpiewał i nucił bez ustanku, natychmiast zapamiętywał każdą zasłyszaną melodię, a kiedy brakło mu starych, wymyślał nowe. Matka poprosiła mądrą kobietę z wioski, Splot, by nauczyła go “Pieśni o Stworzeniu Ca" i “Czynów młodego króla". W Dzień Powrotu Słońca zaśpiewał Zimową Pieśń przed obliczem władcy Ziem Zachodnich, który odwiedzał właśnie swój majątek na wzgórzach ponad Polaną. Władca i jego żona wychwalali śpiew chłopca i podarowali mu małe złote puzderko z wprawionym w wieczko diamentem. Diament i jego matka uznali to za miły prezent,

Złoty jednak niecierpliwie przyjmował śpiewy i drobne upominki.

— To wszystko błahostki — rzekł. — Jak będziesz duży, zajmiesz się ważniejszymi sprawami.

Diament sądził, że ojciec ma na myśli drwali, cieśli, tartak, gaje kasztanowe, zbieraczy, wozy, wozaków — robotę, pertraktacje, planowanie, skomplikowane problemy dorosłych. Nigdy nie czuł się z tym wszystkim związany, czy zatem mógł zaangażować się w to, tak jak pragnął ojciec? Może dowie się, gdy dorośnie.

W istocie jednak Złoty nie myślał wyłącznie o swych interesach. Zauważył w zachowaniu syna coś, co może nie kazało mu spoglądać wyżej, lecz od czasu do czasu zerkać w niebo i szybko przymykać powieki.

Z początku uważał, iż Diament ma niewielki talent, tak jak wiele dzieci, talent, który opuści go wkrótce; zbłąkaną iskierkę magii. Jako chłopiec Złoty potrafił sprawiać, że jego cień lśnił i migotał. Rodzina wychwalała go bez opamiętania i kazała popisywać się przed gośćmi. Potem, gdy skończył siedem czy może osiem lat, stracił tę umiejętność i nigdy nie zdołał powtórzyć swej popisowej sztuczki.

Kiedy ujrzał, jak Diament schodzi z piętra, nie dotykając schodów, uznał, że ma przywidzenia. Jednak w kilka dni później zobaczył swe dziecko szybujące nad stopniami. Chłopiec zaledwie jednym palcem dotykał dębowej poręczy.

— Umiesz tak samo schodzić? — spytał Złoty.

— O tak — odparł Diament. — Popatrz. — I popłynął w dół, lekko niczym chmura niesiona południowym wiatrem.

— Skąd się tego nauczyłeś?

— Sam wymyśliłem — odparł chłopiec niepewny, czy nie rozgniewał ojca.

Złoty nie wychwalał syna, nie chcąc, by chłopak zdał sobie sprawę ze swojego daru i wbił się w dumę. W końcu talent mógł jeszcze zniknąć, podobnie jak słodki, wibrujący głos, a z samym śpiewem było już i tak dość zamieszania.

Lecz jakiś rok później ujrzał Diamenta w ogrodzie na tyłach domu z towarzyszką zabaw, Różą. Dzieci przykucnęły na ziemi z pochylonymi głowami. Śmiały się. Było w nich coś niesamowitego, co sprawiło, że przystanął u okna. Dostrzegł podskakujący między nimi ciemny kształt. *Żaba?* Ropucha? Może wielki świerszcz? Wyszedł do ogrodu i zbliżył się tak cicho, że choć był rosłym mężczyzną, zaprzątnięte własnymi sprawami dzieci w ogóle go nie usłyszały. To coś, co podskakiwało na trawie między ich bosymi stopami, to był kamień. Wyskakiwał w powietrze, gdy Diament podnosił rękę. Kiedy chłopiec potrząsał dłonią, kamień zawisał bez ruchu. Na pstryknięcie palców opadał na ziemię.

— Teraz ty — powiedział Diament do Róży. Dziewczynka zaczęła

go naśladować, lecz kamyk jedynie drgnął lekko.

— Och! — westchnęła. — Twój tato.

— Bardzo sprytna sztuczka — zauważył Złoty.

— Di ją wymyślił — powiedziała Róża.

Złoty nie lubił tej małej. Była wygadana i zarazem nieśmiała, skromna i gwałtowna. Do tego była dziewczynką młodszą od Diamenta i córką czarownicy. Wolał, by syn bawił się z rówieśnikami, synami najlepszych rodzin z Polany. Tuly upierała się, by nazywać matkę Róży mądrą kobietą, ale czarownica to tylko czarownica. Jej córka nie jest odpowiednią towarzyszką zabaw dla Diamenta. Irytowało go, że chłopiec uczy dziewczynkę magicznych sztuczek.

— Co jeszcze potrafisz, Diamencie? — spytał.

— Grać na flecie — odparł natychmiast chłopiec. Wyjął z kieszeni piszczałkę, którą matka podarowała mu na dwunaste urodziny. Jego palce zatańczyły i zagrał słodką, znaną melodię z zachodniego Wybrzeża “Gdzie tylko pójdzie mój miły".

— Bardzo ładnie — powiedział ojciec. — Ale każdy mógłby nauczyć się grać na flecie.

Diament spojrzał na Różę. Dziewczynka odwróciła głowę, spuszczając wzrok.

— Ja nauczyłem się bardzo szybko — rzekł. Złoty mruknął bez przekonania.

— Mój flet gra sam — dodał chłopiec i odsunął piszczałkę od ust. Jego palce zatańczyły i flet odegrał krótki, żywy taniec. Od czasu do czasu dźwięk zabrzmiał fałszywie, a melodię zakończył przeszywający pisk. — Jeszcze nie do końca mi wychodzi — dodał Diament, zawstydzony i podenerwowany.

— Całkiem nieźle, całkiem nieźle — odparł ojciec. — Ćwicz dalej. — I odszedł.

Nie wiedział, co powinien rzec. Nie chciał zachęcać chłopca do poświęcania czasu na muzykę i zabawy z Różą; i tak marnował go już zbyt wiele, a ani jedno, ani drugie nie pomoże mu osiągnąć czegoś w życiu. Lecz ów dar, niezaprzeczalny dar — wiszący w powietrzu kamień, flet… Nie należy doszukiwać się w nim zbyt wiele, ale lepiej chłopca nie zniechęcać.

Według Złotego pieniądze dawały władzę, lecz nie była to jedyna władza. Istniały jeszcze inne jej rodzaje. Ściślej biorąc, dwa: jeden dorównujący sile pieniędzy, a drugi jeszcze potężniejszy. Pierwszy to urodzenie. Gdy Władca Ziem Zachodnich zjawił się w swym majątku nieopodal Polany, Złoty chętnie oddał mu hołd. Władca urodził się, by *rządzić i* utrzymywać pokój, tak jak on sam przyszedł na świat, aby handlować i pomnażać swe bogactwa. Każdy z nich miał własne miejsce w świecie i każdy człowiek, zwykły szarak bądź szlachetnie urodzony, zasługiwał na szacunek, jeśli tylko dobrze spełniał swą rolę.

Istnieli też pomniejsi władcy, których Złoty mógł kupować i sprzedawać, pożyczać im pieniądze albo odmawiać pożyczki. Ci ludzie, choć szlachetnie urodzeni, nie zasługiwali na szacunek i hołd. Władza urodzenia i władza pieniędzy dorównywały sobie nawzajem. Na każdą z nich trzeba było sobie zasłużyć.

Oprócz bogatych i szlachty istnieli ludzie władający mocą: czarnoksiężnicy. Ich władza, choć rzadko po nią sięgali, była absolutna. W ich rękach spoczywał los od dawna pozbawionego króla Archipelagu.

Jeśli Diament przyszedł na świat z taką mocą, jeśli to był jego dar, wówczas wszystkie marzenia i plany ojca, który pragnął uczynić z niego swego następcę, wspólnie pomnażać majątek, dostarczać towary do Portu Południowego i wykupić lasy kasztanowe nad Reche — wszystkie te plany wydawały się niczym. Czy Diament mógłby — tak jak wuj jego matki — udać się do szkoły czarnoksiężników na wyspie Roke? Czy mógłby (tak jak tamten wuj) okryć rodzinę chwałą, zyskać władzę nad zwykłymi ludźmi i panami, zostać magiem na dworze regenta Wielkiego Portu Havnor? Pękający z dumy Złoty o mało sam nie wzleciał w powietrze nad schodami.

Nic jednak nie powiedział chłopcu ani jego matce. Z rozmysłem niewiele się odzywał, nie ufając wizjom, póki nie da się ich urzeczywistnić. Jego żona, choć kochająca i posłuszna, dobra matka i gospodyni, i tak zanadto rozpływała się nad uzdolnieniami i osiągnięciami chłopca. Poza tym jak wszystkie kobiety uwielbiała gadaninę i plotki, i nie potrafiła dobrać sobie przyjaciółek. Ta dziewczynka, Róża, kręciła się wokół Diamenta, ponieważ Tuly często zapraszała do siebie jej matkę, zasięgając rady za każdym razem, gdy Diament zadarł sobie paznokieć, i opowiadając zbyt wiele o gospodarstwie męża. Jego sprawy nie powinny obchodzić czarownicy. Z drugiej strony, Splot mogła stwierdzić, czy syn naprawdę ma talent, zdolności czarodziejskie… Wzdrygnął się jednak na samą myśl, że miałby poprosić ją o opinię w jakiekolwiek kwestii, a co dopiero w kwestii własnego syna.

Postanowił patrzeć i czekać. Cierpliwy, obdarzony silną wolą, przez cztery lata trzymał się z boku, aż do szesnastych urodzin Diamenta. Rosły młodzieniec, dobrze radzący sobie z nauką i zabawą, wciąż miał rumiane policzki i jasne oczy. Bardzo przeżył dzień, w którym zmienił mu się głos. Słodycz ustąpiła miejsca niskiej szorstkości. Złoty miał nadzieję, że dzięki temu problem śpiewu sam się rozwiąże, Diament jednak wciąż wałęsał się z wędrownymi muzykami, balladzistami i tym podobnymi, ucząc się coraz to nowych bzdur. Nie było to życie odpowiednie dla syna kupca, który kiedyś odziedziczy majątek, ziemię i tartaki ojca.

— Czas śpiewów dobiegł końca — oznajmił Złoty. — Synu,

musisz stać się mężczyzną.

Diament otrzymał swe prawdziwe imię u źródeł Amii, ponad Polaną. Specjalnie na tę okazję do miasta przybył czarnoksiężnik Szalej z Południowego Portu, który kiedyś znał jego ciotecznego dziadka, maga. W rok później Szaleją zaproszono na przyjęcie w rocznicę nadania imienia, wielką zabawę z piwem i jedzeniem dla wszystkich, i nowymi ubraniami, koszulami bądź spódnicami dla okolicznych dzieci. Tak nakazywał stary zwyczaj. Na przyjęciu w ciepły jesienny wieczór odbywały się też tańce na miejskim błoniu. Diament miał wielu przyjaciół: wszystkich chłopców w swym wieku z całego miasta i wszystkie dziewczyny. Młodzi tańczyli, niektórzy przesadzili z piwem, lecz nie doszło do żadnych wybryków. W sumie był to wesoły, pamiętny wieczór. Następnego ranka Złoty ponownie rzekł synowi, że powinien myśleć o tym, jak zostać mężczyzną.

— Trochę się zastanawiałem — przyznał chłopiec niskim głosem.

— I…?

— No cóż… — zaczął Diament i umilkł.

— Zawsze liczyłem na to, że przejmiesz rodzinny majątek. — Złoty mówił obojętnym tonem. Diament nie odpowiedział. — Myślałeś nad tym, co chciałbyś robić?

— Czasami.

— Rozmawiałeś z panem Szalejem? Diament zawahał się.

— Nie. — Spojrzał pytająco na ojca.

— Ja rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem — powiedział Złoty. — Oznajmił, że istnieją naturalne talenty, które nie tylko trudno opanować, lecz ich zaniedbanie może okazać się niebezpieczne. Mówił, że trzeba poznać sztukę, ćwiczyć się w niej.

Twarz chłopca pojaśniała.

— Twierdził też jednak — ciągnął Złoty — że owa nauka i ćwiczenia nie mogą zmierzać do niczego innego, poza samym poznaniem sztuki.

Diament przytaknął żarliwie.

— W przypadku prawdziwego daru, nie zwykłej, pospolitej zdolności, staje się to jeszcze ważniejsze. Napój miłosny czarownicy niewiele może zaszkodzić, lecz nawet wioskowy czarodziej musi uważać, jeśli bowiem sztukę wykorzystuje do celów przyziemnych, osłabia ją i bruka. Oczywiście, nawet czarownik dostaje zapłatę, a czarnoksiężnicy, jak sam wiesz, żyją wśród panów i mają wszystko, czego zapragną.

Diament uważnie słuchał, lekko marszcząc brwi.

— Mówiąc więc wprost, jeśli masz ten dar, Diamencie, nie przyda się on w handlu czy w tartaku. Trzeba pielęgnować go niezależnie. Poznać i opanować. Tylko wtedy nauczyciele mogą ci mówić, co z nim począć, na co przyda się tobie. Albo innym — dodał Zloty szybko.

Zapadła długa cisza.

— Powiedziałem mu — rzekł w końcu Złoty — że widziałem, jak ruchem ręki, jednym słowem zamieniasz drewnianą figurkę ptaka w prawdziwego ptaka, który wzleciał w powietrze i zaśpiewał. Widziałem, jak sprawiasz, że w powietrzu płonie światło. Nie wiedziałeś, że cię obserwuję. Długi czas patrzyłem i milczałem. Nie chciałem przykładać zbytniej wagi do dziecięcych igraszek. Wierzę jednak, że masz talent, być może wielki talent. Gdy opowiedziałem o wszystkim panu Szalejowi, zgodził się ze mną. Mówi, że możesz pójść do niego na naukę, na rok, może dłużej.

— Miałbym się uczyć u mości Szaleją? — spytał Diament. Jego głos wzniósł się o pół oktawy.

— Jeśli zechcesz.

— Ja… nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Mogę o tym pomyśleć? Niedługo. Jeden dzień.

— Oczywiście. — Złotego ucieszyła ostrożność syna. Sądził, ze Diament skwapliwie skorzysta z propozycji. Owszem, byłoby to naturalne, ale i bolesne dla ojca, puchacza, który — być może — wychował w swym gnieździe orła.

Złoty bowiem spoglądał na sztukę magii z prawdziwą pokorą, jako na coś, co całkowicie wykracza poza jego pojmowanie — nie zwykłą zabawkę jak muzyka czy opowieści, lecz praktyczne zajęcie, któremu jego własny fach nie mógłby dorównać. I choć sam nie ująłby tego w ten sposób, bał się czarnoksiężników. Odrobinę gardził czarownikami, ich sztuczkami, iluzjami i napuszoną gadaniną, ale czarnoksiężników się bał.

— Czy matka wie? — spytał Diament.

— Dowie się, kiedy nadejdzie pora. Nie może wpłynąć na twoją decyzję, Diamencie. Kobiety nie znają się na tych sprawach. Sam musisz dokonać wyboru, jak mężczyzna. Rozumiesz to?

Złoty mówił z zapałem, dostrzegając szansę oderwania chłopca od matki. Ona, jak to kobieta, będzie trzymać się go uporczywie, lecz syn jako mężczyzna powinien się uwolnić. Diament, co ucieszyło ojca, przytaknął z powagą, choć w jego oczach kryło się pytanie.

— Mości Szalej powiedział, że sądzi, iż być może, mam dar, talent do…?

Złoty zapewnił syna, że owszem, czarnoksiężnik dokładnie to powiedział, choć, oczywiście, przyszłość pokaże, co to za dar. Z niezwykłą ulgą przyjął skromność syna. Podświadomie bał się, że Diament tryumfalnie wywyższy się nad niego, przywołując własną nieoszacowaną moc — tajemną, niebezpieczną, niezwykłą moc, wobec której bogactwa, zdolności i godność kupca w ogóle się nie liczyły.

— Dziękuję, ojcze — powiedział chłopak.

Złoty uścisnął go i odszedł zadowolony.

***

Spotykali się wśród łozin nad Amią, nieopodal miejsca, gdzie rzeka mijała kuźnię. Gdy tylko Róża zjawiła się w umówionym zakątku, Diament rzekł:

— Ojciec chce, bym wstąpił na naukę do mości Szaleją.

— Masz się uczyć u czarnoksiężnika?

— Uważa, że mam wielki, olbrzymi talent. Magiczny. — Kto?

— Ojciec. Widział, jak ćwiczyliśmy. Mówi, że Szalej twierdzi, iż powinienem uczyć się u niego, bo zaniechanie nauki byłoby niebezpieczne. Och! — Diament rąbnął się pięścią w czoło.

— Ale ty naprawdę masz talent.

Jęknął, rozcierając ręką głowę. Siedział na ziemi w ich starej kryjówce, niewielkiej chatce wśród wikliny. Słyszeli w niej szum płynącego po kamieniach strumienia i daleki brzęk kowalskiego młota. Dziewczyna usiadła naprzeciw Diamenta.

— Pomyśl o wszystkim, co potrafisz — rzekła. — Nie mógłbyś tego zrobić, gdybyś nie miał daru.

— To niewielki dar — odparł cicho. — Wystarcza tylko do zwykłych sztuczek.

— Skąd wiesz?

Róża miała bardzo ciemną skórę i ciasno skręcone włosy okalające skupioną, poważną twarz o wąskich ustach. Jej stopy, nogi i ręce były brudne, spódnica i kurtka obszarpane; ale palce u rąk i nóg delikatne i smukłe, a pod rozdartą, pozbawioną guzików bluzką połyskiwał ametystowy naszyjnik. Matka dziewczyny, Splot, nieźle zarabiała, lecząc i uzdrawiając, nastawiając kości i przyjmując porody, sprzedając zaklęcia odszukania, napoje miłosne i mikstury na sen. Stać ją było na nowe ubrania dla siebie i córki, na porządne buty. Nie przyszło jej nawet do głowy, że to potrzebne. Nie interesowało też jej prowadzenie gospodarstwa. Wraz z Różą żywiły się głównie gotowanymi kurami i smażonymi jajkami, bo często płacono jej drobiem. Na podwórzu ich dwuizbowej chaty kłębiło się stado kotów i kur. Czarownica lubiła koty, ropuchy i drogie kamienie. Ametystowy naszyjnik stanowił zapłatę za przyjęcie na świat syna głównego leśnika Złotego. Sama Splot nosiła na rękach niezliczone bransolety, które brzęczały i połyskiwały, kiedy niecierpliwym gestem rzucała zaklęcia. Czasami na ramieniu nosiła kocię. Nie była czułą matką.

— Czemu mnie urodziłaś, skoroś mnie nie chciała? — spytała Róża, gdy skończyła siedem lat.

— Jak można pomagać przy porodach, jeśli samemu się tego nie przeżyło? — odparła matka.

— Zatem stanowiłam jedynie ćwiczenie? — warknęła Róża.

— Wszystko jest ćwiczeniem — powiedziała Splot.

Nie była złą kobietą. Rzadko czyniła cokolwiek dla córki, lecz nigdy nie robiła jej krzywdy, nie upominała i dawała wszystko, o co dziewczynka poprosiła — obiad, własną ropuchę, ametystowy naszyjnik, lekcje czarów. Kupiłaby jej też nowe ubranie, gdyby Róża o nie poprosiła, ale córka w ogóle nie myślała o takich drobiazgach. Mała od wczesnego dzieciństwa przywykła do zajmowania się sobą. Był to jeden z powodów, dla których Diament ją kochał. Przy niej rozumiał, co to wolność; bez niej mógł ją poczuć tylko, gdy słyszał muzykę, grał i śpiewał.

— Naprawdę mam dar — powiedział teraz, pocierając ręką skronie i szarpiąc się za włosy.

— Przestań znęcać się nad swoją głową — upomniała go Róża.

— Wiem, że Smoła tak myśli.

— Oczywiście. Ale czemu obchodzi cię jego zdanie? Już w tej chwili grasz na harfie sto razy lepiej niż on!

To był kolejny powód, dla którego Diament ją kochał.

— Czy istnieją czarnoksiężnicy muzykanci? — spytał, unosząc wzrok.

Zastanowiła się chwilę.

— Nie wiem.

— Ja też nie. Morred i Elf arran śpiewali sobie pieśni, a on był magiem. Mam wrażenie, że na Roke żyje Mistrz Pieśni, uczący starych opowieści i ballad. Ale nigdy nie słyszałem o czarnoksiężniku, który zajmowałby się muzyką.

— Nie rozumiem, czemu miałoby to być niemożliwe.

Nigdy nie dostrzegała, czemu coś miałoby być niemożliwe. Także dlatego ją kochał.

— Zawsze zdawało mi się, że te dwie rzeczy są do siebie podobne — rzekł. — Magia i muzyka. Zaklęcia i melodie. Trzeba powtarzać je dokładnie, bez najmniejszych błędów.

— Ćwiczyć — mruknęła kwaśno Róża.

Rzuciła kamykiem w Diamenta. Kamyk w powietrzu zamienił się w motyla. Chłopak pstryknięciem palców wyrzucił w górę drugiego motyla. Dwa owady trzepotały chwilę w powietrzu; potem kamyki spadły na ziemię. Diament i Róża wymyślili kilka innych wariantów starej sztuczki.

— Powinieneś pojechać, Di. Żeby się przekonać.

— Wiem.

— Pomyśl. Gdybyś został czarnoksiężnikiem, jak wiele mógłbyś mnie nauczyć odmiany postaci! Moglibyśmy stać się wszystkim.

Końmi! Niedźwiedziami!

— Kretami — dodał Diament. — Szczerze mówiąc, mam ochotę ukryć się pod ziemią. Zawsze sądziłem, że gdy tylko otrzymam imię, ojciec każe mi się uczyć tego, co sam robi. Ale cały rok jakby stał na uboczu. Pewnie od początku o tym myślał. Co jednak, jeśli się tam udam i odkryję, że czary idą mi równie opornie jak prowadzenie ksiąg handlowych? Czemu nie mogę robić tego, co potrafię?

— A czemu nie miałbyś robić wszystkiego? Zająć się magią i muzyką? Księgowego możesz sobie wynająć.

W uśmiechu jej szczupła twarz promieniała. Wąskie usta rozszerzały się, oczy znikały w wąskich szparkach.

— Och, Czarna Różo — westchnął Diament. — Kocham cię.

— I dobrze. Inaczej bym cię zaczarowała.

Uklękli naprzeciw siebie twarzą w twarz, trzymając się za opuszczone ręce, i obsypali się pocałunkami. Pod ustami Róży twarz Diamenta była gładka i jędrna niczym śliwka. Nad górną wargą i wzdłuż szczęki dziewczyna wyczuła drobne ukłucia, w miejscu gdzie od niedawna *zaczai* się golić. Wargi Diamenta czuły miękkość jedwabiu, w jednym miejscu skażoną posmakiem ziemi — tam właśnie Róża potarła się brudną ręką. Przysunęli się nieco bliżej, tak że ich piersi i brzuchy się zetknęły, choć ręce wciąż zwisały u boków, i dalej się całowali.

— Czarna Różo — szepnął jej wprost do ucha. Tak nazywał ją w sekrecie.

Nie odpowiedziała, lecz odetchnęła mu w ucho ciepłym powietrzem. Jęknął. Jego dłonie zacisnęły się na palcach dziewczyny. Cofnął się. Ona także.

Z powrotem przysiedli na piętach.

— Och, Di — westchnęła. — Będę bardzo samotna, gdy odejdziesz.

— Nie odejdę — odparł. — Nigdzie. Nigdy.

***

Lecz oczywiście odszedł do Południowego Portu Havnor. Odjechał jednym z wozów ojca, prowadzonym przez wozaka, siedząc u boku mistrza Szaleją. Zwykli ludzie czynili to, co kazali czarnoksiężnicy, a wybór na ucznia to ogromny zaszczyt. Szalej, który zdobył laskę na Roke, przywykł, że chłopcy zjawiają się u niego, błagając, by poddał ich próbie i jeśli mają dar, *zaczai* nauczać. Ciekawił go ten chłopak. Pod maską wesołości i dobrego wychowania ukrywał wahanie bądź

wątpliwości. To ojciec, nie syn uznał, że chłopak ma talent. Niezwykłe, choć może mniej niezwykłe wśród bogaczy niż pośród zwykłych ludzi. Tak czy inaczej zapłacono mu hojnie, złotem i kością. Gdyby chłopak rzeczywiście miał talent magiczny, Szalej go wyszkoli, jeśli zaś, jak podejrzewał czarnoksiężnik, to tylko dziecięce zdolności, odeśle go do domu wraz z resztą zapłaty. Szalej był uczciwym, solidnym, wypranym z poczucia humoru, zamkniętym w sobie czarnoksiężnikiem. Nie interesowały go uczucia ani ideały. Miał dar odszukiwania imion.

— Sztuka zaczyna się i kończy na imionach — mawiał i była to prawda, choć między początkiem a końcem kryje się niemało.

I tak Diament, miast uczyć się zaklęć, złudzeń i przemian oraz podobnych jarmarcznych sztuczek, jak nazywał je Szalej, siedział w wąskiej komnacie, na tyłach wąskiego domu czarnoksiężnika, przy wąskiej uliczce starego miasta, i wkuwał na pamięć długie, bardzo długie spisy imion, słów mocy w Języku Tworzenia: nazwy roślin i części roślin, zwierząt i części ich ciał, wysp i części wysp, części statków, części ludzkiego ciała. Słowa te nie miały sensu. Nie układały się w zdania. Były tylko spisami, długimi, jakże długimi spisami.

Jego myśli błądziły gdzieś w dali. “Rzęsa w Prawdziwej Mowie to *siasa"* — odczytał i poczuł, jak czyjeś rzęsy muskają mu policzek w motylim pocałunku. Długie ciemne rzęsy. Zdumiony uniósł wzrok, nie wiedząc, co go dotknęło. Później, gdy próbował powtórzyć to słowo, nie potrafił.

— Ćwicz pamięć, ćwicz pamięć — upominał go Szalej. — Talent na nic się nie zda bez pamięci.

Nie był surowy, lecz nieustępliwy. Diament nie wiedział, co czarnoksiężnik o nim myśli. Przypuszczał, że nie ocenia go zbyt wysoko. Czasami czarnoksiężnik zabierał go ze sobą do pracy. Zwykle rzucał zaklęcia ochronne na statki i domy. Oczyszczał też studnie i zasiadał w radzie miasta. Rzadko się odzywał, lecz zawsze uważnie słuchał. Inny czarnoksiężnik, niekształcony na Roke, lecz dysponujący darem uzdrawiania, opiekował się chorymi i umierającymi w Porcie Południowym. Szalej chętnie oddał mu to brzemię. Największą radość sprawiały mu badania i według Diamenta, nie czynił żadnej magii.

— Należy utrzymać Równowagę. Na tym to wszystko polega — mówił Szalej. — Wiedza, porządek, władza.

Te słowa powtarzał tak często, że ich melodia zapisała się w głowie Diamenta. Słyszał ją nieustannie: “Wiedza, porząądek i właaaaadza…".

Gdy Diament podkładał pod spisy imion wymyślone przez siebie melodie, uczył się znacznie szybciej. Wówczas jednak melodia stawała się częścią imienia i wyśpiewywał je tak wyraźne — bo jego głos zyskał już męską barwę, przeradzając się w mocny, aksamitny

tenor — że czarnoksiężnik wzdrygał się odruchowo. W domu Szaleją zwykle panowała cisza.

Uczeń powinien był jak najwięcej przebywać ze swym mistrzem, przeglądać spisy imion w pokoju, gdzie mag przechowywał księgi wiedzy, albo spać. Szalej był wyznawcą zasady chodzenia spać z kurami i wstawania o świcie. Od czasu do czasu Diament miewał jednak wolną godzinę czy dwie. Wówczas zawsze schodził do portu i siadał na nabrzeżu bądź kamiennym murku, rozmyślając o Czarnej Róży. Gdy tylko oddalał się od domu i mistrza Szaleją, zaczynał myśleć o Czarnej Róży, tylko o niej. To go zdumiewało. Sądził, że będzie tęsknił za domem, za matką. I rzeczywiście, często ją wspominał, leżąc na łóżku w pozbawionym wszelkich sprzętów wąskim pokoiku, po skromnym posiłku złożonym z miski zimnej zupy fasolowej — albowiem przynajmniej ten czarnoksiężnik nie żył wcale w luksusie, wbrew wyobrażeniom Złotego. Nocami Diament nigdy nie rozmyślał o Czarnej Róży. Myślał o matce, o słonecznych pokojach i gorącej strawie; innym razem w jego głowie rozbrzmiewała melodia i powtarzał ją w myślach, odgrywał na harfie, odpływając w sen. Czarna Róża zjawiała się w jego umyśle, tylko gdy siadał w porcie, spoglądając z brzegu w wodę, obserwując pomosty i łodzie rybackie; tylko gdy przebywał na dworze, daleko od Szaleją i jego domu.

Rozkoszował się zatem wolnymi godzinami, jakby były to prawdziwe spotkania z dziewczyną. Zawsze ją kochał, lecz nie zdawał sobie sprawy z ogromnej siły tego uczucia. Kiedy z nią przebywał, nawet gdy siedział w porcie, myśląc o niej, naprawdę żył. Nigdy nie czuł się do końca żywy w domu mistrza Szaleją, w jego obecności. Miał wrażenie, że jego część umiera. Drobna, lecz ważna część.

Nieraz siedząc na kamiennych stopniach wiodących do brudnej wody, wśród pisków mew i wrzasków portowych robotników, tworzących przykry, fałszywy akompaniament, Diament zamykał oczy i widział swą ukochaną, tak blisko, wyraźnie, że wyciągał rękę, by jej dotknąć. Jeśli czynił to wyłącznie w myślach, jak wówczas gdy w wyobraźni grał na harfie, rzeczywiście jej dotykał. Czuł jej dłoń w swojej, wargami muskał ciepły, a jednocześnie chłodny policzek, gładź jedwabiu pokrytą warstewką brudu. W myślach przemawiał do niej, a ona odpowiadała. Głosem, niskim, zmysłowym, wymawiała jedno słowo: Diament…

Gdy jednak ruszał z powrotem ulicami Południowego Portu, tracił ją. Przysięgał sobie, że ją zatrzyma, będzie o niej myślał jeszcze tej samej nocy, lecz jej obraz gdzieś znikał. I kiedy Diament otwierał drzwi domu mistrza Szaleją, powtarzał już w duchu spisy imion albo zastanawiał się, co będzie na obiad, bo ostatnio był stale głodny. Dopiero gdy udało mu się wyrwać na godzinę i pobiec do portu, znów zaczynał o niej rozmyślać.

Stopniowo uznał, że owe godziny to ich prawdziwe spotkania. Żył tylko dla nich, nie wiedząc, czego pragnie, póki jego stopy nie znalazły się na bruku, oczy nie spojrzały w morze i widoczną nad nim odległą linię horyzontu. Wtedy przypominał sobie to, co warto pamiętać.

Minęła zima, nastała wczesna chłodna wiosna, która wkrótce pocieplała. Wraz z nią do miasta przybył list od matki, przywieziony przez wozaka. Diament przeczytał go i zaniósł do Szaleją.

— Matka pyta, czy tego lata mógłbym spędzić miesiąc w domu.

— Prawdopodobnie nie. — Mag wyglądał, jakby dopiero teraz dostrzegł Diamenta. Powoli odłożył pióro. — Młody człowieku, muszę spytać, czy pragniesz nadal uczyć się ode mnie.

Diament nie miał pojęcia, co rzec. Nawet nie przyszło mu na myśl, że decyzja należy do niego.

— Sądzisz, że powinienem? — spytał w końcu.

— Prawdopodobnie nie — odparł czarnoksiężnik.

Diament oczekiwał ulgi, radości, odkrył jednak, iż czuje się odrzucony, zawstydzony.

— Przykro mi — rzekł odrobinę sztywno, z godnością. Szalej zerknął na niego.

— Mógłbyś popłynąć na Roke — dodał.

— Na Roke?

Oszołomienie widoczne w oczach chłopca rozdrażniło Szaleją, choć wiedział, że nie powinno. Czarnoksiężnicy przywykli do nadmiernej pewności siebie ich młodzieży. Oczekują, że czas skromności nadejdzie później, o ile w ogóle nastanie.

— Powiedziałem: na Roke — ton głosu Szaleją jasno świadczył o tym, iż czarnoksiężnik nie przywykł, by musieć się powtarzać. A potem, ponieważ ten chłopak, miękki, rozpieszczony marzyciel, dzięki swej ogromnej cierpliwości stał mu się drogi, pożałował go i dodał: — Powinieneś albo popłynąć na Roke, albo też *znaleźć* czarnoksiężnika, który nauczy cię tego, czego trzeba. Oczywiście potrzebujesz też tego, czego ja mogę cię nauczyć. Potrzebujesz imion. Sztuka magiczna zaczyna się i kończy na imionach. Ale to nie twój dar. Masz kiepską pamięć do słów. Musisz szkolić ją wytrwale, nie brak ci jednak zdolności wymagających pielęgnacji i dyscypliny. Ktoś inny może zapewnić ci je lepiej ode mnie. — Czasami skromność rodzi skromność, nawet w najmniej spodziewanych miejscach. — Gdybyś miał popłynąć na Roke, dam ci list polecający cię szczególnej uwadze Mistrza Przywołań.

Diament był jak ogłuszony. Wiedział, że sztuka przywołań to chyba najbardziej tajemnicza i niebezpieczna ze wszystkich sztuk magicznych.

— Może się mylę — ciągnął Szalej sucho, beznamiętnie. — Może

masz talent do wzorów albo zwykły dar odmiany i transformacji. Nie jestem pewien.

— Ale ty… ja naprawdę…?

— O tak. Nie popisałeś się bystrością, młodzieńcze. Już dawno powinieneś był odkryć w sobie zdolności.

Słowa te zabrzmiały szorstko. Diament aż się najeżył.

— Sądziłem, że mam dar do muzyki. Szalej lekceważąco machnął ręką.

— Mówię o prawdziwej sztuce. I powiem *szczerze,* radzę, byś napisał do rodziców, ja zresztą też do nich napiszę, i poinformował ich o swej decyzji wyjazdu do szkoły na Roke, jeśli tak właśnie zdecydujesz, bądź też do Wielkiego Portu, jeżeli mag Spokojny zechce cię przyjąć, a myślę, że zechce, jeśli mu cię polecę. Lepiej jednak, byś nie odwiedzał domu. Więzy rodzinne, przyjaciele i tak dalej. Dokładnie od tego wszystkiego musisz się uwolnić. Teraz i na zawsze.

— Czyż czarnoksiężnicy nie mają rodzin?

Szalej z radością dostrzegł w chłopcu iskrę buntu.

— Są rodziną dla siebie nawzajem — rzekł.

— Ani przyjaciół?

— Mogą mieć przyjaciół. Czyż twierdziłem kiedyś, że to łatwe życie? — Nastała cisza. Szalej spojrzał wprost na Diamenta. — Była dziewczyna, prawda?

Diament przez chwilę patrzył mu prosto w oczy, potem spuścił wzrok. Milczał.

— Powiedział mi twój ojciec. Córka czarownicy, towarzyszka dziecięcych zabaw. Ojciec twierdził, że uczyłeś ją zaklęć.

— To ona mnie uczyła. Czarnoksiężnik skinął głową.

— Wśród dzieci to całkiem zrozumiałe. A teraz zupełnie niemożliwe. Rozumiesz?

— Nie — odrzekł Diament.

— Usiądź — polecił Szalej. Diament zajął miejsce na twardym krześle z wysokim oparciem. — Mogę cię tu chronić. I czyniłem tak. Rzecz jasna na Roke będziesz zupełnie bezpieczny. Tamtejsze mury… Jeśli jednak wrócisz do domu, musisz chcieć chronić samego siebie. To dla młodego człowieka trudne, bardzo trudne. Próba woli, która jeszcze nie okrzepła, umysłu, który jeszcze nie dostrzegł, do jakiego zmierza celu. Ze szczerego serca radzę, nie podejmuj tego ryzyka. Napisz do rodziców i udaj się do Wielkiego Portu bądź na Roke. Połowa rocznej opłaty, którą ci zwrócę, wystarczy do pokrycia pierwszych wydatków.

Diament siedział sztywno, nieruchomo. Ostatnio stał się rosły i krzepki jak ojciec, wyglądał już jak mężczyzna.

— Co masz na myśli, mistrzu, mówiąc, że mnie tu chroniłeś?

— Tak jak chronię samego siebie — odparł czarnoksiężnik. Po

chwili rzekł z irytacją: — Taki jest układ, chłopcze. Wyrzekamy się pewnej mocy, by uzyskać inną, większą. Odrzucamy niskie cielesne żądze. Z pewnością wiesz, że każdy prawdziwy mag żyje w celibacie…

Zapadła długa cisza.

— A zatem dopilnowałeś, bym… bym…

— Oczywiście. To mój obowiązek jako twojego nauczyciela. Diament skinął głową.

— Dziękuję — rzekł, po czym wstał. — Przepraszam, mistrzu. Muszę pomyśleć.

— Dokąd idziesz?

— Do portu.

— Lepiej zostań tutaj.

— Tu nie mogę myśleć.

W tym momencie Szalej powinien był się zorientować, z czym ma do czynienia, ale tak czy inaczej nie mógłby chłopcu nic nakazać, bo już powiedział, że nie będzie dłużej jego mistrzem.

— Masz prawdziwy dar, Essiri — powiedział używając imienia, które sam nadał chłopcu u źródeł Amii. W Dawnej Mowie słowo to oznaczało wierzbę. — Nie do końca go rozumiem. Myślę, że ty w ogóle go nie pojmujesz. Uważaj! Złe wykorzystanie daru, jego odrzucenie, może spowodować ogromną stratę, wielkie zło.

Diament skinął głową — cierpiący, zgodny, potulny, niewzruszony.

— Idź — rzekł czarnoksiężnik i chłopak poszedł.

Później mag zrozumiał, że nie powinien był pozwalać chłopcu na wyjście z domu. Nie docenił siły woli Diamenta, mocy zaklęć, które rzuciła na niego dziewczyna. Ich rozmowa miała miejsce rankiem. Szalej wrócił do starożytnej księgi magicznych sztuczek, nad którą pracował. W porze kolacji przypomniał sobie o uczniu i dopiero gdy zjadł ją samotnie, przyznał, że Diament uciekł.

Szalej nie znosił niższych form magii. Nie rzucił zaklęcia odnajdującego, co uczyniłby każdy czarownik. Nie wezwał też Diamenta. Był zły i może poczuł się urażony. Ciepło myślał o chłopcu, zaproponował, że poleci go Mistrzowi Przywołań, a jednak, podczas pierwszej próby, Diament się złamał.

— Jak szkiełko — mruknął czarnoksiężnik. Przynajmniej słabość ta dowiodła, że nie jest groźny. Niektórym ludziom nie powinno się pozwalać krążyć na swobodzie, jednak w tym młodzieńcu nie było nic złego, ani krzty niebezpieczeństwa czy ambicji. — Kompletnie bez kręgosłupa — powiedział Szalej w pogrążonym w ciszy domu. — Niech sobie wraca pokornie do domu, do matki.

Złościło go jednak, że Diament tak bardzo go zawiódł. Że odszedł bez słowa przeprosin bądź podziękowania.

Też mi dobre wychowanie, pomyślał.

***

Córka czarownicy zdmuchnęła lampę i położyła się do łóżka. Nagle usłyszała krzyk sowy, odległe melodyjne hu-hu-hu-hu, które sprawiało, że ludzie nazywali te ptaki roześmianymi sówkami, i dźwięk ten wzbudził żal w jej sercu. To był ich sygnał, gdy letnimi nocami wymykali się z domów w gąszcz łozin na brzegu Amii. Nie chciała o nim myśleć, nie nocą. Zimą co noc posyłała do niego swoje myśli. Nauczyła się zaklęcia matki, wiedziała, że działało. Posyłała mu swój dotyk, głos wymawiający raz po raz jego imię. Zawsze jednak natykała się na mur powietrza i milczenia. Niczego nie dotykała. Nie słyszał jej.

Za dnia kilka razy odnosiła wrażenie, że jego myśli krążą gdzieś blisko. Gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby go dotknąć. Nocą jednak dręczyła ją samotność, poczucie odrzucenia. Wiele miesięcy temu przestała próbować do Diamenta dotrzeć, wciąż jednak jej serce ściskało się z bólu.

— Hu-hu-hu — zahukała sowa pod oknem, a potem rzekła: — Czarna Różo!

Zdumiona dziewczyna wyskoczyła z łóżka i otworzyła okiennicę.

— Wyjdź na dwór — szepnął Diament, mroczna sylwetka w blasku gwiazd.

— Matki nie ma. Wejdź do środka. Spotkała go na progu.

Długi czas obejmowali się mocno, w milczeniu. Diament miał wrażenie, jakby trzymał w ramionach swą przyszłość, całe swoje życie.

W końcu dziewczyna poruszyła się i ucałowała go w policzek.

— Tęskniłam — szepnęła. — Tak bardzo za tobą tęskniłam. Jak długo możesz zostać?

— Jak długo zechcę.

Nie wypuszczając jego dłoni, poprowadziła Diamenta do środka. Zawsze niechętnie wchodził do domu czarownicy, w chaos ostrych zapachów, tajemnic, czarów i kobiecości, jakże odmienny od wygodnej domowej siedziby czy surowych pokojów czarnoksiężnika. Stojąc na środku, głową niemal sięgał pęków ziół wiszących u powały. Drżał niczym koń. Był napięty i znużony — w ciągu szesnastu godzin pokonał odległość czterdziestu mil, nie zatrzymując się nawet, by coś zjeść.

— Gdzie twoja matka? — spytał szeptem.

— Nie wróci przed rankiem. Czuwa przy starej Paproci, która dziś

umarła. Skąd się tu wziąłeś?

— Przyszedłem.

— Czarnoksiężnik cię wypuścił?

— Uciekłem.

— Uciekłeś? Dlaczego?

— Żeby cię nie stracić.

Spojrzał na nią, na ową żywą ciemną twarz pod obłokiem splątanych włosów. Róża miała na sobie jedynie koszulę i dostrzegł pod nią delikatne wzgórki miękkich piersi. Ponownie przyciągnął ją do siebie. Choć objęła go, wkrótce cofnęła się i zmarszczyła brwi.

— Żeby mnie nie stracić? — powtórzyła. — Nie przejmowałeś się tym całą zimę. Czemu teraz wróciłeś?

— Chciał, żebym popłynął na Roke.

— Na Roke? — spojrzała na niego ze zdumieniem — Na Roke, Di? Zatem naprawdę masz talent? Możesz zostać czarownikiem?

Czyżby trzymała stronę Szaleją?

— Czarownicy są dla niego niczym. Uważa, że mogę zostać czarnoksiężnikiem. Zajmować się magią, nie zwykłymi czarami.

— Rozumiem — mruknęła po chwili Róża. — Ale w takim razie czemu uciekłeś?

Nie trzymali się już za ręce.

— Nie wiesz? — Irytowało go, że Róża nic nie pojmuje, bo on sam też wcześniej niczego nie dostrzegał. — Czarnoksiężnik nie może zadawać się z kobietami. Z czarownicami. Mieć z nimi cokolwiek wspólnego.

— Wiem przecież. To ich niegodne.

— Nie tylko.

— Ależ tak. Założę się, że musiałeś zapomnieć wszystkie zaklęcia, których cię nauczyłam. Prawda?

— To nie to samo.

— Nie. To nie Wielka Sztuka. Prawdziwa Mowa. Czarnoksiężnik nie może kalać sobie ust zwykłymi słowami. “Słabe jak kobiece czary, złośliwe jak kobiece czary". Myślisz, że nie wiem, co mówią ludzie? Czemu zatem wróciłeś?

— Żeby cię zobaczyć.

— Po co?

— A jak sądzisz?

— Nigdy nie posyłałeś do mnie swoich myśli, nie pozwalałeś mi dotrzeć do siebie. Stale cię nie było. Miałam czekać, póki nie znudzi cię zabawa w maga? Znudziło mnie czekanie. — Jej ledwie słyszalny głos zabrzmiał dziwnie ochryple.

— Z kimś się spotykasz — rzekł Diament z niedowierzaniem. Jak mogła tak go zdradzić? — Kto to?

— Nie twoja sprawa! Odchodzisz, odwracasz się do mnie plecami.

Czarnoksiężnicy nie zadają się z takimi jak ja, jak moja matka. Nie obchodzi ich, co robimy. Cóż, mnie także nie obchodzi, co robisz. Idź stąd.

Diament, głodny, zrozpaczony, niezrozumiany, wyciągnął ręce, pragnąc znów ją przytulić, sprawić, by ich ciała zrozumiały się jak kiedyś, powtórzyć ów pierwszy mocny uścisk, w którym zawarły się wszystkie lata ich życia. Nagle odkrył, że stoi krok dalej, mrugając oślepionymi oczami. W uszach mu dzwoniło, ręce piekły boleśnie. W oczach Róży płonęła błyskawica, z zaciśniętych dłoni strzelały iskry.

— Nigdy więcej tego nie rób — szepnęła.

— Nie ma obaw — odparł Diament. Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Łodyżka suszonej szałwi wplątała mu się we włosy i uniósł ją ze sobą.

***

Tę noc spędził w starej kryjówce wśród łozin. Miał nadzieję, że może zjawi się Róża, ale nie przyszła. Wkrótce pokonało go zmęczenie i zasnął. Ocknął się o pierwszym chłodnym brzasku. Usiadł na ziemi i zaczął rozmyślać. Przyjrzał się swemu życiu w owym zimnym świetle. Wyglądało inaczej, niż dotąd sądził. Podszedł do strumienia, w którym nadano mu imię. Napił się wody, umył twarz i ręce, poprawił ubranie i ruszył przez miasto do pięknego domu przy głównej ulicy, domu ojca.

Po pierwszych uściskach i okrzykach radości służący i matka posadzili go za stołem. Po śniadaniu, z brzuchem pełnym ciepłej strawy i lodowatą odwagą w sercu stanął przed ojcem, który wyszedł wcześnie rano, by wyprawić wozaków do Wielkiego Portu, i dopiero teraz wrócił.

Objęli się.

— I cóż, synu? Mości Szalej pozwolił ci nas odwiedzić?

— Nie, ojcze. Odszedłem.

Złoty zastygł w bezruchu. Po chwili przysunął sobie talerz i usiadł.

— Odszedłeś — powtórzył.

— Tak, ojcze. Uznałem, że nie chcę być czarnoksiężnikiem.

— Hmm — mruknął Złoty, przełykając kolejny kęs. — Odszedłeś z własnej woli? Za zgodą mistrza?

— Z własnej woli. Bez jego zgody.

Złoty powoli żuł kawałek mięsa, wbijając wzrok w blat. Diament widywał już podobną minę u ojca — raz, gdy leśnik doniósł o groźnej

chorobie atakującej kasztanowe gaje, i drugi, gdy kupiec odkrył, że handlarz mułów go oszukał.

— Chciał, abym popłynął do szkoły na Roke i wstąpił na naukę do Mistrza Przywołań. *Zamierzał* mnie tam wysłać. Postanowiłem, że nie chcę.

Po dłuższej chwili, wciąż nie podnosząc wzroku, ojciec spytał:

— Czemu?

— Nie tego pragnę w życiu.

I znów milczeli. Złoty zerknął na żonę, która stała przy oknie, wsłuchana w każde słowo. Potem przeniósł wzrok na syna. Powoli gniew, zawód i zmieszanie na jego twarzy ustąpiły czemuś znacznie prostszemu, błogiemu zadowoleniu. Zdawało się, że lada moment mrugnie porozumiewawczo.

— Rozumiem — rzekł. — Czego zatem pragniesz? Cisza.

— Tego — odparł Diament spokojnie, nie patrząc na rodziców.

— Ha! — wykrzyknął Złoty. — Nie ukrywam, że cieszę się, synu. — Jednym kęsem pochłonął pasztecik. — Nauka magii, wyjazd na Roke, to wszystko od początku nie wydawało mi się rzeczywiste. Kiedy wyjechałeś, nie wiedziałem, po co wciąż prowadzę interesy. Twój powrót nadaje temu sens, prawdziwy sens. Ale powiedz, tak po prostu uciekłeś? Czy czarnoksiężnik wie, dokąd odszedłeś?

— Nie. Napiszę do niego — odrzekł Diament swym nowym spokojnym głosem.

— Nie będzie zły? Powiadają, że czarnoksiężnicy bywają skorzy do gniewu. Pyszni.

— Będzie, ale niczego nie zrobi.

I rzeczywiście. W istocie, ku zdumieniu Złotego, mistrz Szalej skrupulatnie odesłał dwie piąte otrzymanej opłaty. Do przesyłki dostarczonej przez jednego z wozaków, powracającego z Południowego Portu po dostarczeniu ładunku żerdzi, dołączony był liścik do Diamenta, zawierający jedno zdanie: “Prawdziwa sztuka wymaga oddania całym sercem". Na zewnątrz czarnoksiężnik nakreślił hardycką runę oznaczającą wierzbę. List podpisał własną runą o dwóch znaczeniach: Szalej i cierpienie.

Diament siedział w swym słonecznym pokoju, na własnym wygodnym łóżku, słuchając śpiewu krzątającej się po domu matki. Trzymał w dłoni list czarnoksiężnika, raz po raz odczytując jego treść i obie runy. Leniwe odrętwienie, które ogarnęło go owego poranka wśród łozin, sprawiło, że z łatwością zaakceptował słowa nauczyciela. Koniec z magią. Nigdy więcej. Od początku nie oddał jej swego serca. Była dla niego zwykłą dziecięcą zabawą. Nawet poznane w domu czarnoksiężnika imiona w Prawdziwej Mowie, choć dostrzegał ukryte w nich piękno i moc, mógł wymazać ze swego umysłu, odrzucić, zapomnieć. To nie był jego język.

Własnym językiem mógł przemawiać tylko do niej. Ale ją utracił, pozwolił jej odejść. Podzielone serce nie zna prawdziwej mowy. Od tej pory będzie mógł przemawiać tylko językiem obowiązków, zysków i strat, przychodów i wydatków.

Poza tym nic nie istniało. Tylko iluzje, dziecięce zaklęcia, kamyki zmieniające się w motyle, drewniane ptaki wzlatujące przez chwilę na silnych żywych skrzydłach. Tak naprawdę nigdy nie miał wyboru. Dla niego istniała tylko jedna droga.

***

Złoty nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, jak bardzo się cieszy.

— Stary odzyskał swój skarb — rzekł jeden z wozaków do leśnika. — Słodki jest teraz jak miód.

Lecz kupiec nie dostrzegał własnej słodyczy, myślał tylko o tym, jak słodkie jest życie. Kupił gaj nad Reche — owszem, drogo, ale przynajmniej sprzątnął go sprzed nosa Gałęzi ze Wschodniego Wzgórza. Teraz, wraz z Diamentem, mogli zaprowadzić tam własne porządki. Wśród kasztanowców rosło wiele sosen, które należało ściąć i sprzedać na maszty, żerdzie i opał, a potem zastąpić sadzonkami kasztanów. Z czasem uzyskają jednorodny las, podobny do Wielkiego Gaju, serca kasztanowego imperium Złotego. Oczywiście nie stanie się to natychmiast. Dęby i kasztanowce nie rosną szybko, jak olchy i wierzby. Ale mieli czas. Teraz mieli go bardzo dużo. Chłopak zaledwie skończył siedemnaście lat, on sam czterdzieści pięć, był w kwiecie wieku. Ostatnio czuł się staro, ale to bzdura. Osiągnął najlepszy wiek dla mężczyzny. Najstarsze drzewa, nie rodzące już owoców, także powinny zostać ścięte. Drewno z nich nada się na meble.

— No i co? — mawiał często do żony. — Cieszysz się, prawda? Odzyskałaś swoje oczko w głowie. Nie musisz się więcej smucić.

A Tuly uśmiechała się i gładziła jego rękę.

Raz jeden, zamiast uśmiechać się i potakiwać, rzekła:

— Cudownie jest go mieć z powrotem, ale… — i w tym momencie Złoty przestał słuchać. Matki zawsze martwią się o dzieci, kobiety nigdy nie bywają zadowolone. Nie musiał słuchać litanii trosk, które Tuly z upodobaniem dźwigała na swych barkach. Oczywiście uważała, że życie kupca nie jest dość dobre dla jedynaka. Według niej królewski tron w Havnorze także nie byłby dla niego dość dobry.

— Gdy znajdzie sobie dziewczynę — rzekł Złoty w odpowiedzi na niesłyszane słowa żony — wszystko się ułoży. Miesiące spędzone u czarnoksiężnika trochę zamąciły mu w głowie. Nie martw się o

Diamenta. Sam znajdzie to, co dla niego najlepsze.

— Mam nadzieję — westchnęła Tuly.

— Przynajmniej nie spotyka się już z córką czarownicy. Z tym koniec.

Dopiero później przyszło mu do głowy, że jego żona także już nie widuje się z czarownicą. Od lat knuły razem wbrew jego ostrzeżeniom, teraz jednak Splot unikała ich domu. Cóż, kobieca przyjaźń nigdy nie trwa długo. Pewnego dnia, gdy Tuly rozrzucała w skrzyniach i komodach listki mięty i bagna dla ochrony przed molami, rzekł:

— Czemu nie poprosiłaś, by twoja mądra przyjaciółka rzuciła na nie czar? A może już się nie przyjaźnicie?

— Nie — odparła jego żona ze spokojem. — Nie przyjaźnimy się już.

— I bardzo dobrze. A co słychać u jej córki? Słyszałem, że uciekła z żonglerem.

— Z muzykiem — poprawiła Tuly. — Zeszłego lata.

***

— Wydamy przyjęcie w dniu nadania imienia — powiedział Złoty. — Czas na zabawę, muzykę i tańce, chłopcze. Kończysz dziewiętnaście lat. Musimy to uczcić!

— Pojadę do Wschodniego Wzgórza z mułami Sula.

— Nie, nie, nie. Sul da sobie radę. Zostań w domu, baw się. Ciężko pracujesz. Wynajmiemy grajków. Kto jest najlepszy? Smoła i jego chłopcy, prawda?

— Ojcze, ja nie chcę przyjęcia. — Diament dygotał cały, spięty jak koń przed skokiem. Był teraz wyższy od ojca i poruszał się zdumiewająco szybko. — Pojadę do Wschodniego Wzgórza — oznajmił i wyszedł.

— O co tu chodzi? — Złoty westchnął. Było to czysto retoryczne pytanie.

Żona zerknęła na niego, udzielając bynajmniej nie retorycznej odpowiedzi.

Gdy jej mąż odszedł, znalazła syna w kantorze. Przeglądał księgi handlowe. Spojrzała na ich karty. Długie spisy imion i liczb, wydatków i wpływów, zysków i strat.

— Di — powiedziała i chłopak uniósł wzrok. Twarz wciąż miał krągłą, brzoskwiniową, choć jej rysy stały się nieco grubsze, a oczy spoglądały melancholijnie.

— Nie chciałem urazić uczuć ojca — rzekł.

— Jeśli pragnie przyjęcia, urządzi je — odparła. Głosy mieli podobne, wysokie, lecz aksamitne, spokojne, opanowane. Przycupnęła na stołku obok wysokiego biurka.

— Nie mogę… — zaczął i urwał. Po chwili dodał: — Naprawdę nie mam ochoty na tańce.

— Ojciec bawi się w swata — powiedziała Tuly z cierpką czułością.

— To mnie nie obchodzi.

— Wiem.

— Problemem jest…

— Problemem jest muzyka — dokończyła matka. Skinął głową.

— Synu — nagle w jej głosie zabrzmiała gwałtowna nuta. — Nie ma powodu, abyś rezygnował ze wszystkiego, co kochasz!

Ujął jej dłoń i ucałował.

— Pewnych rzeczy nie można łączyć ze sobą — rzekł. — Wolałbym, by było inaczej, ale odkryłem, że to niemożliwe. Gdy odszedłem od czarnoksiężnika, myślałem, że mogę mieć wszystko. No wiesz, czarować, grać i śpiewać, być dobrym synem, kochać Różę… Ale tak się nie dzieje. Tego się nie da połączyć…

— Ależ tak — wtrąciła Tuly. — Wszystko się łączy, splata ze sobą.

— Może dla kobiet. Ja… nie mogę żyć z podzielonym sercem.

— Podzielonym sercem? Ty? Zrezygnowałeś z magii, bo wiedziałeś, że ją zdradzisz!

Słowo to wyraźnie nim wstrząsnęło, lecz nie zaprzeczył.

— Czemu jednak porzuciłeś muzykę? — zapytała matka.

— Muszę oddać się czemuś całym sercem. Nie mogę grać na harfie i jednocześnie targować się z hodowcą mułów. Nie mogę śpiewać ballad, obliczając, ile winniśmy zapłacić zbieraczom, by nie przeszli do Gałęzi. — Jego głos drżał lekko, wibrował, w oczach błyszczał gniew.

— A zatem rzuciłeś na siebie zaklęcie, tak jak wcześniej uczynił to czarnoksiężnik. Zaklęcie ochronne, zatrzymujące cię wśród hodowców, zbieraczy kasztanów i tego wszystkiego. — Lekceważąco odepchnęła ręką księgę pełną imion i liczb. — Zaklęcie milczenia — dodała.

Po długiej chwili młodzieniec odezwał się cicho:

— Co innego mogłem zrobić?

— Nie wiem, mój drogi. Chcę, abyś był bezpieczny. Cieszę się, że twój ojciec jest szczęśliwy i dumny z ciebie, ale nie mogę znieść myśli, że ty nie zaznasz szczęścia ani dumy. Sama nie wiem. Może masz rację. Może dla mężczyzn istnieje tylko jedna droga. Ale tęsknię za twoim śpiewem.

Płakała, gładząc gęste lśniące włosy Diamenta, przepraszając za

swe okrutne słowa. Przytulił ją mocno, mówiąc, że jest najlepszą matką na świecie. Potem odeszła. W drzwiach jeszcze się zatrzymała.

— Niech sobie urządzi przyjęcie, Di. Niechaj urządzi je tobie.

— Dobrze — odparł, by ją pocieszyć.

***

Złoty zamówił jedzenie, piwo i fajerwerki. Diament zajął się znalezieniem muzyków.

— Oczywiście, że przyprowadzę moich ludzi — oznajmił Smoła. — Jakżebym mógł przegapić podobną zabawę? Na przyjęciu u twego ojca zjawią się wszyscy grajkowie z zachodniej części świata.

— Uprzedź ich, że zapłacę tylko wam.

— Przyjdą tu dla sławy — odparł harfiarz, szczupły czterdziestolatek o pociągłej twarzy i zapadniętych oczach. — Może do nas dołączysz? Nim zająłeś się robieniem pieniędzy, szło ci całkiem, całkiem. No i głos masz niezły, a gdybyś nad nim popracował…

— Raczej nie — odparł Diament.

— Słyszałem, że ta dziewczyna, którą lubiłeś, córka czarownicy, Róża, zadaje się z Labbym. Pewnie też się zjawią.

— Do zobaczenia na przyjęciu.

Diament, wysoki, przystojny, obojętny, odwrócił się i odszedł.

— Zbytnio zadziera nosa, by się z nami zadawać — mruknął Smoła. — A przecież nauczyłem go wszystkiego, jeśli chodzi o grę na harfie. Cóż to jednak *znaczy* dla bogacza.

***

Złośliwe słowa Smoły mocno go ubodły, a myśl o przyjęciu ciążyła tak bardzo, że stracił apetyt. Pozostała jeszcze nadzieja, że może się rozchoruje i pozostanie w domu. Nadszedł jednak dzień przyjęcia i Diament znalazł się wśród ludzi — nie tak widoczny, radosny, rozkrzyczany jak ojciec, ale był tam, uśmiechał się, tańczył. Zjawili się wszyscy jego przyjaciele z dzieciństwa; miał wrażenie, że połowa z nich poślubiła drugą połowę. Nie brakowało jednak flirtów, a w pobliżu stale kręciło się kilka ładnych dziewcząt. Diament wypił sporo doskonałego piwa z browaru Gadge'a i odkrył, że jeśli tańczy, a

w tańcu rozmawia ze śmiechem, może znieść nawet muzykę. Tańczył zatem po kolei ze wszystkimi ładnymi dziewczynami, a potem znów z każdą, która nawinęła się pod rękę. *Żadna* nie przepuściła okazji.

Było to najwspanialsze przyjęcie Złotego. Na miejskim błoniu, nieopodal domu kupca, rozłożono deski i rozbito namiot dla starszyzny, by mogła w spokoju jeść, pić i plotkować. Przygotowano nowe ubrania dla dzieci, w mieście zjawili się żonglerzy i lalkarze — część z nich opłacona, inni przybyli z własnej woli, skuszeni perspektywą kilku miedziaków i darmowego piwa. Każda zabawa przyciągała wędrownych kuglarzy i grajków, którzy w ten sposób zarabiali na życie, i choć nikt ich nie prosił, byli mile widziani. Pod wielkim dębem na szczycie wzgórza balladzista o jękliwym głosie, akompaniujący sobie na równie jękliwych dudach, śpiewał “Czyny władcy smoków". Gdy grupa Smoły — harfa, flet, wiola i bęben — zrobiła sobie przerwę na kufelek, na deski wskoczyli nowi muzycy.

— Hej, to ludzie Labby'ego! — krzyknęła jedna z dziewcząt. — Chodź, są najlepsi!

Labby, jasnoskóry mężczyzna w wielobarwnym stroju, grał na podwójnym rogu. Towarzyszył mu wiolista, tamburynista i Róża na flecie. Najpierw zagrali skoczną radosną melodię, zbyt szybką dla niektórych tancerzy. Diament i jego partnerka nie poddali się jednak. Ludzie klaskali i wiwatowali, gdy młodzi, zdyszani i zlani potem, skończyli taniec.

— Piwa! — huknął Diament i odpłynął, porwany przez grupkę roześmianych i rozgadanych młodych kobiet i mężczyzn.

Za sobą usłyszał początek kolejnej melodii. Samotna wiola załkała, intonując przejmująco “Gdzie tylko pójdzie mój miły".

Diament jednym łykiem opróżnił kufel piwa. Towarzyszące mu dziewczyny ze śmiechem patrzyły, jak przełyka, odchylając głowę. Zadygotał niczym koń pociągowy użądlony przez gza.

— Nie, nie mogę — westchnął i umknął w mrok, poza kręgi światła rzucane przez otaczające namiot lampiony.

— Dokąd on idzie? — spytała jedna z dziewcząt.

— Wróci — odparła druga i ze śmiechem podjęły przerwaną rozmowę.

Ucichły słodkie dźwięki wioli.

— Czarna Różo — rzekł zza jej pleców.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Patrzyli sobie w oczy. Ona siedziała ze skrzyżowanymi nogami na tanecznej platformie, on klęczał na trawie.

— Przyjdź w łoziny — poprosił.

Nie odpowiedziała. Labby zerknął na nią, uniósł róg do ust, bębniarz uderzył w tamburyn i zaintonowali marynarskiego dżiga.

Gdy znów się rozejrzała, Diamenta już tam nie było. Po jakiejś

godzinie Smoła wrócił ze swą grupą w wybitnie złym humorze, który piwo jeszcze tylko pogorszyło. Przerwał kolejną melodię i tańce, nakazując głośno Labby'emu, by się wynosił.

— Pocałuj mnie w nos, szarpistruno — odparł Labby.

Smoła nie puścił tego płazem. Zebrani podzielili się na grupki i gdy spór trwał w najlepsze, Róża wsunęła flet do kieszeni i uciekła.

Z dala od lampionów panował mrok, potrafiła jednak poruszać się po ciemku. Diament już czekał na nią w kryjówce. Przez ostatnie dwa lata zarośla zgęstniały. Między zielonymi pędami i długimi opadającymi liśćmi pozostało niewiele miejsca.

Z oddali znów dobiegła muzyka, zagłuszana przez wiatr i szmer płynącej rzeki.

— Czego chcesz, Diamencie?

— Porozmawiać.

Byli dla siebie tylko głosami i cieniami.

— Mów — rzekła.

— Chciałem prosić, żebyś ze mną odeszła — powiedział.

— Kiedy?

— Wtedy. Gdy się pokłóciliśmy. Powiedziałem wszystko nie tak. Myślałem… — Długa cisza. — Myślałem, że mógłbym uciec. Z tobą. Grać, śpiewać. Zarabiać na życie. Moglibyśmy odejść razem. Chciałem to powiedzieć.

— Ale nie powiedziałeś.

— Wiem. Mówiłem wszystko nie tak. Zrobiłem wszystko nie tak. Zdradziłem wszystko. Magię. Muzykę. I ciebie.

— Mną się nie przejmuj — odparła.

— Naprawdę?

— Niezbyt dobrze gram na flecie, ale wystarczy. W razie potrzeby to, czego mnie nauczyłeś, uzupełniam zaklęciem, a grupa jest naprawdę dobra. Labby też nie jest taki zły. Świetnie sobie radzę. Całkiem nieźle zarabiamy. Zimą mieszkam u matki i pomagam jej. U mnie wszystko dobrze. A u ciebie, Di?

— Wszystko źle.

Zaczęła coś mówić i umilkła.

— Byliśmy wtedy dziećmi — rzekł. — Teraz…

— Co się zmieniło?

— Źle wybrałem.

— Raz? — spytała. — Czy dwa razy?

— Dwa razy.

— Do trzech razy sztuka.

Długą chwilę oboje milczeli. Róża dostrzegała Diamenta w mroku jako niewyraźny cień.

— Jesteś wyższy niż wtedy — zauważyła. — Wciąż potrafisz przywoływać światło, Di? Chcę cię zobaczyć.

Pokręcił głową.

— Tylko ty to umiałeś, pamiętasz? I nigdy nie zdołałeś mnie nauczyć.

— Nie wiedziałem, co robię — mruknął. — Czasami się udawało, a czasem nie.

— A czarnoksiężnik w Południowym Porcie nie pokazał ci, jak to robić?

— Uczył mnie tylko imion.

— Czemu teraz tego nie robisz?

— Zrezygnowałem z magii, Czarna Różo. Musiałem albo oddać się jej bez reszty, albo odejść. Jeśli poświęcać się czemuś, to całym sercem.

— Nie rozumiem dlaczego — odparła. — Moja matka potrafi uleczyć gorączkę, pomóc przy porodzie i znaleźć zgubiony pierścionek. Może to nic w porównaniu z czynami czarnoksiężników i władców smoków, ale zawsze. I z niczego nie zrezygnowała. Moje przyjście na świat też jej nie przeszkodziło. Urodziła mnie, by dowiedzieć się, jak to się robi. Czy musiałam zrezygnować z zaklęć tylko dlatego, że nauczyłam się grać? Ja też potrafię uleczyć gorączkę. Czemu miałbyś rezygnować z jednego, żeby zająć się drugim?

— Mój ojciec… — zaczął Diament, urwał i zaśmiał się cicho. — Nie da się pogodzić tych *rzeczy*. Pieniędzy z muzyką.

— Ojca z córką czarownicy — dodała Czarna Róża. Znów umilkli. Liście wierzb poruszyły się lekko.

— Wrócisz do mnie? — spytał. — Odejdziesz ze mną? Zechcesz mnie poślubić?

— Nie w domu twojego ojca, Di.

— Gdzie tylko zechcesz. Uciekniemy.

— Ale nie możesz mnie mieć bez muzyki.

— Ani muzyki bez ciebie.

— Wrócę — odparła.

— Labby nie potrzebuje harfisty? Zawahała się, po czym wybuchnęła śmiechem.

— Lepiej, by potrzebował, jeśli chce mieć flecistkę.

— Nie ćwiczyłem od dnia wyjazdu, Czarna Różo, ale ciągle myślałem o muzyce. O tobie też…

Wyciągnęła do niego ręce. Uklękli naprzeciw siebie, wierzbowe liście muskały im włosy.

I zaczęli się całować, z początku nieśmiało.

***

W latach po odejściu Diamenta Złoty zarabiał lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Wszystkie umowy przynosiły zyski, zupełnie jakby szczęście na dobre zamieszkało pod jego dachem. Stał się niewiarygodnie bogaty. Lecz nie wybaczył synowi. Byłoby to szczęśliwe zakończenie, ale on nie dopuszczał do siebie podobnej myśli. Jak Diament mógł odejść bez słowa, w rocznicę nadania imienia, uciec z córką czarownicy, porzucając uczciwą pracę i zostać wędrownym grajkiem, który brzdąka na harfie, śpiewa i wyszczerza zęby dla paru groszy? Na samą myśl Złoty czuł wstyd, ból i gniew. Nie był szczęśliwy.

Tuly przez długi czas także była nieszczęśliwa, bo mogła widywać syna, tylko okłamując męża, co przychodziło jej z trudem. Płakała na myśl o tym, że Diament głoduje gdzieś, sypia na gołej ziemi. Zimne jesienne noce ją przerażały. Z czasem jednak coraz częściej słyszała, co ludzie mówili o jej synu — Diament o słodkim głosie, śpiewak z zachodniego Havnoru; Diament, który grał i śpiewał przed obliczem wielkich władców w Wieży Miecza — i słowa te ogrzały jej serce. A kiedyś, gdy Złoty wybrał się do Południowego Portu, Tuly i Splot wynajęły wózek z osłem i pojechały do Wschodniego Wzgórza, by posłuchać Diamenta śpiewającego “Pieśń o Utraconej Królowej". Róża siedziała obok nich, a mała Tuly bawiła się na kolanach babci. I choć nie było to szczęśliwe zakończenie, czuły wielką radość, a czegóż więcej można pragnąć w życiu?

KOŚCI ZIEMI

Znów padał deszcz i czarodziej z Re Albi czuł ogromną pokusę, by rzucić zaklęcie pogody, małe niewinne zaklęcie, które odegna chmury na drugą stronę gór. Bolały go wszystkie kości, pragnęły słońca, ciepła. Oczywiście mógł rzucić zaklęcie na ból, to jednak nie na długo by wystarczyło. Nie istniał lek, który mógłby mu ulżyć. Stare kości potrzebują słońca. Czarodziej stał bez ruchu w drzwiach swego domu pomiędzy ciemną izbą a deszczowym światem, powstrzymując się przed rzuceniem zaklęcia, zły na siebie, że się powstrzymuje i że musi się powstrzymywać.

Nigdy nie przeklinał — ludzie obdarzeni mocą nie klną, to niebezpieczne — odchrząknął jednak nisko, groźnie jak niedźwiedź. Chwilę później z górnych zboczy góry Gont dobiegł huk grzmotu, odbijając się echem z północy na południe i zamierając w zasnutym chmurami lesie.

Grzmot to dobry znak, pomyślał Wodorost. Wkrótce przestanie padać. Naciągnął kaptur i wyszedł na deszcz, by nakarmić kury.

Przeszukał dokładnie kurnik i *znalazł* trzy jajka. Czerwona Bucca siedziała w gnieździe; niedługo miały wykluć się kurczęta. Męczyły ją wszy, była nastroszona i wściekła. Wodorost wypowiedział kilka słów odganiających wszy. Przypomniał sobie, by oczyścić gniazdo, gdy tylko wylęgną się pisklaki, i wyszedł na podwórze. Brązowa i Szara Bucca, Nogawica, Jasna i Król przycupnęły pod osłoną dachu, wyrzekając cicho na deszcz.

Do południa ustanie, powiedział im czarodziej. Sypnął kurom ziarna i powędrował wolno do domu, niosąc w dłoni trzy ciepłe jajka. Jako dziecko uwielbiał chodzić po błocie. Pamiętał cudowne uczucie, gdy zimna maź przelewała mu się między palcami stóp. Wciąż lubił chodzić na bosaka, ale błoto już go nie cieszyło, było lepkie i nieprzyjemne. Nie znosił też schylać się, by oczyścić stopy przed wejściem do domu. Na starym klepisku nie miało to znaczenia, teraz jednak w jego domu była drewniana podłoga niczym u władcy, kupca bądź arcymaga, ponoć miała nie dopuszczać zimna i wilgoci do jego kości. Nie był to jego pomysł. Milczek przybył zeszłej wiosny z Portu Gont, by ułożyć podłogę w starym domu. Najpierw jednak posprzeczali się na ten temat, choć Wodorost powinien był już się nauczyć, że nie warto sprzeczać się z Milczkiem.

— Przez siedemdziesiąt pięć lat chodziłem po ziemi — oznajmił. — Jeszcze kilka mi nie zaszkodzi.

Milczek rzecz jasna nie odpowiedział, pozwalając, by czarodziej usłyszał własne słowa i w pełni dostrzegł ich głupotę.

— Klepisko łatwiej utrzymać w porządku — dodał Wodorost,

wiedząc już, że przegrał. Istotnie, dobrze ubitą glinianą podłogę wystarczyło od czasu do czasu zamieść i zrosić wodą, żeby związać kurz, jednakże słowa te i tak zabrzmiały niemądrze. — Kto ułoży deski? — spytał ciekawie.

Milczek skinął głową, co oznaczało, że zrobi to sam.

Chłopak był pierwszorzędnym rzemieślnikiem — cieślą, stolarzem, kamieniarzem, dacharzem. Zademonstrował wszystkie swe umiejętności, gdy mieszkał tu jako uczeń Wodorosta, nim stracił wprawę wśród bogaczy z Portu Gont. Zaprzężonym w woły wozem należącym do Staruszki przywiózł deski z tartaku Szóstki w Re Albi. Następnego dnia ułożył podłogę. Stary czarodziej w tym czasie zbierał zioła nad Jeziorem Moczarnym. Kiedy wrócił do domu, zobaczył podłogę lśniącą niczym ciemne jezioro.

— Będę musiał za każdym razem myć nogi — wymamrotał i ostrożnie wszedł do środka. Drewno było tak gładkie, że wydawało się niemal miękkie. — Jest jak jedwab. Nie zrobiłbyś tego w jeden dzień bez kilku zaklęć. Wiejska chata z podłogą godną pałacu. To dopiero będzie widok, gdy zimą rozpalę ogień. A może mam sobie sprawić dywan z czesanej wełny i złotej przędzy?

Milczek uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z siebie.

Zjawił się na progu Wodorosta kilka lat wcześniej. Nie, minęło już dwadzieścia lat, może nawet dwadzieścia pięć, kawał czasu. Był wtedy naprawdę chłopcem, długonogim niedorostkiem o niesfornej czuprynie i łagodnej twarzy. Stanowcze usta, jasne oczy.

— Czego chcesz? — spytał czarodziej, doskonale wiedząc, czego chce przybysz, czego wszyscy pragną. Odwrócił wzrok od owych jasnych oczu. Był dobrym nauczycielem, najlepszym na Goncie, o tak, ale nauczanie go zmęczyło, nie miał ochoty, by znów ktoś plątał mu się pod nogami. Wyczuwał niebezpieczeństwo.

— Uczyć się — szepnął chłopak.

— Popłyń na Roke — polecił mag. Chłopak miał na sobie buty i porządny skórzany kubrak; stać go było, by opłacić przeprawę do Szkoły. W ostateczności mógł na nią zapracować.

— Już tam byłem.

Wodorost zmierzył chłopaka uważnym spojrzeniem. Nie dostrzegł płaszcza ani laski.

— Nie udało się? Odesłali cię? Uciekłeś?

Chłopak za każdym razem kręcił głową. Zamknął oczy, zacisnął wargi. Wyraźnie cierpiał. Potem odetchnął głęboko i spojrzał czarodziejowi wprost w oczy.

— Moja moc pochodzi stąd, z Gontu — oznajmił głosem niewiele donośniejszym niż szept. — Mój mistrz to Enhemon.

Mag, którego prawdziwe imię brzmiało Enhemon, zamarł w bezruchu. Patrzył na chłopaka, zmuszając go do odwrócenia wzroku.

W milczeniu zaczął szukać jego imienia i ujrzał dwie *rzeczy:* świerkową szyszkę i runę Zamkniętych Ust. Szukając głębiej, usłyszał w umyśle słowo, nie wymówił go jednak.

— Zmęczyło mnie nauczanie i mówienie — rzekł. — Łaknę milczenia. Czy to ci wystarczy?

Chłopak przytaknął.

— Dla mnie zatem będziesz Milczkiem — powiedział mag. — Możesz spać w kącie pod zachodnim oknem. W drewutni znajdziesz stary siennik, przewietrz go i wytrzep, nie sprowadź z nim myszy.

To rzekłszy, odszedł w stronę Overfell, zły na chłopaka za to, że przyszedł do niego, i na siebie za to, że się zgodził. Nie była to jednak złość, która sprawiała, by serce zabiło mu mocniej. Szybko kroczył naprzód — wówczas jeszcze mógł chodzić szybko — czując, jak morski wiatr napiera na niego z lewej strony, a poranne promienie słońca migoczą na falach, za granicą cienia rzucanego przez olbrzymią górę. Wspomniał magów z Roke, mistrzów magicznych sztuk, powierników tajemnic i mocy.

Okazał się dla was za potężny, co? Dla mnie pewnie też, pomyślał z uśmiechem. Był spokojnym człowiekiem, lecz lubił smak ryzyka.

Przystanął, czując ziemię pod stopami. Jak zwykle wędrował boso. Gdy uczył się na Roke, nosił buty, potem jednak wrócił na Gont, do Re Albi, z laską czarnoksiężnika, i wyrzucił je. Stojąc bez ruchu, czuł pod stopami pył i skałę urwiska, i góry w dole, a także korzenie wyspy ukryte głęboko w mroku. W ciemnościach pod wodami wszystkie wyspy łączyły się, tworząc jedność. Tak brzmiały nauki jego mistrza, którego imię brzmiało Ard, i podobnie twierdzili nauczyciele na Roke. To jednak była jego wyspa, jego skały, pył, ziemia. Z nich wyrastała jego magia.

Moja moc pochodzi stąd, powiedział chłopak, jednakże prawda leżała głębiej. Być może, tego mógłby nauczyć go Wodorost — co kryje się głębiej niż moc. Właśnie tego nauczył się tutaj, na Goncie, zanim popłynął na Roke.

No i chłopak musi mieć laskę. Czemu Nemmerle pozwolił mu odejść z Roke bez laski, z pustymi rękami, jak uczniowi bądź wiedźmie? Podobna moc nie powinna wędrować nierozpoznana i nieposkromiona.

Mój mistrz nie miał laski, pomyślał Wodorost i w tej samej chwili zrozumiał: on chce ją dostać ode mnie. Dąb z Gontu z rąk czarodzieja z Gontu. Cóż, jeśli sobie na nią zasłuży, dostanie laskę. O ile będzie trzymał język za zębami. Zostawię mu też moje księgi wiedzy. Jeśli wysprząta kurnik, zrozumie Komentarze z Danemeru i będzie trzymał język za zębami.

Nowy uczeń wysprzątał kurnik, okopał motyką grządkę z fasolą, poznał znaczenie Komentarzy z Danemeru i Enladzkich Arkanów, i

trzymał język za zębami. Słuchał. Słuchał słów Wodorosta, a niekiedy jego myśli; robił to, czego życzył sobie Wodorost, a czasem czego mag nie wiedział nawet, że pragnie. Jego dar wykraczał dalece poza nauki Wodorosta. Miał rację przybywając do Re Albi i obaj o tym wiedzieli.

W owych czasach Wodorost rozmyślał często o ojcach i synach. Z własnym ojcem, czarnoksiężnikiem poszukiwaczem skarbów, pokłócił się o wybór mistrza. Ojciec wykrzyknął w gniewie, iż ktoś, komu Ard jest mistrzem, nie zasługuje na miano jego dziedzica. Całe życie pielęgnował gniew i do śmierci synowi nie wybaczył. Wodorost widywał młodych mężczyzn płaczących z radości po narodzinach pierworodnego. Widział, jak biedacy płacą wiedźmom roczne zarobki w zamian za obietnicę przyjścia na świat zdrowego chłopca, i jak bogacz dotyka twarzy przystrojonego w złoto malca, szepcząc z podziwem: “Moja nieśmiertelność". Rozumiał, że jeśli ojciec bije i poniża synów, darzy ich nienawiścią i pogardą, oznacza to, że zobaczył w nich własną śmierć. Widział też nienawiść w oczach synów, groźbę, bezlitosną wzgardę. I pojmował, czemu nigdy nie próbował pogodzić się z ojcem. Patrzył kiedyś, jak ojciec i syn pracują razem od świtu do zmierzchu. Starzec prowadził ślepego wołu, a syn, mężczyzna w średnim wieku, kierował żelaznym pługiem. Nie odzywali się nawet słowem, lecz gdy ruszyli do domu, starzec na moment położył dłoń na ramieniu syna i w owym geście Wodorost ujrzał coś, czego mu w życiu brakowało. Przypominał to sobie, patrząc w zimowe wieczory na siedzącego po drugiej stronie paleniska chłopca. Ciemna twarz pochylała się nad księgą bądź cerowaną koszulą. Spuszczone oczy, zaciśnięte wargi, nasłuchujący duch.

— Raz w życiu, jeśli dopisze mu szczęście, mag odnajduje kogoś, z kim może rozmawiać — powiedział Nemmerle noc czy dwie przed tym, nim Wodorost opuścił Roke, rok czy dwa nim sam Nemmerle został obrany Arcymagiem. Był wówczas Mistrzem Wzorów i najłagodniejszym nauczycielem Wodorosta w Szkole. — Myślę, że gdybyś zechciał zostać, Enhemonie, moglibyśmy ze sobą rozmawiać.

Dłuższą chwilę Wodorost nie był w stanie odpowiedzieć. W końcu jąkając się, dręczony wyrzutami sumienia z powodu swej niewdzięczności, nie wierząc we własny upór, rzekł:

— Mistrzu, zostałbym, ale moje miejsce jest na Goncie. Chciałbym, by było inaczej, bym mógł zostać z tobą…

— To rzadki dar wiedzieć, gdzie cię potrzebują, nim odwiedzisz wszystkie miejsca, których odwiedzić nie musisz. Od czasu do czasu przyślij mi ucznia. Roke potrzebuje magów z Gontu. Mam wrażenie, że nie dostrzegamy tu pewnych rzeczy, rzeczy wartych poznania…

Wodorost posłał do Szkoły kilku uczniów, trzech, może czterech miłych chłopców obdarzonych darem czynienia tego i owego. Ten jednak, na którego czekał Nemmerle, przybył do niego z własnej woli.

Wodorost nie wiedział, co myśleli o nim na Roke. Milczek mu tego nie zdradził. W ciągu dwóch, trzech lat nauczył się tyle, ile inni w sześć. Wielu w ogóle się to nie udawało, dla niego były to jednak dopiero podstawy.

— Czemu nie przybyłeś do mnie od razu, by potem na Roke pogłębiać wiedzę? — spytał kiedyś Wodorost.

— Nie chciałem marnować twojego czasu.

— Czy Nemmerle wiedział, że wyruszasz do mnie? Milczek potrząsnął głową.

— Gdybyś zechciał zdradzić mu swoje zamiary, mógłby przesłać mi wiadomość.

Chłopak spojrzał na niego poruszony.

— Był twoim przyjacielem? Wodorost milczał przez chwilę.

— Był moim mistrzem — rzekł w końcu. — Może stałby się przyjacielem, gdybym został na Roke. Czy magowie mają przyjaciół? Niektórzy twierdziliby, że nie, podobnie jak nie mają żon i synów. Kiedyś Nemmerle powiedział mi, że w naszym fachu można mówić o szczęściu, jeśli znajdzie się kogoś, z kim można rozmawiać. Zapamiętaj to sobie. Jeżeli ci się poszczęści, któregoś dnia będziesz musiał otworzyć usta.

Milczek skłonił rozczochraną, mądrą głowę.

— Jeśli się nie zrosną — dodał Wodorost.

— Jeżeli mnie poprosisz, będę mówił — rzekł młodzieniec tak szczerze, z taką chęcią zaprzeczenia swej własnej naturze wedle życzenia maga, że Wodorost musiał się roześmiać.

— Prosiłem, abyś tego nie robił. Nie o moich pragnieniach mówię. Ja sam gadam za dwóch. Nieważne. Gdy nadejdzie czas, będziesz wiedział, co powiedzieć. Na tym właśnie polega sztuka. Co powiedzieć i kiedy. Reszta jest milczeniem.

Uczeń przez trzy lata spał na sienniku pod małym zachodnim okienkiem w domu Wodorosta. Poznawał sztukę magii, karmił kury, doił krowę. Raz jeden zasugerował, by Wodorost zaczął hodować kozy. Nie odzywał się cały tydzień, zimny, mokry, jesienny tydzień. Wreszcie rzekł:

— Mógłbyś sprawić sobie kilka kóz.

Wodorost wpatrywał się w leżącą na stole otwartą księgę wiedzy. Usiłował właśnie odtworzyć jedno z Zaklęć Acastańskich, pozbawionych mocy *i* uszkodzonych przez Emanacje Fundauriańskie wiele wieków wcześniej. Właśnie zaczynał wyczuwać brakujące słowo, które mogło zapełnić jedną z luk. Już prawie je miał, gdy…

— Mógłbyś sprawić sobie kilka kóz — powiedział Milczek.

Wodorost uważał samego siebie za nieprzebierającego w słowach, niecierpliwego człowieka, szybko wpadającego w złość. Za młodu konieczność unikania przekleństw niezmiernie mu ciążyła. Przez

trzydzieści lat z zaciśniętymi zębami znosił głupotę uczniów, klientów, kur i krów. Uczniowie i klienci lękali się jego języka, krowy i kury nie zwracały uwagi na wybuchy maga. Milczek jednak nigdy wcześniej go nie rozgniewał.

Zapadła długa cisza.

— Po co?

Milczek najwyraźniej nie dostrzegł chwili przerwy ani niezwykle łagodnego tonu w głosie mistrza.

— Dla mleka, sera, mięsa, towarzystwa — odparł.

— Hodowałeś kiedyś kozy? — spytał Wodorost tak samo łagodnie, uprzejmie.

Milczek potrząsnął głową.

Pochodził z miasta, przyszedł na świat w Porcie Gont. Nie opowiadał o sobie, lecz Wodorost popytał po ludziach. Jego ojciec, pomocnik w porcie, zginął w wielkim trzęsieniu ziemi, gdy Milczek miał siedem, osiem lat. Matka prowadziła kuchnię w nadmorskiej tawernie. W wieku dwunastu lat chłopak wpadł w kłopoty, prawdopodobnie z powodu magii, i matka zdołała oddać go do terminu u Elassena, otoczonego szacunkiem czarnoksiężnika w Ujściu. Tam chłopak otrzymał prawdziwe imię, nauczył się ciesielki i pracy na roli — i niewiele ponad to. Po trzech latach Elassen wykazał się gestem i opłacił mu podróż na Roke. To wszystko, co Wodorost wiedział o chłopaku.

— Nie znoszę koziego sera — oznajmił.

Milczek tylko skinął głową. Nigdy z magiem nie dyskutował.

W ciągu następnych lat Wodorost od czasu do czasu przypominał sobie, jak to nie wpadł w złość, gdy Milczek poradził, żeby sprawił sobie kozy. Za każdym razem czuł cichą satysfakcję.

Po kilku następnych dniach spędzonych na próbach odkrycia brakującego słowa polecił Milczkowi, by zaczął studiować Zaklęcia Acastańskie. Po długiej wytężonej pracy w końcu odnieśli sukces.

— Zupełnie jakbyśmy orali pole pługiem zaprzężonym w ślepego wołu — zauważył Wodorost. Niedługo potem wręczył Milczkowi laskę, którą dla niego zrobił z gontyjskiego dębu. Władca Portu Gont kolejny raz próbował zwabić Wodorosta, nalegając, że trzeba się zająć niecierpiącymi zwłoki sprawami w mieście. Wodorost posłał Milczka, który już tam został.

Teraz Wodorost stał na progu swego domu z trzema jajkami w dłoni. Po plecach spływały mu zimne strużki deszczu. Od jak dawna tak stał i czemu myślał o błocie, o podłodze, o Milczku? Czy wracał ze spaceru ścieżką nad Overfell? Nie, to było wiele lat temu, długich lat w słońcu. Teraz padał deszcz. Zatem nakarmił kury i przyszedł do domu z trzema jajkami; wciąż ciepłymi, gładkimi, brązowymi, letnimi jajkami. W głowie ciągle dźwięczał mu huk grzmotu. Jego wibracje

wstrząsały kośćmi, stopami. Grzmot.

Nie. Jakiś czas temu rzeczywiście usłyszał huk grzmotu, ale nie teraz. Czuł już kiedyś coś podobnego, to dziwne niepokojące uczucie, którego teraz nie poznał. Wówczas trzęsienie ziemi zatopiło pół mili wybrzeża pod Essary i zalało doki w Porcie Gont.

Zszedł z progu na ziemię, by poczuć ją nerwami stóp, lecz błoto stłumiło, zagłuszyło wszelkie przesłanie, jakie dla niego miała. Położył jajka na progu, usiadł obok, umył nogi deszczówką z garnka przy stopniu, wytarł ścierką przewieszoną przez ucho garnka, zebrał jajka, powoli dźwignął się z miejsca i wszedł do domu.

Natychmiast spojrzał na laskę opartą o ścianę w kącie za drzwiami. Schował jajka do spiżarki, zjadł pospiesznie jabłko — był głodny — i wziął ją do ręki. Zrobiono ją z drewna cisowego i podkuto miedzią. Miejsce, w którym ją chwytał, było gładkie niczym jedwab. Dał mu ją Nemmerle.

— Stój! — polecił lasce w jej własnym języku i wypuścił ją. Stała bez ruchu, jakby wetknął ją w otwór. — Do korzeni! — rzekł niecierpliwie w Mowie Tworzenia. — Do korzeni!

Patrzył na laskę stojącą pośrodku lśniącej podłogi. Po chwili ujrzał, jak drży lekko, trzęsie się, dygocze.

— Aha — przytaknął stary czarodziej. — Co mam robić? — spytał głośno po chwili.

Laska zakołysała się, zamarła, znów zadrżała.

— Wystarczy, moja droga. — Wodorost sięgnął po nią. — Chodź. Nic dziwnego, że myślałem o Milczku. Powinienem po niego posłać… Wezwać… Nie. Ard… jak to brzmiało? *Znajdź* środek, dotrzyj do środka. Takie pytanie winieniem zadać. Oto co muszę zrobić…

Mamrocząc do siebie, zdjął ciężki płaszcz i na niewielkim ogniu nastawił wodę. Zastanawiał się, czy zawsze do siebie mówił, czy robił to cały czas, gdy mieszkał z nim Milczek. Nie, nabrał tego zwyczaju, kiedy Milczek odszedł, uznał w zakamarku umysłu, w którym wciąż kryły się zwyczajne myśli, podczas gdy reszta szykowała się na grozę i zniszczenie.

Ugotował na twardo trzy nowe jajka i jedno już wcześniej leżące w spiżarce. Wsadził je do sakwy wraz z czterema jabłkami i pęcherzem żywicznego wina na wypadek, gdyby nie wrócił na noc. Potem ostrożnie, bo reumatyzm wciąż dawał mu się we znaki, narzucił na plecy płaszcz, ujął w dłoń laskę, kazał ogniowi zgasnąć i wyszedł.

Nie hodował już krowy. Przystanął, z namysłem patrząc na podwórze. Ostatnio w sadzie zauważył ślady lisa. Ale gdyby coś zatrzymało go poza domem, kury umarłyby z głodu. Będą musiały zaryzykować, jak wszystko inne na tym świecie. Uchylił lekko furtkę. Choć deszcz przemienił się w mglistą mżawkę, ptaki wciąż kuliły się pod dachem kurnika, wyraźnie niezadowolone. Tego ranka Król nie

zapiał ani razu.

— Macie mi coś do powiedzenia? — spytał Wodorost. Brązowa Bucca, jego ulubienica, otrząsnęła się i kilka razy wymówiła swe imię. Pozostałe milczały.

— Uważajcie na siebie. Przy pełni księżyca kręcił się tu lis — ostrzegł czarodziej i ruszył w drogę.

W czasie wędrówki rozmyślał, snuł wspomnienia. Przypominał sobie wszystko, o czym raz jeden bardzo dawno temu słyszał od swego mistrza. Były to dziwne sprawy, tak dziwne, że nigdy się nie dowiedział, czy naprawdę można nazwać je magią, czy też to zwykłe sztuczki czarownic, jak twierdzili na Roke. W Szkole nigdy o nich nie słyszał ani nie mówił — może lękając się, że mistrzowie *zaczną* nim gardzić, gdyż poważnie traktuje podobne kwestie, a może wiedząc, że i tak ich nie zrozumieją, bo to sekrety Gontu, prawdy Gontu. A jednak Ard… Księgi, które przypadły jego mistrzowi, pochodzące od wielkiego maga Ennasa z Gontu, też o nich nie wspominały. O takich sprawach tylko się mówiło. I to w domu.

— Idź nad Czarny Staw za pastwisko Semere. — Tak brzmiały słowa mistrza. — Stamtąd możesz odczytać Górę. Możesz odnaleźć środek. Sprawdzić, którędy można wejść.

— Wejść? — wyszeptał Wodorost, wówczas jeszcze chłopiec.

— Co mógłbyś zrobić z zewnątrz?

Wodorost milczał długą chwilę. W końcu spytał:

— Jak?

— Tak.

Długie ręce uniosły się w szerokim geście inwokacji, którą Wodorost miał rozpoznać później jako jedno z wielkich zaklęć przemiany. Słyszał, że Ard wymawia słowa zaklęcia — błędnie, jak każdy nauczyciel magii; w przeciwnym razie zaklęcie by zadziałało. Wodorost umiał tak słuchać, by usłyszeć prawdziwe słowa i je zapamiętać. Pod koniec w milczeniu powtórzył w myślach zaklęcie, szkicując w pamięci dziwne, niezręczne gesty stanowiące jego część. Nagle znieruchomiał.

— Tego czaru nie da się zdjąć — powiedział ze zdziwieniem. Skinienie głowy.

— Jest nieodwracalny.

Wodorost nie słyszał o żadnej przemianie, która nie byłaby odwracalna, o żadnym zaklęciu, którego nie da się odwołać, oprócz Słowa Uwolnienia, a je wymawia się tylko raz.

— Ale kiedy…?

— W razie potrzeby — brzmiała odpowiedź.

Wodorost wiedział, że nie ma po co pytać, Ard i tak niczego nie wyjaśni. Potrzeba użycia podobnego zaklęcia z pewnością nie zdarzała się często. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że będzie musiał

kiedyś z niego skorzystać. Pozwolił, by straszliwe zaklęcie zatonęło w głębinach jego umysłu i ukryło się pod warstwą tysiąca użytecznych, pięknych i mądrych czarów i uroków, wszystkich praw i mądrości Roke, wiedzy zawartej w księgach, w dziedzictwie jego mistrza — zaklęcie prymitywne, potworne, bezużyteczne. Sześćdziesiąt lat spoczywało w mroku umysłu Wodorosta niczym kamień węgielny starego, zapomnianego domu, ukryty w piwnicy dworu pełnego światła, skarbów i dzieci.

Deszcz przestał padać, lecz mgła nadal spowijała szczyt góry, a strzępy chmur unosiły się między drzewami na zboczu. Wodorost nie był niestrudzonym piechurem jak Milczek, który gdyby tylko mógł, całe życie by spędził na wędrówkach po lasach góry Gont. Urodził się jednak w Re Albi i znał tutejsze drogi i ścieżki niczym własną kieszeń. Ruszył na skróty obok studni Rissi i przed południem znalazł się na pastwisku Semere, płaskiej hali. Milę dalej w dole dostrzegł oświetlone promieniami słońca budynki przycupnięte w objęciach wzgórza. Po jego drugiej strome stadko owiec wędrowało powoli niczym cień białej chmury. Port Gont i jego zatoka kryły się za pasmem stromych kanciastych wzgórz stojących za miastem.

Wodorost jakiś czas chodził tu i tam po pastwisku. W końcu znalazł coś, co uznał za Czarny Staw. Było to małe bajorko, zamulone i zarośnięte szuwarami. Wiodła do niego niewyraźna, grząska ścieżka, na której dostrzegł tylko ślady kozich racic. Woda była ciemna, choć na niebie lśniło jasne słońce, a staw leżał daleko ponad torfowiskami. Wodorost podążył tropem kóz. Westchnął gniewnie, gdy się poślizgnął i musiał szarpnąć się gwałtownie, by nie upaść. Na skraju wody zastygł bez ruchu. Pochylił się, żeby rozetrzeć kostkę u nogi. Nasłuchiwał.

Wokół panowała absolutna cisza.

Nie słyszał wiatru, ptasich głosów, odległych ryków, muczenia, krzyków ludzkich. Zupełnie jakby cała wyspa umilkła. Nie bzyczała ani jedna mucha.

Spojrzał w ciemną wodę. Nie odbijała niczego.

Z wahaniem ruszył naprzód, bosy, z nogami odsłoniętymi po uda. Godzinę wcześniej, gdy zaświeciło słońce, złożył płaszcz i schował do torby. Rozgarniał szuwary. Miękkie błoto pełne splątanych korzeni przytrzymywało mu stopy. Wędrował powoli, nie czyniąc żadnego hałasu. Kręgi na wodzie wzbudzone jego krokami były małe, niewyraźne. Długo szedł przez płyciznę. Wreszcie jego ostrożna stopa nie wyczuła dna. Przystanął.

Woda zadrżała. Najpierw poczuł to na udach: falowanie, niczym łaskotanie zwierzęcego futra; potem ujrzał: powierzchnia stawu się poruszyła. Nie były to kręgi, które sam wzbudził — zdążyły już zniknąć — lecz zmarszczki, najpierw słabe, potem wyraźniejsze.

Dreszcz i znowu, jeszcze raz, jeszcze.

— Gdzie? — szepnął, a potem wymówił to słowo głośno w języku, który rozumieją wszystkie rzeczy niemające własnej mowy.

Cisza. Nagle z czarnej rozedrganej wody wyskoczyła białoszara ryba długości jego dłoni. W skoku zawołała cicho, ale wyraźnie, w tej samej mowie:

— Iaved!

Stary czarnoksiężnik stał bez ruchu. Przywołał w pamięci wszystkie znane sobie imiona z Gontu. Po chwili ujrzał w myślach miejsce zwane Iaved. Właśnie tam rozchodziły się pasma skalne niedaleko Portu Gont. Było jak zawias, spinający oba przylądki górujące nad miastem. Tutaj zaczynał się uskok. Trzęsienie ziemi w tym miejscu mogło zniszczyć miasto, wywołać lawiny i wielkie fale, zatrzasnąć okalające zatokę urwiska niczym dwie klaszczące dłonie. Wodorost zadrżał. Wstrząsnął nim dreszcz niczym wodą w stawie.

Odwrócił się i pospiesznie, nieostrożnie ruszył do brzegu, nie dbając, gdzie stawia stopy i czy zakłóci ciszę pluskaniem, głośnym oddechem. Jak najszybciej przebył wiodącą przez sitowie ścieżkę. W końcu znalazł się na suchym lądzie. Pod stopami czuł szorstką trawę, w uszach dźwięczało mu brzęczenie komarów i świerszczy. Wówczas usiadł ciężko na ziemi, bo trzęsły mu się nogi.

— Nic z tego — rzekł do siebie po hardycku i dodał: — Nie dam rady. Nie dam rady zrobić tego sam.

Był tak zdenerwowany, że gdy postanowił wreszcie wezwać Milczka, nie potrafił przypomnieć sobie początku zaklęcia, które znał od sześćdziesięciu lat. Kiedy wydało mu się, że już je ma, zaczął wygłaszać zaklęcie przywołania, które — nim jeszcze uświadomił sobie, co robi — natychmiast poczęło działać. Musiał przerwać i ostrożnie cofnąć słowo po słowie.

Garścią trawy wytarł stopy i nogi pokryte śliskim mułem. Błoto nie wyschło jeszcze; rozmazał je tylko po skórze.

— Nienawidzę błota — szepnął. Zacisnął szczęki i zaniechał prób oczyszczenia nóg. — Ziemia, ziemia — rzekł łagodnie, klepiąc grunt, na którym siedział. Potem zaś bardzo ostrożnie i powoli wygłosił zaklęcie wezwania.

***

Czarnoksiężnik Ogion zatrzymał się na ruchliwej ulicy wiodącej do tłocznej przystani Portu Gont. Towarzyszący mu kapitan statku przeszedł z rozpędu jeszcze kilka kroków. Gdy się obrócił, ujrzał, jak

Ogion przemawia w powietrze.

— Oczywiście, że przybędę, mistrzu — powiedział mag, a potem, po chwili: — Jak szybko?

Po kolejnej długiej chwili rzekł w przestrzeń coś w języku, którego kapitan nie rozumiał, i uczynił gest spowijający na moment jego ciało w mrok.

— Kapitanie — oznajmił — przykro mi, lecz zaczarowanie twoich żagli musi poczekać. Nadchodzi trzęsienie ziemi. Muszę ostrzec miasto. Zechcesz powiadomić wszystkich w porcie? Niech każdy statek wypłynie na otwarte morze, poza Zbrojne Urwiska.

Odwrócił się i pobiegł ulicą — wysoki, silny mężczyzna o rozczochranych siwiejących włosach. Pędził rączo jak jeleń.

***

Port Gont leży w sercu długiej wąskiej zatoki między stromymi skałami. Z morza wpływa się do niej pomiędzy dwoma wielkimi przylądkami, Bramami Portu, Zbrojnymi Urwiskami, które dzieli odległość zaledwie stu stóp. Przylądki bronią Portu Gont przed piratami, lecz tworzą też niebezpieczeństwo. Długa zatoka to przedłużenie uskoku w ziemi, a szczęki, które raz się rozwarły, znów mogą się zamknąć.

Ogion uczynił już wszystko, żeby ostrzec miasto, i dopilnował, by strażnicy miejscy i portowi doglądali ruchu, nie pozwalając, aby nieliczne wiodące z miasta drogi zablokowała paniczna ucieczka zdesperowanych ludzi. Teraz zamknął się w komnacie wieży sygnałowej, przekręcił klucz, bo wszyscy jednocześnie domagali się jego uwagi, i wysłał swą postać nad Czarny Staw, za pastwisko Semere, wysoko na zbocze góry.

Jego stary mistrz siedział na trawie obok stawu. Jadł jabłko. Na zaschniętym błocie pokrywającym ziemię wokół jego nóg bieliły się skorupki jajka. Gdy uniósł głowę i ujrzał postać Ogiona, uśmiechnął się szeroko, słodko. Wyglądał bardzo staro. Nigdy nie wydawał się taki stary. Ogion nie widział go od ponad roku, był zbyt zajęty; zawsze miał dużo pracy w porcie, musiał załatwić mnóstwo spraw władców i zwykłych ludzi. Brakło mu czasu, by przechadzać się po lesie na zboczu góry i posiedzieć z Enhemonem w małym domku w Re Albi, słuchając i milcząc. Enhemon był stary — zbliżał się do osiemdziesiątki — i przerażony. Uśmiechnął się radośnie na widok Ogiona, jednak w uśmiechu tym krył się lęk.

— Chyba wiem, co musimy zrobić — oznajmił bez żadnych

wstępów. — Spróbujemy podtrzymać uskok, ty u Bram, a ja po drugiej stronie, w Górze. Będziemy pracować razem; może nam się uda. Czuję, jak napięcie narasta, a ty?

Ogion potrząsnął głową. Pozwolił swej postaci usiąść na trawie obok Enhemona. Pod zjawą nie ugięło się nawet źdźbło trawy.

— Zdołałem tylko wywołać panikę w mieście — rzekł — i wyprawić statki z zatoki. Co czujesz? Jak to wyczuwasz?

Były to pytania techniczne jednego maga do drugiego. Enhemon zawahał się lekko.

— To Ard. Nauczyłem się… — powiedział i znów umilkł. Nigdy nie opowiadał Ogionowi o swym pierwszym mistrzu, czarodzieju nieznanym nawet na Goncie, okrytym niesławą. Z postacią Arda wiązała się jakaś tajemnica, może hańba. Choć gadatliwy jak na czarodzieja, w pewnych sprawach Enhemon milczał jak głaz. Ogion, który szanował milczenie nauczyciela, nigdy nie pytał go o mistrza.

— To nie jest magia z Roke — oznajmił starzec. Jego głos brzmiał sucho, nieco sztucznie. — Nie narusza jednak równowagi. To nic śliskiego. — Słowem tym zawsze określał wszelkie złe czyny, zaklęcia rzucane dla zysku, klątwy, czarną magię: śliskie sprawy. Po pewnym czasie, wyraźnie szukając odpowiednich słów, dodał: — Ziemia, skały. To brudna magia. Stara, bardzo stara. Równie stara jak wyspa Gont.

— Stare Moce — mruknął Ogion. Enhemon przytaknął.

— Czy zdoła zapanować nad ziemią?

— Raczej się z nią dogadać. — Enhemon zagrzebał w piasku ogryzek jabłka i większe fragmenty skorupek. Starannie uklepał ziemię. — Oczywiście znam słowa, ale będę musiał na bieżąco uczyć się, co robić. W tym kłopot z wielkimi zaklęciami, co? Uczysz się, co masz robić, kiedy już to robisz. Nie da się poćwiczyć. O, proszę, czujesz?

Ogion pokręcił głową.

— Napięcie. — Enhemon spoglądał gdzieś w głąb siebie. Mimowolnie poklepywał ziemię niczym pasterz uspokajający spłoszoną krowę. — Już niedługo. Czy zdołasz utrzymać Bramy otwarte?

— Powiedz mi, co zrobić.

Ale Enhemon potrząsnął tylko głową.

— Nie, nie mamy czasu. To nie dla ciebie.

Sprawiał wrażenie zdenerwowanego tym, co wyczuwał w ziemi i w powietrzu. Poprzez niego Ogion poczuł narastające, nieznośne napięcie. Po chwili jednak starzec odprężył się nieco, a nawet uśmiechnął.

— Bardzo stare sprawy. Żałuję, że tak mało się nad nimi zastanawiałem, że ci ich nie przekazałem, ale wydawały się takie prymitywne, brutalne… Nie powiedziała, gdzie się tego nauczyła.

Oczywiście tutaj… Istnieją przecież różne rodzaje wiedzy.

— Ona?

— Ard. Mój mistrz. — Enhemon uniósł twarz nieodgadnioną jak maska. Czyżby w jego wzroku kryła się przebiegłość? — Nie wiedziałeś? Rzeczywiście, chyba nigdy o tym nie wspominałem. W sumie co za różnica? Żaden z nas, czarodziejów, i tak nie ma płci. Liczy się tylko, w czyim domu zamieszkamy. Możliwe, że zapomnieliśmy o wielu rzeczach wartych poznania, właśnie takich… O, proszę! Jest znowu…

Jego nagłe napięcie i bezruch, wykrzywiona twarz i skierowane do wewnątrz spojrzenie przypominały zachowanie rodzącej, która czuje skurcz macicy, pomyślał Ogion.

— Co masz na myśli, mówiąc “w Górze"? Skurcz minął. Enhemon odpowiedział spokojnie:

— Wewnątrz Góry. W Iaved. — Wskazał widoczne w dole skaliste wzgórza. — Wejdę do środka, spróbuję podtrzymać uskok. Nie wątpię, że wkrótce dowiem się, jak to zrobić. Powinieneś już wracać do siebie. Napięcie rośnie.

Znów umilkł, jakby zaatakowany gwałtownym bólem. Skulił się w sobie, z trudem wstał z ziemi. Ogion bez zastanowienia wyciągnął rękę, by mu pomóc.

— Nic z tego — stary czarodziej uśmiechnął się szeroko. — Jesteś tylko wiatrem, światłem słońca. A teraz ja stanę się ziemią i kamieniem. Czas ci w drogę. Żegnaj, Aihalu. Choć raz rozewrzyj szczęki, dobrze?

Ogion posłusznie wrócił do dusznej, zawieszonej gobelinami komnaty w Porcie Gont. Dopiero gdy podszedł do okna i ujrzał widoczne w dole zamykające zatokę urwiska, niczym szczęki gotowe się zacisnąć, zrozumiał żart starca.

— Tak też uczynię — powiedział i wziął się do pracy.

***

— Oto co muszę zrobić — oznajmił stary czarodziej, wciąż przemawiając do nieobecnego Milczka, bo czuł się z tym lepiej — Muszę wejść w głąb Góry, do samego środka, ale nie tak jak czarodziej poszukiwacz, nie prześlizgując się pomiędzy, patrząc, kosztując. Głębiej. Aż do końca. Nie do żył, lecz do kości O tak.

Stojąc samotnie na pastwisku w blasku słońca, Enhemon szeroko rozłożył ramiona w geście inwokacji rozpoczynającym wszystkie wielkie zaklęcia i przemówił.

Kiedy wypowiedział słowa, których nauczyła go Ard, nic się nie stało; Ard, jego mistrz, czarownica o ostrym języku i długich chudych rękach, wówczas wymówiła je błędnie, teraz zabrzmiały właściwie. Nic się nie stało. Miał jeszcze czas, by pożałować rozstania ze światłem i nadmorskim wiatrem, i by zwątpić w moc zaklęcia, we własne siły. A potem ziemia się uniosła i otoczyła go — sucha, ciepła, ciemna.

Wiedział, że powinien się spieszyć, że kości ziemi nękane bólem pragną się poruszyć i że musi stać się nimi, by nimi pokierować. Nie mógł jednak nic zrobić. Czuł oszołomienie towarzyszące przemianie. W swoim życiu bywał już lisem, bykiem i ważką. Wiedział, jak to jest, kiedy się zmienia postać. To jednak było coś zupełnie innego. Powoli się rozrastał. Rosnę, pomyślał.

Sięgnął ku Iaved, ku bólowi, cierpieniu. Zbliżając się, poczuł, jak ogarnia go fala ogromnej siły nadpływająca z zachodu. Zupełnie jakby Milczek ujął go za rękę. Dzięki temu mógł posłać mu własną siłę, siłę Góry. Nie powiedziałem, że już nie wrócę, pomyślał. Były to jego ostatnie hardyckie słowa, ostatni żal, bo teraz znalazł się już pośród kości góry. Poznał żyły ognia i bicie olbrzymiego serca. Wiedział, co ma robić. Przemówił w języku nieznanym człowiekowi.

— Cicho. Spokojnie. Już dobrze. No, dalej. Tylko spokojnie.

I stał się spokojny, nieruchomy, skała w skale, ziemia w ziemi, w ognistym mroku góry.

***

Ludzie widzieli jedynie, jak ich mag Ogion stoi samotnie na dachu wieży sygnałowej. Ulice w dole unosiły się i opadały niczym morskie fale. Bruk wyskakiwał z ziemi. Ściany z glinianych cegieł rozpadały się w pył. Zbrojne Urwiska z jękiem zbliżyły się ku sobie. A wtedy Ogion wyciągnął przed siebie ręce, rozchylił je powoli i przylądki rozsunęły się wraz z nimi, po czym stanęły bez ruchu. Miasto zadrżało i znieruchomiało. To Ogion powstrzymał trzęsienie ziemi. Widzieli to. Widzieli na własne oczy.

— Pomagał mi mój mistrz, a jemu jego mistrz — mówił Ogion, gdy sławili jego imię. — Mogłem utrzymać Bramy otwarte, bo on zatrzymał Górę.

Oni jednak wychwalali jego skromność i nie słuchali. Umiejętność słuchania to rzadki dar. Ludzie potrzebują bohaterów.

Gdy w mieście znów zapanował porządek, statki wróciły do przystani, a mury zostały odbudowane, Ogion umknął przed tłumem i

ruszył na wzgórza nad Portem Gont. Znalazł cichą małą kotlinkę, zwaną Doliną Krawca, której prawdziwe imię w Mowie Tworzenia brzmiało Iaved, tak jak prawdziwe imię Ogiona brzmiało Aihal. Chodził po niej cały dzień, jakby czegoś szukał. Wieczorem położył się na ziemi i zaczął do niej mówić.

— Powinieneś był mi powiedzieć. Mógłbym się chociaż pożegnać…

Zapłakał; jego łzy padły na suchą ziemię pomiędzy źdźbłami trawy, pozostawiając maleńkie krople błota, lepkie plamki wilgoci. Zasnął tam, na ziemi. O brzasku wstał i ruszył zboczem w stronę Re Albi. Nie wszedł do wioski, lecz minął ją i dotarł do dwuizbowej chaty przycupniętej samotnie na północy przy Overfell. Drzwi stały otworem.

Ostatnie strąki fasoli już dojrzały i wisiały spęczniałe na pędach. Trzy kury gdakały, drepcząc po zakurzonym podwórku — czerwona, brązowa i biała. Szara wysiadywała jajka w kurniku. Nie dostrzegł koguta, którego Enhemon nazwał Królem. Król umarł, pomyślał Ogion. Może właśnie w tej chwili wykluwa się kurczę, które zajmie jego miejsce. Wydało mu się, że z małego sadu za domem dobiega go woń lisa.

Zamiótł kurz i liście, które wpadły przez otwarte drzwi i zasłały drewnianą podłogę. Wyniósł na słońce siennik i kołdrę Enhemona› by je przewietrzyć. Trochę tu zostanę, pomyślał, to dobre miejsce. A po chwili dodał w myślach: Może sprawię sobie kilka kóz.

HISTORIA Z GÓRSKICH MOCZARÓW

Wyspa Semel leży na północny zachód od Havnoru, po drugiej stronie Morza Pelnijskiego, na południowy zachód od Enladów. Choć to jedna z wielkich wysp Archipelagu Ziemiomorza, nie pochodzi z niej zbyt wiele opowieści. Enlad ma własną wspaniałą historię, Havnor bogactwa, Paln złą sławę, a Semel znana jest jedynie z bydła i owiec oraz górującego nad lasami i miasteczkami wielkiego, milczącego wulkanu Andanden.

Na południe od Andandenu rozciągają się moczary. Gdy wulkan przebudził się po raz ostatni, opadło na tę krainę sto stóp popiołów. Rzeki i strumienie przeciskały się przez grubą warstwę pyłu, rozlewały się coraz szerzej i szerzej, i utworzyły wielkie, ponure mokradła rozciągające się aż po horyzont. Niewiele tam drzew, niewielu ludzi. Na żyznych popiołach rośnie soczysta zielona trawa. Tamtejsi mieszkańcy hodują krowy, które sprzedają ludnym osadom z południowego wybrzeża. Krowy pasą się swobodnie na równinie, gdzie rzeki służą za ogrodzenia.

Jak zawsze w górach, Andanden włada tutejszą pogodą. Gromadzi wokół siebie chmury. Lato na moczarach jest krótkie, zima długa.

We wczesnym mroku zimowego dnia na wietrznych rozstajach pojawił się podróżny. Żadna z dróg nie wyglądała obiecująco. Były to zwykłe krowie ścieżki wśród sitowia. Wędrowiec rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś znaku.

Schodząc po zboczu góry, dostrzegł rozrzucone wśród mokradeł domy. Zdawało mu się, że zmierza w stronę wioski. Gdzie jednak musiał źle skręcić. Wysokie ściany sitowia napierały na ścieżki. Jeśli nawet gdzieś w pobliżu świeciło jakieś światło, me mógł go dostrzec. Woda szumiała mu wesoło u stop. Okrążając Andanden twardymi drogami z czarnej lawy, zniszczył sobie buty i całkiem przetarł podeszwy. Czuł kąsającą w stopy lodowatą wil goć bagiennych ścieżek.

Szybko robiło się coraz ciemniej. Z południa unosiła się mgiełka, przesłaniała niebo. Tylko nad ogromnym, mrocznym masywem góry wciąż jeszcze płonęły gwiazdy. Wiatr poświstywał wśród sitowia cicho, ponuro.

Podróżny stał na rozstajach i gwizdał w odpowiedzi.

Coś poruszyło się na jednym ze szlaków. Coś wielkiego, czarnego w mroku.

— Jesteś tam, moja droga? — spytał podróżny. Przemawiał w dawnej mowie, Mowie Tworzenia. — Chodź zatem, Ullododa.

Jałówka zbliżyła się ku niemu, ku swemu imieniu. Człowiek ruszył jej na spotkanie. Bardziej dotykiem niż wzrokiem dostrzegł

wielką głowę i pogładził jedwabiste zagłębienie między oczami, a także czoło wokół zalążków rogów.

— Piękna, jesteś taka piękna — powiedział, wciągając w płuca pachnący trawą krowi oddech, tuląc się do ciepłego ciała. — prowadzisz mnie tam, gdzie winienem się udać?

Miał szczęście, natykając się na młodziutką krowę, me jedno z wędrujących na swobodzie zwierząt, które poprowadziłoby go głębiej na moczary. Ulla uwielbiała przeskakiwać przez płoty, gdy jednak trochę się powałęsała, zaczynała tęsknić za oborą i matką, od której od czasu do czasu pociągała jeszcze nieco mleka. Teraz chętnie ruszyła do domu. Szła wolno, lecz zdecydowanie jedną ze ścieżek. Wędrowiec stąpał obok, opierając dłoń na jej zadzie. Gdy zaczęła brodzić w głębokim do kolan strumieniu, trzymał się jej ogona Wdrapując się na niski błotnisty brzeg, wyrwała mu ogon z dłoni, zaczekała jednak, aż towarzyszący jej człowiek jeszcze bardziej niezgrabnie wgramoli się za nią. Dopiero wówczas spokojnie poszła naprzód. Przywarł do jej boku, chcąc się ogrzać, bo lodowata woda strumienia zmroziła go aż do kości. Dygotał cały.

Wtem Ulla zamuczała cicho i tuż po prawej stronie ujrzał niewyraźny prostokąt żółtego światła.

— Dziękuję — rzekł i otworzył furtkę przed jałówką, która zaczęła witać swą matkę. On tymczasem, potykając się, ruszył przez podwórze w stronę drzwi.

Słysząc pukanie, gospodyni pomyślała, że to pewnie Owoc, choć nie miała pojęcia, czemu miałby dobijać się do drzwi.

— Wejdź, głupcze! — rzuciła, on jednak zastukał ponownie. Odłożyła zatem robótkę i podeszła do drzwi. — Już jesteś pijany?

I wówczas go ujrzała. Z początku pomyślała, że to król, władca, Maharion z dawnych pieśni, wysoki, prosty, piękny. Potem uznała go za żebraka, zbłąkanego biedaka. Miał brudne ubranie i dygotał z zimna.

— Zabłądziłem — powiedział. — Czy to wioska? — Głos miał ostry i chrypły, głos żebraka, ale nie akcent.

— Nie, wioska leży pół mili stąd — odparła Dar.

— Jest tam gospoda?

— Dopiero w Oraby, dziesięć mil na południe. — Zastanowiła się chwilę. — Potrzebujesz pokoju na noc? Znajdziesz go u mnie albo u Sana w wiosce.

— Jeśli mogę, zostanę tutaj — odparł jak prawdziwy książę, szczękając zębami i przytrzymując się framugi, by nie upaść.

— Zdejmij buty — poleciła. — Są zupełnie przemoczone. Wejdź zatem — odstąpiła na bok. — Podejdź do ognia. — Posadziła go na ławie Brena, tuż przy palenisku. — Napijesz się zupy? Jest wciąż gorąca.

— Dziękuję, dobrodziejko — mruknął, kuląc się przy ogniu. Przyniosła mu miskę bulionu. Zaczął pić. Łapczywie, lecz ostrożnie, jakby odwykł od gorącego jedzenia.

— Przychodzisz zza Góry? Przytaknął.

— Po co?

— Aby dotrzeć tutaj.

Dreszcze powoli ustępowały. Jego bose stopy wyglądały żałośnie: posiniaczone, spuchnięte, pomarszczone od wilgoci. Pragnęła powiedzieć, by zbliżył je do ciepłego paleniska, ale nie chciała się narzucać. Nie wiedziała, kim był, lecz z pewnością nie żebrakiem.

— Niewielu przychodzi na Górskie Moczary — rzekła. — Handlarze, owszem, ale nie zimą.

Skończył zupę i zabrała miskę. Usiadła na stołku obok lampy oliwnej i zabrała się za łatanie.

— Rozgrzej się. Potem zaprowadzę cię do łóżka. W tamtym pokoju nie ma ognia. Jaka pogoda na Górze? Mówią, że padał śnieg.

— Trochę.

Przyjrzała mu się uważnie w blasku lampy i ognia. Miał jakieś czterdzieści lat, był chudy i nie tak wysoki, jak z początku sądziła. Piękna twarz miała dziwny wyraz, jakby coś było z nią nie tak. Czegoś brakowało. Zniszczony, pomyślała. Zniszczony człowiek.

— Po co przychodzisz na Moczary?

Miała prawo pytać, w końcu go ugościła. Czuła się jednak niezręcznie, tak go wypytując.

— Mówiono mi, że wśród tutejszego bydła panuje pomór.

Teraz, gdy się trochę ogrzał, głos miał naprawdę piękny. Niczym gawędziarz opowiadający historię o władcach, smoku i bohaterach. Może był bajarzem bądź pieśniarzem? Ale nie. Wspominał o pomorze.

— Istotnie.

— Może zdołam pomóc zwierzętom.

— Jesteś znachorem? Tylko skinął głową.

— Zatem ludzie uradują się z twojego przybycia. Zaraza zbiera straszne żniwo. Jest coraz gorzej.

Nie odpowiedział. Widziała, jak ciepło wkrada się do jego ciała.

— Przysuń stopy do ognia — poleciła ostro. — Mam stare buty należące do męża.

Wypowiedzenie tych słów wiele ją kosztowało, kiedy jednak już się na to zdobyła, poczuła się wolna, spokojna. Po co jej buty Brena? Na Owoca były za małe, na nią za duże. Oddała jego ubrania, lecz zatrzymała buty. Wtedy nie wiedziała czemu, lecz najwyraźniej miały trafić do tego przybysza. Jeśli zaczekać odpowiednio długo, wszystko się wyjaśnia.

— Dam ci je — rzekła. — Twoje są całkiem zniszczone. Zerknął na nią. Oczy miał wielkie, ciemne, głębokie, nieprzeniknione, niczym

oczy konia.

— Mąż nie żyje — dodała. — Od dwóch lat. Gorączka bagienna. To plaga tych stron. Wszystko przez wodę. Mieszkam z bratem, jest teraz w wiosce, w tawernie. Mamy mleczarnię. Sama robię sery. Nasze krowy nie chorują. — Uczyniła znak odpędzający zło. — Trzymam je przy domu. Na łąkach zaraza pleni się szybko. Może wygaśnie podczas mrozów.

— Prędzej mrozy wybiją chore zwierzęta — odparł znachor. W jego głosie wyczuła senność.

— Zwą mnie Dar — powiedziała. — Mojego brata Owoc.

— Parów — odparł po chwili.

Wydało jej się, że wymyślił to imię w tym momencie. Nie pasowało do niego. Nic w nim nie pasowało do reszty, nie tworzyło całości. A jednak mu ufała, czuła się przy nim pewnie. Nie chciał jej skrzywdzić. Pomyślała, że jest w nim dobroć. Można to poznać po tym, jak mówił o zwierzętach. Z pewnością dobrze sobie z nimi radzi. Sam przypominał zwierzę: milczące, ranne stworzenie, potrzebujące pomocy, lecz niepotrafiące o nią prosić.

— Chodź — rzekła — zanim mi tu zaśniesz.

Posłusznie podążył za nią do pokoju Owoca, niewiele większego od szafy. Dar miała pokój za kominem. Gdy za jakiś czas pijany Owoc wróci do domu, przygotuje mu siennik pod ścianą. Niech podróżny prześpi się w porządnym łóżku. Może kiedy odejdzie, zostawi miedziak czy dwa. Ostatnio w domu brakowało pieniędzy.

***

Ocknął się jak zawsze w swym pokoju w Wielkim Domu. Nie pojmował, czemu sufit tak bardzo się obniżył, czemu czuje kwaśny zapach mleka, a w pobliżu ryczą krowy. Musiał leżeć chwilę w bezruchu, powracając myślami do innego miejsca, innego człowieka, którego imienia użytkowego nie potrafił sobie przypomnieć, choć wypowiedział je zeszłego wieczoru do jałówki bądź kobiety. Znał swoje prawdziwe imię, czuł jednak, że tutaj na nic mu się nie przyda. Widział czarne drogi, ociekające wodą zbocza i rozległą zieloną równinę przeciętą siecią błyszczących, bystrych rzek. Wiał zimny wiatr. Sitowie szeleściło. Młoda krowa przeprowadziła go przez strumień, a Emer otworzyła mu drzwi. Poznał jej imię w jednej chwili. Musi nazywać ją inaczej. Nie wolno wymienić tamtego imienia. Musi przypomnieć sobie, jak się przedstawił. Nie może być dla niej Iriothem. Choć przecież jest Iriothem. Może z czasem stanie się kim

innym. Nie, tak być nie może. Musi pozostać tym, kim jest. Nogi tego, kim jest, bolały. Stopy piekły. Leżał jednak w porządnym łóżku, pod pierzyną. Było mu ciepło i nie musiał wstawać. Zdrzemnął się, odpływając od Iriotha.

Gdy w końcu wstał, zastanawiał się, ile ma lat. Spojrzał na swe ręce i przedramiona. Wciąż wyglądał na człowieka w sile wieku, choć czuł się jak starzec i poruszał z trudem. Powoli naciągnął ubranie, brudne po wielodniowej wędrówce. Pod krzesłem czekała para butów, znoszonych, lecz porządnych, a także grube wełniane skarpety. Wsunął je na obolałe stopy i pokuśtykał do kuchni. Emer stała przy wielkiej misce, wyciskając w kawałku materiału coś ciężkiego.

— Dziękuję za skarpety i za buty… — rzekł i w tym momencie, dziękując za dar, przypomniał sobie jej imię użytkowe, dokończył jednak tylko: — dobrodziejko.

— Bardzo proszę — odparła i przeniosła swój ciężar do ciężkiej glinianej misy. Wytarła ręce w fartuch.

Nie znał się na kobietach. Nie mieszkał wśród nich, odkąd skończył dziesięć lat. Bał się ich, kobiet w wielkiej kuchni, które bardzo dawno temu wrzeszczały, by zszedł im z drogi. Gdy jednak zaczął podróżować po Ziemiomorzu, spotkał kilka kobiet. Były niczym zwierzęta — zajmowały się swymi sprawami, nie zwracając na niego uwagi, chyba że je spłoszył. Starał się tego nie robić. Nie chciał wzbudzać w nich lęku. Nie były mężczyznami.

— Masz ochotę na świeży twaróg? To dobre śniadanie. Zerkała na niego z ukosa i nie patrzyła w oczy, jak zwierzę, kot — obserwowała, lecz nie rzucała wyzwania. Na obramowaniu paleniska leżał prawdziwy kot, wielki buras. Wyciągnięty wygodnie, spoglądał na *żarzące* się węgle. Irioth przyjął podaną mu miskę i łyżkę. Kocur wskoczył na siedzisko obok niego i zaczął mruczeć.

— To ci dopiero — rzekła gospodyni. — Zwykle jest nieufny wobec obcych.

— Pewnie ma ochotę na twaróg.

— Może poznał znachora.

Czuł się bezpieczny w towarzystwie tej kobiety i kota. Znalazł dobry dom.

— Na dworze jest zimno — powiedziała. — Rano zamarzła rynna. Chcesz odejść już dzisiaj?

Nastała cisza. Przypomniał sobie, że musi odpowiadać słowami.

— Zostanę, jeśli mogę. Zostanę tutaj. Uśmiechnęła się, lecz wyczuł w niej wahanie.

— Bardzo proszę — odezwała się po chwili. — Muszę jednak spytać, czy możesz mi trochę zapłacić.

— O tak — odparł oszołomiony. Wstał i pokuśtykał do sypialni po sakiewkę. Przyniósł monetę: małą enladzką złotą koronę.

— Tylko za ogień i jedzenie. W dzisiejszych czasach torf słono kosztuje — wyjaśniała właśnie. Nagle dostrzegła, co jej podsunął. — O, panie! — westchnęła.

Zrozumiał, że zrobił coś nie tak.

— Nikt w wiosce nie mógłby tego zmienić — rzekła. Przez moment patrzyła mu prosto w twarz. — Cała wioska nie zdołałaby tego zmienić! — Wybuchnęła śmiechem.

Zatem wszystko było w porządku, choć słowo “zmienić" natrętnie dźwięczało mu w uszach.

— Pieniądz nie został zmieniony… — Nagle pojął, że gospodyni nie to miała na myśli. — Przepraszam. Gdybym został tu miesiąc, może całą zimę, czy to by wystarczyło? Muszę gdzieś mieszkać, gdy będę zajmować się bydłem.

Ponownie wybuchnęła śmiechem i zatrzepotała rękami.

— Jeśli zdołasz uleczyć bydło, właściciele ci zapłacą. Wówczas ty zapłacisz mnie. Jeśli chcesz, nazwij to zabezpieczeniem. Lecz schowaj swe złoto, panie. Na jego widok kręci mi się w głowie. Owocu — dodała, bo w tym momencie drzwi otwarły się, wpuszczając do środka chłodny powiew, i stanął w nich wychudzony mężczyzna o podstępnej twarzy — ten pan zatrzyma się u nas, dopóki nie uleczy krów.

— Oby szło mu jak najszybciej.

— Przedstawił zabezpieczenie. Będziesz zatem sypiał przy kominie, a on w twoim pokoju. To mój brat, Owoc, panie.

Owoc pochylił głowę i wymamrotał coś pod nosem. Oczy miał mętne. Iriothowi zdawało się, że ktoś go otruł. Gdy Owoc znów wyszedł, gospodyni zbliżyła się i powiedziała cicho, pewnym siebie głosem:

— Nie ma w nim zła, panie. To tylko trunek. Ale też pozostało z niego niewiele więcej. Schowaj zatem pieniądze tak, by ich nie znalazł, proszę. Nie będzie ich szukał, jednak wziąłby je, gdyby zobaczył. Sam nie wie, co robi. Rozumiesz?

— Tak. Rozumiem. Miła z ciebie niewiasta. — Mówiła o bracie, że sam nie wie, co robi. I wybaczała mu. — Kochająca siostra.

Słowa te zabrzmiały świeżo. Nigdy dotąd niczego takiego nie powiedział ani nie pomyślał. Przez moment miał wrażenie, że przemówił w Prawdziwej Mowie, której nie wolno mu używać. Gospodyni jednak uśmiechnęła się tylko i wzruszyła ramionami.

— Czasami mam ochotę skręcić mu durny kark — odparła, wracając do pracy.

Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest zmęczony. Cały dzień drzemał przy ogniu wraz z burym kotem. Tymczasem Dar krzątała się przy pracy. Nakarmiła go kilka razy — nędzną, prostą strawą, lecz on rozkoszował się każdym kęsem. Wieczorem Owoc gdzieś poszedł, a Dar westchnęła ciężko.

— Gdy wspomni, że mamy lokatora, w gospodzie dadzą mu nowy kredyt. Ale to nie twoja wina.

— O tak — rzekł Irioth. — To moja wina.

Ale ona mu wybaczyła. Bury kot tulił mu się do uda, pogrążony we śnie. W umyśle ujrzał kocie sny: nizinne pola, na których rozmawiał ze zwierzętami, mroczne zakątki. Kot wskoczył do jednego z nich, znalazł mleko i *zaczął* głośno mruczeć. Nie istniała tu wina, jedynie wielka niewinność. Nie potrzeba było słów. Nie znajdą go tutaj. Nie zdołają go znaleźć. Nie musiał wymawiać żadnych imion. Nie było tu nikogo oprócz niej i śpiącego kota oraz migoczącego ognia. Wędrował czarnymi drogami po zboczach martwej góry. Tu jednak strumienie płynęły leniwie wśród pastwisk.

***

Był szalony. Nie miała pojęcia, co ją opętało. Czemu zgodziła się, by został? Nie potrafiła jednak lękać się go i mu nie ufać. Czy to ważne, że jest szalony? Był łagodny, a kiedyś mógł być mądry, nim zdarzyło się to, co go spotkało. Poza tym szaleństwo nie zawładnęło nim całkowicie. Ogarniało go chwilami. Nic w nim nie było jednością, nawet obłęd. Nie pamiętał imienia, które jej podał, i powiedział ludziom w wiosce, by nazywali go Otak. Prawdopodobnie jej imienia także nie zdołał sobie przypomnieć; zawsze zwracał się do niej “dobrodziejko". Może to jednak uprzejmość? Ona z uprzejmości nazwała go panem, a także dlatego, że Parów ani Otak do niego nie pasowały. Słyszała, że otak to pozbawione głosu zwierzątko o ostrych zębach, lecz na Górskich Moczarach nie widywała podobnych stworzeń.

Z początku sądziła, że historia o leczeniu bydlęcej choroby też należała do przejawów szaleństwa. Jej gość nie zachowywał się jak znachorzy przynoszący zaklęcia, mikstury i maści. Gdy jednak odpoczął kilka dni, spytał o imiona gospodarzy z wioski i wyruszył w drogę, kuśtykając w starych butach Brena. Na ten widok ścisnęło jej się serce.

Wrócił wieczorem, kulejąc jeszcze mocniej, bo oczywiście San natychmiast wyprowadził go na Długie Pola, gdzie pasły się jego krowy. Wprawdzie były w wiosce konie — hodował je Olcha — lecz wierzchowców dosiadali wyłącznie pastuchowie. Dar podała gościowi miskę gorącej wody i czysty ręcznik do wytarcia obolałych stóp. Zaproponowała mu kąpiel. Razem nagrzali wody i napełnili starą wannę. Potem wyszła do swego pokoju. Kiedy wróciła, wszystko było

już uprzątnięte. Ręczniki wisiały przy ogniu. Nigdy nie znała mężczyzny, który potrafiłby tak zadbać o siebie. Kto mógłby oczekiwać tego po bogaczu? Z pewnością w domu miał służbę, nie sprawiał jednak więcej kłopotu niż kot. Sam prał sobie ubranie, a nawet pościel. Przekonała się o tym pewnego słonecznego dnia, gdy wywiesił uprane *rzeczy*.

— Nie musisz tego robić, panie. Dorzucę twoje rzeczy do moich.

— Nie ma potrzeby — odparł z roztargnieniem, jakby sam nie do końca wiedział, co mówi. Potem jednak dodał: — Bardzo ciężko pracujesz.

— A kto nie pracuje? Lubię robić ser. To ciekawe zajęcie. Jestem silna. Boję się tylko starości, gdy nie zdołam już dźwignąć wiader i form. — Zademonstrowała mu krągłe, muskularne ramię, zaciskając dłoń w pięść i uśmiechając się szeroko. — Niezłe jak na pięćdziesięciolatkę — dodała. Czuła się niemądrze, przechwalając się przed nim. Była jednak dumna ze swych mocnych ramion i niespożytych sił.

— Niech ci się wiedzie — powiedział z powagą.

Świetnie potrafił obchodzić się z krowami. Gdy był na miejscu, a ona potrzebowała pomocy, zastępował Owoca i, jak powiedziała ze śmiechem swej przyjaciółce, Płowej, radził sobie z krowami sprytniej niż stary pies Brena.

— On do nich mówi i przysięgłabym, że rozumieją jego słowa. A jałówka łazi za nim jak szczeniak.

Cokolwiek czynił z krowami na pastwiskach, gospodarze szanowali go coraz bardziej. Oczywiście, gotowi byli chwycić się wszystkiego. Połowa stada Sana padła. Olcha nie chciał mówić, jaką część pogłowia stracił. Wszędzie wokół leżały krowie trupy. Gdyby nie chłód na moczarach, powietrze cuchnęłoby zgnilizną. Zwykła woda nie nadawała się do picia; trzeba było gotować ją co najmniej godzinę. Dobra woda pozostała tylko w dwóch studniach — jednej w mleczarni i drugiej, od której wieś wzięła swe miano.

Pewnego ranka na podwórze przybył jeden z pastuchów Olchy. Jechał konno, za sobą prowadził osiodłaną mulicę.

— Mości Olcha kazał powtórzyć, by pan Otak jej dosiadł. Na wschodnie pola jest daleko — oznajmił.

Jej gość wyszedł z domu. Poranek był jasny, mgiełka spowijała moczary połyskującym woalem. Andanden wznosił się w górze — potężna sylwetka na tle północnego nieba.

Znachor nie odezwał się do pastucha. Ruszył wprost do muliczki, córki wielkiej oślicy Sana i białego ogiera Olchy. Była młoda, srokata, z przewagą bieli. Miała śliczny pysk. Mówił coś do niej, szepcząc do wielkiego, delikatnego ucha.

— Często tak z nimi rozmawia — rzekł pastuch.

W jego głosie dało się wyczuć rozbawienie, ale i pogardę. Był jednym z kompanów Owoca z gospody, w sumie jednak przyzwoitym młodzieńcem jak na pastucha.

— A czy leczy krowy? — spytała.

— No, nie potrafi natychmiast ich uzdrowić. Zwykle jednak udaje mu się pomóc, jeśli nie zaczęła się kołowacizna. A te, które nie zachorowały, podobno unikną zarazy. Toteż nasz pan wysyła go na pastwiska, by zajął się wszystkimi zwierzętami. Dla wielu jest już za późno.

Znachor sprawdził uprząż, poluzował jakiś rzemień i niezgrabnie wspiął się na siodło. Muliczka odwróciła długi, kremowo-biały pysk i pięknymi oczami spojrzała na jeźdźca, on zaś uśmiechnął się. Dar nigdy dotąd nie widziała, by się uśmiechał.

— Ruszamy? — spytał pastucha, który odjechał bez słowa, machając gospodyni na pożegnanie.

Muliczka stąpała szybko, płynnie. Białe plamy na skórze połyskiwały w porannym świetle. Dar pomyślała, że patrzy za znachorem jak za księciem, kimś z baśni i legend. Sylwetki jeźdźców brodzących w jasnej mgle nad ciemnym brązem zimowych pól rozpłynęły się w świetle i znikły.

***

Praca na pastwiskach była bardzo ciężka. “A kto nie pracuje?" — spytała niedawno Emer, pokazując mu swe krągłe, silne ramiona i twarde czerwone dłonie.

Gospodarz, Olcha, oczekiwał, że Irioth zostanie na łąkach, póki nie dotknie każdego zwierzęcia z Wielkich Stad. Przysłał mu do pomocy dwóch pastuchów. Rozbili prymitywne obozowisko: jedna derka i namiot osłaniały przed deszczem. Na moczarach trudno było o drwa; ogień podsycali gałązkami krzaków i suchym sitowiem. Płomień wystarczył ledwo, by zagotować wodę, człowiek nie mógł się przy nim ogrzać.

Pasterze starali się zgonić krowy w pobliże obozowiska, by znachor nie musiał podjeżdżać kolejno do każdego zwierzęcia pasącego się na suchych, zamarzniętych łąkach. Wciąż się wściekali, bo stada nie udawało się długo utrzymać w jednym miejscu. Ich brak cierpliwości ogromnie Iriotha dziwił. Traktowali zwierzęta jak *rzeczy,* niczym flisacy spławiający drewno rzeką. Polegali wyłącznie na swej sile.

Dla niego także brakło im cierpliwości. Stale go poganiali, by

szybciej kończył robotę. Nie mieli też cierpliwości dla siebie i dla swego życia. Rozmawiali wyłącznie o tym, jak zabawią się w mieście Oraby po wypłacie. Wysłuchał wielu historii o tamtejszych dziewkach, Złotej i Stokrotce, a także kobiecie, którą nazywali Płonącą Kępą. Musiał siadać obok nich, bo wszyscy trzej łaknęli ciepła ogniska, oni jednak nie życzyli sobie jego obecności, a on nie chciał być z nimi. Wiedział, że w ich sercach kryje się lęk przed czarownikami, a także zazdrość. Przede wszystkim jednak wyczuwał w nich wzgardę. Był starszy, obcy. Dobrze znał zazdrość i strach, i unikał ich. Znał też pogardę. Cieszył się, że pastuchowie nie chcą z nim rozmawiać. Bał się, że mógłby zrobić im coś złego.

Wstał wczesnym mroźnym rankiem. Jego towarzysze wciąż spali, opatuleni w pledy. Wiedział, gdzie w pobliżu pasą się krowy. Nie potrzebował pomocy. Dobrze poznał już ich chorobę. Jeśli posunęła się daleko, wyczuwał ją w dłoniach, piekącą niczym ogień, a jego ciało ogarniała słabość. Zbliżał się właśnie do leżącego na ziemi byczka. Poczuł zawrót głowy i zwymiotował. Nie podszedł bliżej. Wymówił tylko słowa, które mogłyby złagodzić ból, i ruszył dalej.

Mógł krążyć między bykami, mimo iż były bardzo dzikie, a z rąk ludzi doświadczyły tylko kastracji i rzezi. Ich ufność go cieszyła. Był z niej dumny. Nie powinien się tym szczycić, a jednak. Jeśli pragnął dotknąć jednego z wielkich stworzeń, wystarczyło, by stanął obok i przemówił do niego w języku istot pozbawionych mowy.

— Ulla — mówił, nazywając kolejne zwierzęta. — Ellu. Ellua. A one stały nieruchomo, wielkie, obojętne. Czasami któreś h przyglądało mu się długą chwilę. Czasem podchodziło swobodnym, majestatycznym krokiem i dmuchało mu w dłoń ciepłym oddechem. Te, które przyszły, mógł uleczyć. Kładł ręce na porośniętych szorstkim włosiem gorących bokach i szyjach, i przekazywał dar uzdrawiania, raz po raz powtarzając magiczne słowa. Po imś czasie zwierzę zaczynało się trząść, rzucało głową albo spokojnie odchodziło, a on opuszczał ręce i stał bez ruchu, oszołomiony, wyczerpany. Potem zjawiało się kolejne, wielkie, ciekawe, nieśmiałe. W głębi brązowych ciał kryła się choroba — ukłucia' pieczenie w dłoniach, zawroty głowy.

— Ellu — mówił, podchodził do krowy, kładł na niej ręce i trzymał tak, póki nie zgrabiały niczym zanurzone w górskim strumieniu.

Pastuchowie kłócili się, czy można bezpiecznie zjeść mięso byczka padłego na pomór. Ich zapasy żywności, od początku skromne, niemal się skończyły. Zamiast jechać dwadzieścia, trzydzieści mil po nowe, woleli wyciąć padłemu zwierzęciu ozór.

Irioth już wcześniej zmuszał ich do gotowania wody Teraz rzekł:

— Jeśli zjecie to mięso, za rok zaczniecie cierpieć na zawroty

głowy, potem dostaniecie kołowacizny i umrzecie jak one.

Zaczęli go przeklinać i wyśmiewać, ale uwierzyli. Nie miał pojęcia, czy powiedział prawdę. Tak mu się zdawało. Może chciał zrobić im na złość. Może chciał się ich pozbyć.

— Wracajcie — rzekł. — Zostawcie mnie tutaj. Dla jednej osoby jedzenia wystarczy na trzy, cztery dni. Muliczka sama trafi do domu.

Nie musiał ich długo przekonywać. Odjechali, pozostawiając mu wszystko: pledy, namiot, żelazny kociołek.

— Jak wrócimy do wioski? — spytał muliczkę. Odprowadziła wzrokiem dwa konie i odpowiedziała tak, jak to czynią zwierzęta.

— Aaaach! — westchnęła. Będzie jej brakowało koni.

— Musimy skończyć to, cośmy zaczęli — rzekł, a ona spojrzała na mego łagodnie.

Wszystkie zwierzęta były cierpliwe, lecz cierpliwość wierzchowców wyróżniała je spośród innych, bo obdarzały nią ludzi z własnej woli. Psy są wierne, kryje się w tym jednak posłuszeństwo. To zwolennicy hierarchii, dzielący świat na panów i plebs.

Dla koni każdy jest panem. Z własnej woli zgadzają się współpracować. Wiele razy szedł wśród wielkich, szerokich kopyt koni pociągowych, nie czując lęku. Ciepłe oddechy dobywające się z miękkich chrap napawały go otuchą. Działo się to bardzo dawno temu. Przemówił do ślicznej muliczki, nazywając ją swą ulubienicą, pocieszając, by nie czuła się samotna.

Dotarcie do każdego zwierzęcia w wielkich stadach na wschodnich moczarach zajęło mu jeszcze sześć dni. Przez ostatnie dwa krążył wśród rozproszonych grupek krów wędrujących u stóp góry. Wielu z nich nie dotknęła jeszcze choroba. Muliczka dźwigała go na grzbiecie. Tak było łatwiej. Nie miał już jednak nic do jedzenia. Gdy wrócił do wioski, uginały się pod nim kolana. Był bardzo słaby. Droga do domu ze stajni Olchy, gdzie zostawił muliczkę, zajęła mu bardzo dużo czasu. Emer powitała go, zrugała i usiłowała zmusić do jedzenia. Wyjaśnił, że jeszcze nie może nic przełknąć.

— Kiedy tam byłem, na chorych polach, wśród choroby, ja też czułem się chory. Niedługo znów będę mógł coś zjeść.

— Oszalałeś! — wykrzyknęła z gniewem, który wydał mu się przejmująco słodki. Czemu gniew innych nie był taki słodki? — Przynajmniej się wykąp — rzuciła.

Wiedział, jak cuchnie, i podziękował jej.

— Ile Olcha płaci ci za to wszystko? — spytała ostro, grzejąc wodę. Wciąż była oburzona.

— Nie wiem — odparł. Zastygła w bezruchu.

— Nie ustaliłeś ceny?

— Ustalić cenę? — Spiął się cały. Potem przypomniał sobie, kim nie jest, i dodał z pokorą: — Nie.

— O, święta naiwności! — syknęła gniewnie Dar. — To skąpiec. — Wlała do wanny sagan parującej wody. — Ma kościane płytki — dodała. — Powiedz, że to musi być kość. Dziesięć dni chłodu i głodu, na polach! San ma tylko miedziaki, ale Olcha może zapłacić kością. Wybacz, że wtrącam się do twoich spraw, panie.

Pchnęła nogą drzwi i wyszła do pompy, dźwigając dwa puste cebrzyki. Ostatnio w ogóle nie czerpała wody ze strumienia. Była mądra i miła. Czemu tak długo przebywał wśród ludzi, którzy nie byli mili?

Następnego dnia Olcha rzekł:

Pożyjemy, zobaczymy. Jeśli moje krowy wyzdrowieją i przeżyją zimę, uznam, że dobrze się spisałeś. Nie, żebym w to wątpił ale bądźmy uczciwi. Nie chciałbyś, bym zapłacił ci tyle, ile zamierzam by odkryć, że czar nie zadziałał i zwierzęta padły Niech się odwróci! Nie żądam jednak, byś czekał bez zapłaty. Oto zaliczka a poczet tego, co jeszcze dostaniesz. Jesteśmy kwita? Tak?

Miedziaki nie były nawet ukryte w sakwie, jak nakazywał wyczaj. Irioth musiał wyciągnąć rękę, a gospodarz ułożył na niej sześć miedzianych monet.

— No proszę, załatwione — uśmiechnął się dobrodusznie — Za kilka dni zajmiesz się roczniakami na pastwiskach wokół Długiego Stawu.

— Nie — odparł Irioth. — Kiedy zostawiłem stado Sana padało mnóstwo zwierząt. Jestem tam potrzebny.

— Ależ nie, panie Otaku. Podczas twojej nieobecności zjawił się znachor, czarownik. Bywał tu już wcześniej. Pochodzi z południowego wybrzeża i San go zatrudnił. Pracuj dla mnie, dobrze ci Płacę. Może lepiej niż miedzią, jeśli krowy wyzdrowieją Irioth me odpowiedział “tak", “nie" ani “dziękuję". Odszedł słowa. Gospodarz odprowadził go wzrokiem i splunął.

— Niech się odwróci — westchnął.

Iriotha ogarnął niepokój, pierwszy raz od przybycia na Górskie Moczary. Walczył z nim. Do wioski przybył człowiek obdarzony mocą, obcy. Ale to czarownik. Tak twierdził Olcha. Nie czarnoksiężnik nie mag, tylko znachor, uzdrowiciel bydła. Nie muszę się go lękać. Nie muszę bać się jego mocy. Nie potrzebuję jego mocy. Muszę go jednak zobaczyć, upewnić się. Jeśli przybył po to co ja, nie szkodzi. Możemy pracować razem. Jeśli przybył tylko to Jeżeli korzysta ze zwykłych czarów i nie chce czynić nic złego jak ja.

Krętą uliczką Czystej Studni powędrował do domu Sana, stojącego naprzeciwko karczmy. Gospodarz, zgorzkniały mężczyzna po trzydziestce, rozmawiał z kimś obcym. Gdy ujrzeli Iriotha, obaj pośpiesznie odwrócili głowy. San wszedł do domu. Obcy podążył jego śladem. Irioth stanął na progu.

— Mości Sanie, przybywam w sprawie bydła między rzekami Mogę zająć się nim dzisiaj. — Nie wiedział, czemu to powiedział — takie miał zamiary.

— Cóż… — San zawahał się i podszedł do drzwi. — Nie ma potrzeby, mości Otaku. Oto mości Promień, który przybywa, by zająć się pomorem. Leczył już wcześniej moje krowy, choroby kopyt i inne. Roboty przy stadach Olchy i tak jest aż nadto dla jednego…

Czarownik nazywał się Ayeth. Jego moc była niewielka, skażona złością i kłamstwami, lecz zazdrość paliła niczym żywy ogień.

— Od dziesięciu lat prowadzę tu interes — rzekł oskarżycielsko, wyłaniając się zza pleców Sana i mierząc Iriotha wzrokiem. — A ty przychodzisz z północy i podbierasz mi pracę. Wielu miałoby coś przeciw temu, ale kłótnia czarowników to zła rzecz. Czy w ogóle jesteś czarownikiem? Masz moc? Bo ja mam. Wszyscy tutejsi ludzie to wiedzą.

Irioth próbował powiedzieć, że nie chce kłótni, pracy starczy dla dwóch, nie chce jej nikomu odbierać, lecz gorycz zazdrości Ayetha wypalała w nim słowa. Przybysz i tak by ich nie usłyszał, a swą złością niszczył je, nim zostały wypowiedziane. Z coraz większą wzgardą patrzył na milczącego Iriotha. Zaczął mówić coś do Sana, a wówczas Irioth odezwał się w końcu:

— Musisz… — rzekł. — Musisz iść. Z powrotem.

Gdy wymówił ostatnie słowo, lewą ręką ciął powietrze, jakby machał ostrym nożem. Ayeth oszołomiony runął na krzesło.

Był tylko mizernym czarownikiem, oszustem znającym zaledwie kilka nędznych zaklęć. A może oszukiwał, może ukrywał swą moc, może to rywal? Zazdrosny rywal? Trzeba go powstrzymać, spętać, nazwać, przywołać. Irioth zaczął wymawiać słowa, które by go spętały, i przerażony Ayeth umknął, kuląc się, malejąc, wrzeszcząc głośno. To złe, złe. Robię coś złego, to ja jestem zły, pomyślał Irioth. Uciszył własne słowa. Walczył z nimi. I w końcu wykrzyknął tylko jedno. Ayeth przypadł do ziemi, drżał na całym ciele i wymiotował. San patrzył na nich oszołomiony, próbując powiedzieć: “Niech się odwróci, odwróci!", i nie stało się nic złego. Lecz w dłoniach Iriotha płonął ogień. Płonął w oczach, gdy próbował ukryć je przed światem. Na języku, gdy usiłował coś powiedzieć.

***

Przez długi czas nikt nie chciał go tknąć. Upadł na progu Sana i leżał niczym martwy. Lecz znachor z południa stwierdził, że Otak nie

umarł i jest groźny jak grzechotnik. San opowiedział innym, jak Otak rzucił klątwę na Promienia i wypowiedział straszne słowa, które sprawiły, że znachor zaczął maleć, kurczyć się i zawodzić niczym patyk w ogniu. A potem w jednej chwili znów był sobą, tylko rzygał jak kot. Tymczasem drugiego znachora otaczało dziwne, migoczące niczym ogień światło i tańczące wokół cienie. Jego głos nie przypominał głosu człowieka. Coś strasznego.

Promień poradził, by się go pozbyli, nie czekał jednak, aż to zrobią. Wychyliwszy pospiesznie kufel piwa w gospodzie, ruszył z powrotem na południe, oznajmiając, że w jednej wsi nie ma miejsca dla dwóch czarowników. Może wróci, gdy ten drugi odejdzie.

Nikt nie chciał Otaka tknąć. Przyglądali się z daleka ciału leżącemu na progu Sana. Żona gospodarza zawodziła wniebogłosy, biegając po ulicy:

— Niech będzie przeklęty, przeklęty! — wrzeszczała. — Moje dziecko urodzi się martwe! Ja to wiem!

Kiedy Owoc usłyszał w gospodzie opowieść Promienia, a także wersję Sana i kilka innych krążących po wsi — w najlepszej z nich Otak wyrósł w górę na pięć łokci, piorunem spalił Promienia na popiół, a potem na usta wystąpiła mu piana, posiniał i runął na ziemię — ruszył do domu, by sprowadzić siostrę.

Dar pospieszyła do wioski, wprost na próg domu Sana, pochyliła się nad Otakiem i położyła na nim rękę. Wszyscy jęknęli, mamrocząc: “Niech się odwróci!", jedynie najmłodsza córeczka Płowej coś źle zrozumiała i pisnęła: “Niech ci się wiedzie!".

Znachor poruszył się i powoli dźwignął z ziemi. Ujrzeli, że wygląda dokładnie tak jak przedtem. Nie dostrzegli żadnych ogni ani cieni. Sprawiał wrażenie chorego.

Dar pomogła mu wstać. Wolno poszli razem ulicą.

Wieśniacy potrząsnęli głowami. Dar to odważna kobieta. Czasem jednak ludzie bywają zbyt odważni. Albo też — mówili do siebie, siedząc wokół stołu w gospodzie — odważni w niewłaściwy sposób, w niewłaściwym miejscu. Nikt nie powinien mieszać się do spraw czarowników, jeśli brakuje mu mocy. Ludzie o tym zapominają. Czarownicy wyglądają jak inni, ale nie są tacy. Wydaje się, że znachor nie robi nic złego, leczy choroby kopyt, zatkane wymiona. Nic groźnego, prawda? Wystarczy jednak go rozzłościć, i proszę. Ognie i cienie. Klątwy i drgawki. Dziwy niewidy. Ten nowy zawsze był podejrzany. Skąd się w ogóle wziął? Kto o nim słyszał?

***

Doprowadziła go do łóżka, zdjęła mu buty i zostawiła pogrążonego we śnie. Owoc wrócił późno, bardziej pijany niż zwykle. Upadł i rozciął sobie czoło o kozioł do drewna. Wściekły, zlany krwią, polecił siostrze, by wyrzuciła czarownika z domu, i to już. Potem zwymiotował w popioły i zasnął na palenisku. Zawlokła go na siennik. Poszła sprawdzić, co się dzieje z gościem. Chyba miał gorączkę. Przyłożyła mu dłoń do czoła, a on otworzył oczy, patrząc wprost na nią obcym wzrokiem.

— Emer — rzekł i przymknął powieki.

Cofnęła się przerażona.

Nocą, w swym łóżku, pogrążona w ciemności rozmyślała. Znał pewnie czarnoksiężnika, który nadał mi imię. Albo sama je wymówiłam. Może mówiłam we śnie. Albo ktoś mu powiedział. Ale przecież nikt mojego imienia nie zna. Nikt nigdy go nie znał, tylko czarnoksiężnik i moja matka, a oni nie żyją. Od dawna nie żyją. Musiałam gadać we śnie…

Wiedziała jednak, że to nieprawda.

***

Stała obok z olejną lampką w dłoni. Światło przeświecało czerwonym blaskiem przez jej palce, ozłacało twarz. Wymówił jej imię. Ona dała mu sen.

***

Spał do późnego ranka i ocknął się niczym po długiej chorobie, potulny i osłabiony. Nie potrafiła się go bać. Odkryła, że w ogóle nie pamiętał, co stało się w wiosce. Na kołdrze znalazła sześć miedziaków. Zapewne cały czas ściskał je w dłoni.

— Bez wątpienia to zapłata Olchy — rzekła. — Skąpiradło!

— Powiedziałem, że zajmę się jego krowami… na pastwisku między rzekami, prawda? — Zaczynał się niepokoić. Podniósł się z ławy.

— Siadaj — poleciła. Usiadł. Wiercił się jednak.

— Jak możesz leczyć, gdy sam jesteś chory? — spytała.

— A można inaczej?

Uspokoił się jednak i zaczął głaskać kota. Wkrótce potem zjawił się Owoc.

— Wyjdź ze mną — polecił siostrze, ujrzawszy znachora drzemiącego na ławie.

Podreptała na dwór.

— Nie będę z nim mieszkać pod jednym dachem — oznajmił tonem pana domu. Na jego czole widniała czarna szrama. Oczy miał mętne jak ostrygi. Trzęsły mu się ręce.

— Dokąd pójdziesz? — spytała.

— Nie ja. On musi odejść.

— To mój dom. Dom Berna. On zostanie. *Idź* albo zostań. Wolna wola.

— Ja zdecyduję, czy on zostanie, czy sobie pójdzie, *l* pójdzie. To nie zależy tylko do ciebie. Wszyscy w wiosce mówią, że musi odejść. Jest dziwny.

— O tak, skoro uleczył już połowę stad i dostał za to sześć miedziaków, czas, żeby odszedł, jasne. Zatrzymam go tu, jak długo zechcę. Koniec rozmowy.

— Nie kupią od ciebie mleka ani sera — jęknął Owoc.

— Kto tak twierdzi?

— Żona Sana. Wszystkie kobiety.

— Zaniosę więc sery do miasta i tam sprzedam. Okaż trochę przyzwoitości. Przemyj ranę i zmień koszulę. Cuchniesz jak gorzelnia.

Wróciła do domu i wybuchnęła płaczem.

— Co się stało, Emer? — spytał znachor, zwracając ku niej szczupłą twarz i niezwykłe oczy.

— Nic już z niego nie będzie. Wiem o tym. Nic po nim. Z pijakiem nigdy nie dojdziesz do ładu. — Otarła oczy rąbkiem fartucha. — Czy to właśnie cię zniszczyło? Trunek?

— Nie — odparł bez cienia urazy. Może w ogóle nie zrozumiał, co miała na myśli.

— Oczywiście, że nie. Wybacz.

— Może pije po to, by stać się kimś innym, zmienić się, odmienić swe życie…

— Pije, bo pije — powiedziała. — Niektórym to wystarczy. Idę do mleczarni. Zamknę drzwi. Ostatnio kręcili się tu obcy. Ty odpoczywaj. Na dworze jest bardzo zimno.

Wolała mieć pewność, że Otak zostanie w domu, gdzie nic mu nie grozi. Później sama wybierze się do wioski i pomówi z co rozsądniejszymi ludźmi.

Zrobiła tak i sporo wieśniaków, w tym żona Olchy, Płowa, zgodziło się, iż sprzeczka między czarownikami dotycząca ich pracy to nic nowego i nie ma się czym przejmować. Lecz San, jego żona i goście z gospody wciąż o tym gadali — awantura była jedynym

ciekawym wydarzeniem tej zimy oprócz choroby bydła.

— Poza tym — dodała Płowa — mój mąż nie ma nic przeciw temu, by płacić miedzią, gdy powinno się zapłacić kością.

— A krowy, których Otak dotknął? Wciąż są zdrowe?

— Tak. *I* następne już nie chorują.

— To prawdziwy czarownik, Płowa — powiedziała cicho Dar.

— W tym właśnie kłopot, moja droga, i dobrze o tym wiesz. To nie miejsce dla takiego człowieka. Nie powinno nas obchodzić, kim jest, musisz jednak spytać, po co tu przybył.

— Aby wyleczyć krowy — odparła Dar.

***

Niecałe trzy dni po odejściu Promienia w wiosce znów pojawił się ktoś nowy. Przyjechał drogą z południa na porządnym koniu i w gospodzie pytał o nocleg. Posłano go do domu Sana, lecz na wieść, iż u drzwi stoi jakiś obcy, żona gospodarza zaczęła wrzeszczeć, że jeżeli znowu wpuszczą za próg czarownika, dziecko po dwakroć urodzi się martwe. Jej krzyki słychać było na całej ulicy. Między gospodą i domem Sana zebrał się tłum, to znaczy z dziesięć, może kilkanaście osób.

— Za nic w świecie nie chciałbym — rzekł obcy miłym tonem — aby moja obecność miała przedwcześnie sprowadzić na świat dziecko. Może znajdzie się dla mnie pokój nad gospodą?

— Poślij go do mleczarni — mruknął jeden z pastuchów Olchy. — Dar przyjmie każdego.

Wśród zebranych rozległy się śmieszki i syki.

— Tamtędy — wskazał właściciel gospody.

— Dzięki — odparł podróżny i poprowadził konia drogą ku łąkom.

— Wszyscy cudzoziemcy w jednym koszyku — dodał właściciel gospody.

Tej nocy wiele razy powtarzano to powiedzonko w gospodzie i nieodmiennie budziło bezbrzeżny zachwyt. Ludzie nie śmiali się tak od czasu, kiedy nastała zaraza wśród bydła.

Dar była właśnie w mleczarni, skończyła wieczorny udój. Przelewała teraz mleko i szykowała garnki.

— Dobrodziejko — odezwał się ktoś w drzwiach. Myśląc, że to znachor, powiedziała:

— Jeszcze chwileczkę. Zaraz skończę.

Potem odwróciła się, ujrzała nieznajomego i o mało nie upuściła

rondla.

— Zaskoczyłeś mnie. Czym mogę ci służyć?

— Szukam łóżka. Noclegu.

— Nie, bardzo mi przykro. Jest tu już mój lokator, brat i ja. Może w wiosce…

— To oni mnie tu przysłali. Powiedzieli “wszyscy cudzoziemcy w jednym koszyku" — odparł nieznajomy.

Przekroczył już trzydziestkę. Miał szczerą twarz, miły uśmiech i ubierał się z prostotą, choć stojący za nim ogier był zacnym wierzchowcem.

— Wystarczy mi miejsce w oborze, dobrodziejko, ale mój koń potrzebuje dobrego noclegu. Jest zmęczony. Prześpię się w oborze, a rano ruszę w drogę. W zimne noce miło się śpi obok krów. Chętnie też zapłacę, jeśli wystarczą dwa miedziaki. Nazywam się Jastrząb.

— Ja jestem Dar — odparła z lekką rezerwą. Spodobał jej się jednak. — W porządku, mości Jastrzębiu. Odprowadź konia i zajmij się nim. Na podwórzu jest pompa, w oborze mnóstwo siana. Potem przyjdź do domu. Poczęstuję cię mleczną zupą, a za wszystko wystarczy jeden miedziak.

Nie miała ochoty nazywać go panem jak znachora. Nie było w nim nic pańskiego, nie dostrzegła w nim króla.

Gdy skończyła pracę w mleczarni i wróciła do domu, nowy przybysz, Jastrząb, zręcznie rozpalał ogień w palenisku. Znachor spał w swym pokoju. Zajrzała do niego i zamknęła drzwi.

— Niezbyt dobrze się czuje — powiedziała, zniżając głos. — Leczył bydło daleko na wschodzie, na moczarach, w najgorszym zimnie. Był tam wiele dni i jest wyczerpany.

Zabrała się do pracy w kuchni, a Jastrząb zaczął jej pomagać. Czynił to zupełnie naturalnie. Zastanawiała się, czy wszyscy cudzoziemcy tak świetnie sobie radzą w domu, znacznie lepiej niż mężczyźni stąd. Łatwo się z nim rozmawiało. Opowiedziała mu o znachorze. Jej nie przytrafiało się nic ciekawego.

— Wykorzystują czarownika, a potem obmawiają go za to, że im pomógł. To niesprawiedliwe.

— Ale jakoś ich nastraszył, prawda?

— Chyba tak. W wiosce zjawił się Promień, inny znachor. Bywał tu już przedtem. Według mnie niewiele z niego pożytku. Dwa lata temu nie pomógł krowie z zapaleniem wymienia i założę się, że jego maści to zwykły smalec. Powiedział Otakowi, że odbiera mu pracę. Pewnie Otak odrzekł mu coś niegrzecznie, od słowa do słowa stracili cierpliwość i może użyli czarnych zaklęć. Przynajmniej Otak. Wcale jednak nie skrzywdził Promienia. Sam upadł na ziemię. Teraz niczego nie pamięta, a Promień odszedł stąd bez szwanku. Ludzie mówią, że wszystkie dotknięte przez Otaka zwierzęta są silne i zdrowe. Spędził

na pastwiskach dziesięć dni, na wietrze i deszczu uzdrawiając krowy. I wiesz, jaką dostał zapłatę? Sześć miedziaków. Czy to dziwne, że się rozzłościł? Nie twierdzę jednak… — Ugryzła się w język i podjęła spokojniej: — Nie twierdzę, że czasami nie bywa dziwny. Tak jak wiedźmy i czarodzieje. Może tak być musi? W końcu mają do czynienia z różnymi mocami, ze złem. Lecz to uczciwy człowiek, uprzejmy.

— Dobrodziejko, czy mógłbym opowiedzieć ci pewną historię? — spytał Jastrząb.

— Jesteś bajarzem? Czemu od razu o tym nie wspomniałeś? Tym się zajmujesz? Zastanawiałam się, czemu podróżujesz w środku zimy. Sądząc po koniu, uznałam, że musisz być kupcem. Opowiesz coś? Ogromnie mnie tym uradujesz. Im dłuższa historia, tym lepiej. Najpierw jednak zjedz zupę i pozwól, że usiądę…

— Nie jestem prawdziwym bajarzem, dobrodziejko — odparł z miłym uśmiechem — ale mam dla ciebie historię.

Kiedy już zjadł zupę, a ona usiadła z robótką w ręku, zaczął opowiadać:

— Na Morzu Najgłębszym, na Wyspie Mędrców, Roke, gdzie naucza się wszelkiej magii, żyje dziewięciu mistrzów…

Dar z błogim uśmiechem zamknęła oczy, słuchając słów Jastrzębia.

Wymienił wszystkich Mistrzów: Sztuk i Ziół, Wzorów i Przywołań, Wiatrów i Pieśni, Imion i Przemian.

— Przemiany i przywołania to niebezpieczne sztuki. Przemianę bądź transformację może zdarzyło ci się oglądać, dobrodziejko. Nawet zwykły czarownik umie tworzyć iluzje, zmieniać jedną rzecz w inną i przyjmować z pozoru obcą postać. Widziałaś to?

— Tylko o tym słyszałam — szepnęła.

— A czasami wiedźmy i czarownicy mówią, że potrafią przywołać zmarłych. Może dziecko opłakiwane przez rodziców. W ciemności chaty wiedźmy słyszą jego płacz bądź śmiech…

Skinęła głową.

— To też jedynie zaklęcia iluzji, złudzenia. Istnieją jednak prawdziwe przemiany i prawdziwe przywołania. Pomyśl, co za pokusa dla czarnoksiężnika. Cudownie jest latać na skrzydłach sokoła, dobrodziejko, i oglądać ziemię w dole sokolimi oczami. A przywoływanie, nazywanie prawdziwym imieniem, to wielka moc. Poznać prawdziwe imię znaczy zdobyć władzę. Wiesz o tym, dobrodziejko. I sztuka przywołań sprowadza się właśnie do tego. Cudownie jest móc przywołać obrazy i duchy dawno zmarłych, ujrzeć urodę Elfarran w sadach Solei, taką jaką widział ją Morred, gdy świat był jeszcze młody…

Jastrząb zniżył głos, mówił cicho, z powagą.

— Wracajmy do opowieści. Ponad czterdzieści lat temu na wyspie Ark, bogatej wyspie na Morzu Najgłębszym, na południowy wschód od Semel, urodził się chłopiec, syn służącego w domostwie władcy Ark. Nie należał do biedoty, lecz nikogo specjalnie nie obchodził. Jego rodzice zmarli młodo, toteż nikt nie zwracał uwagi na chłopca, póki nie objawił swych zdolności. Był niesamowity. Miał moc. Jednym słowem potrafił rozpalić bądź zgasić ogień, sprawić, że garnki i patelnie fruwały w powietrzu. Umiał zamienić mysz w gołębia i nakazać jej fruwać po wielkiej kuchni władcy Ark. A przerażony bądź rozgniewany, krzywdził innych. Kucharza, który znęcał się nad nim, oblał wrzątkiem, odwracając kocioł.

— Litości! — szepnęła Dar. Odkąd rozpoczął opowieść, nawet nie sięgnęła po igłę.

— Był tylko dzieckiem, a czarnoksiężników władcy trudno nazwać mędrcami, bo wobec chłopca brakło im mądrości i wyrozumiałości. Może się go bali. Skrępowali mu ręce i zakneblowali usta, by nie mógł rzucać zaklęć. Zamknęli go w piwnicy, w kamiennej celi. W końcu uznali, że został poskromiony. Wówczas odesłali go do stajni wielkiego gospodarstwa, świetnie sobie bowiem radził ze zwierzętami i uspokajał się w towarzystwie koni. Chłopak jednak pokłócił się ze stajennym i zamienił biedaka w kupę gnoju. Czarnoksiężnicy zmienili ją z powrotem w stajennego, ponownie związali chłopca, zakneblowali i wsadzili na statek płynący na Roke. Uznali, że może tamtejsi mistrzowie zdołają go poskromić.

— Biedne dziecko — westchnęła.

— Istotnie, bo marynarze też się go bali i nie rozwiązywali całą drogę. Gdy chłopak stanął przed Wielkim Domem na Roke, Odźwierny rozwiązał mu ręce i uwolnił język. Dzieciak zaś od razu wywrócił długi stół w jadalni do góry nogami, skwasił piwo, a ucznia, który próbował go powstrzymać, zamienił w świnię. W osobach mistrzów spotkał jednak godnych przeciwników.

Nie ukarali go, lecz spętali jego nieujarzmioną moc zaklęciami i zaczęli przekonywać, by *zaczai* się uczyć. Wymagało to wiele czasu. Chłopak miał w sobie buntowniczego ducha, nakazującego mu traktować każdą moc, jakiej nie posiadał, każdą rzecz, której nie znał, jako groźbę, wyzwanie. Coś, z czym należy walczyć, póki się tego nie pokona. Znałem wielu podobnych chłopców. Sam byłem jednym z nich. Miałem jednak szczęście i wcześnie dostałem nauczkę.

W końcu chłopiec opanował swój gniew i zaczął władać mocą — a moc miał ogromną. Wszystko przychodziło mu bardzo łatwo, zbyt łatwo. Gardził więc iluzjami, zaklinaniem pogody, a nawet uzdrawianiem, bo nie stanowiły dla niego żadnego wyzwania. Nie krył się w nich lęk. Nie dostrzegł w nich niczego ciekawego. Gdy zatem Arcymag Nemmerle obdarzył go prawdziwym imieniem, chłopiec zajął

się wielką niebezpieczną sztuką przywołań. Długi czas pobierał nauki u jej mistrza.

Mieszkał na Roke, bo tam gromadzi się i przechowuje wszelką magiczną wiedzę. Nie pragnął wcale podróżować i poznawać ludzi, nie chciał oglądać świata. Twierdził, że może przywołać do siebie wszystko i obejrzeć. Rzeczywiście. I może w tym właśnie kryło się największe niebezpieczeństwo.

Istnieje jedna rzecz zabroniona magom zajmującym się przywołaniami, wszelkim czarnoksiężnikom — wezwanie żywego ducha. Możemy posyłać innym ludziom swój głos lub obraz, iluzję. Nie wolno nam jednak ich przywoływać, ducha ani ciała. Tylko zmarłych. Tylko cienie. Rozumiesz, dobrodziejko, czemu tak musi być? Jeśli mag przywoła żywego człowieka, będzie miał nad nim absolutną władzę, nad ciałem i umysłem. Nikt, nieważne jak mądry czy potężny, nie może władać innymi i ich wykorzystywać.

W chłopcu jednak, gdy dorósł i stał się mężczyzną, wciąż tkwił duch rywalizacji. To częste na Roke. Być lepszym niż inni, zawsze pierwszym… Sztuka zamienia się w pojedynek, w grę. Cel staje się środkiem wiodącym do innego, mniej ważnego celu. Na Roke nie było nikogo o większych zdolnościach niż ów człowiek. Trudno jednak było mu znieść, jeśli ktokolwiek zrobił coś lepiej. Przerażało go to i złościło.

Nie było dla niego miejsca wśród mistrzów — wybrano właśnie nowego Mistrza Przywołań, młodego mężczyznę w pełni sił, który mógł żyć wiele lat. Człowiek, o którym opowiadam, wśród uczonych i nauczycieli cieszył się sławą, nie był jednak jednym z Dziewięciu. Pominięto go. Może nie powinien był zostawać na wyspie, stale przebywać wśród czarnoksiężników i magów, wśród chłopców studiujących magię, łaknących mocy, coraz więcej mocy, stale próbujących przewyższyć innych. Lata płynęły, a on coraz bardziej oddalał się od innych, zatopiony w studiach w komnacie na wieży. Przyjmował niewielu uczniów, rzadko się odzywał. Mistrz Przywołań przysyłał mu czasem uzdolnionych chłopców, lecz większość prawie nie wiedziała o jego istnieniu. W samotności zaczął praktykować sztuki, po które sięgać nie należy, bo nie przyjdzie z nich nic dobrego.

Mag zajmujący się przywołaniami przy wyka do wzywania duchów, które zjawiają się na jego wezwanie i odchodzą, gdy je odprawi. Może ów człowiek zaczął myśleć: Kto mi zabroni uczynić to samo z żywymi ludźmi? Po co mi moc, jeśli nie mogę z niej skorzystać? Jął zatem wzywać do siebie żywych, ludzi z Roke, których się lękał, uważał za rywali, bo zazdrościł im mocy. Kiedy się zjawiali, przywłaszczał sobie ich moc i tak osłabionych zmuszał do milczenia. Nie mogli opowiedzieć, co ich spotkało. Sami nie wiedzieli.

W końcu przywołał swego mistrza, Mistrza Przywołań z Roke. Zaskoczył go kompletnie.

Lecz Mistrz Przywołań walczył, zarówno ciałem, jak i duchem. Wezwał mnie i przybyłem. Rozpoczęliśmy walkę przeciw woli, która pragnęła nas zniszczyć.

Zapadła noc. Lampa Dar zamigotała i zgasła. Tylko czerwony blask ognia oświetlał twarz Jastrzębia, która wyglądała już inaczej. Była znużona, twarda, z jednej strony pokryta bliznami. Oblicze prawdziwego jastrzębia, pomyślała Dar. Słuchała w milczeniu.

— Nie jest to opowieść bajarza, dobrodziejko. Nie usłyszysz jej od nikogo innego.

Działo się to wkrótce po tym, jak obrano mnie Arcymagiem. Byłem młodszy niż człowiek, z którym walczyliśmy. Może nie dość się go bałem. Wspólnie zdołaliśmy stawić mu opór w cichej celi na wieży. Nikt inny nie wiedział o naszej walce, a trwała bardzo długo. I nagle pokonaliśmy go. Pękł niczym patyk. Złamaliśmy go, ale uciekł. Mistrz Przywołań zużył część swojej mocy, pokonując ową ślepą wolę, a mnie zabrakło sił, by go powstrzymać, kiedy uciekał, i mądrości, żeby posłać kogoś za nim. Nie starczyło mi sił, bym sam podążył jego śladem. I tak zniknął z Roke.

Rzadko i niechętnie wspominaliśmy tę walkę. Wielu miejscowych poczuło ulgę na wieść o jego odejściu, bo zawsze był na wpół obłąkany, a pod koniec zupełnie oszalał.

Kiedy jednak wraz z Mistrzem Przywołań uleczyliśmy nasze dusze i otępienie umysłu następujące po takiej walce, zaczęliśmy myśleć, że nie można pozwolić, by człowiek o tak wielkiej mocy, mag, wałęsał się po Ziemiomorzu, oszalały, pełen złości, wstydu i złakniony zemsty.

Nie potrafiliśmy odkryć żadnego śladu. Bez wątpienia, opuszczając Roke, zamienił się w rybę bądź ptaka i dotarł na inną wyspę. Zresztą czarnoksiężnik potrafi ukryć się przed wszystkimi zaklęciami odnajdującymi. Rozesłaliśmy wici, prosząc o pomoc w sposób nam właściwy, jednak nie uzyskaliśmy żadnej odpowiedzi. Wyruszyliśmy zatem na poszukiwania, Mistrz Przywołań na wschodnie wyspy, a ja na zachodnie, kiedy bowiem myślałem o tym człowieku, oczami ducha widziałem wielką górę o kształcie stożka i rozległą zieloną równinę u jej podnóża. Przypomniałem sobie lekcje geografii z dzieciństwa, krajobraz wyspy Semel i wulkan Andanden. Przybyłem zatem na Górskie Moczary. Myślę, że dobrze trafiłem.

Zapadła cisza. Ogień szeptał bezgłośnie.

— Mam z nim pomówić? — zapytała spokojnie Dar.

— Nie trzeba — odparł mężczyzna podobny do sokoła. — Sam to zrobię. — Po czym rzekł: — Irioth.

Spojrzała na drzwi sypialni. Otwarły się i stanął w nich Otak, wychudzony i zmęczony. Ciemne oczy miał pełne snu, oszołomienia i bólu.

— Ged — powiedział. Skłonił głowę. Po chwili uniósł wzrok. —

Odbierzesz mi imię?

— Czemu miałbym to zrobić?

— Kryje się w nim tylko cierpienie, nienawiść, duma, zachłanność.

— Te rzeczy ci odbiorę, Irioth, ale nie twoje imię.

— Nie rozumiałem — rzekł Irioth. — Nie wiedziałem, że chodzi o innych. Że powinni pozostać inni. Wszyscy jesteśmy inni. Musimy być. Źle postępowałem.

Człowiek zwany Gedem podszedł do niego i ujął błagalnie wyciągnięte dłonie.

— Zbłądziłeś. Ale wróciłeś. Jesteś jednak zmęczony, Irioth, a samemu trudno pokonać przeszkody. Wróć ze mną do domu.

Iriothowi głowa opadła na piersi, jakby zmogło go dogłębne znużenie. Z ciała zniknęło wszelkie napięcie, podniecenie. Gdy jednak uniósł wzrok, nie patrzył na Geda, lecz na Dar siedzącą cicho przy palenisku.

— Mam tu pracę — rzekł.

Ged także spojrzał na gospodynię.

— Owszem — przytaknęła. — Leczy krowy.

— Pokazują mi, co mam robić — ciągnął Irioth. — Kim jestem. Znają moje imię, ale nigdy go nie wymawiają.

Po dłuższej chwili Ged łagodnie przyciągnął go do siebie i objął. Powiedział coś cicho. Potem opuścił ręce. Irioth głęboko odetchnął.

— Tam na nic się nie przydam, Ged, rozumiesz? A tu jestem potrzebny. Jeśli pozwolą mi pracować. — Ponownie zerknął na Dar. Ged także. Patrzyła na nich obu.

— Co powiesz, Emer? — spytał człowiek podobny do jastrzębia.

— Powiem — odparła cichym piskliwym głosem, zwracając się do znachora — że jeśli krowy Olchy przetrwają zimę, gospodarze będą błagali, byś został. Choć zapewne nie będą cię kochać.

— Nikt nie kocha czarodzieja — rzekł Arcymag. — I co, Irioth? Pokonałem długą drogę i będę musiał wrócić samotnie?

— Powiedz im… powiedz, że się myliłem — szepnął Irioth. — Że źle postępowałem. Powiedz Thorionowi… — urwał, wyraźnie zagubiony.

— Powiem mu, że zmiana dotykająca ludzkiego życia może wykraczać poza znaną nam sztukę i całą naszą mądrość — rzekł Arcymag. Ponownie spojrzał na Emer. — Czy on może tu zostać, dobrodziejko? Tego sobie życzysz?

— Dziesięciokrotnie bardziej pomaga mi i jest dziesięciokroć milszy niż mój brat — odparła. — To miły, uczciwy człowiek, jak już mówiłam, panie.

— Doskonale zatem. Irioth, mój drogi druhu, nauczycielu, przeciwniku, przyjacielu… żegnaj. Emer, dzielna kobieto, pozdrawiam

cię i dziękuję. Oby twój duch i twój dom zaznały pokoju. — Uczynił nad paleniskiem gest, po którym na moment pozostała w powietrzu roziskrzona smuga. — Pójdę już do obory — dodał i odszedł.

Drzwi się zamknęły. Nastała cisza, jedynie ogień syczał i poszeptywał.

— Podejdź do paleniska — powiedziała Dar. Irioth zbliżył się w milczeniu i usiadł na ławie.

— Czy to jest Arcymag? Naprawdę? Skinął głową.

— Arcymag całego świata — westchnęła. — W mojej oborze! Powinien zająć moje łóżko…

— Nie zrobiłby tego — rzekł Irioth. Wiedziała, że miał rację.

— Masz piękne imię, Irioth — szepnęła po chwili. — Nigdy nie znałam prawdziwego imienia mojego męża. Ani on mojego. Twojego nie wymówię ponownie. Cieszę się jednak, że je poznałam, bo ty znasz moje.

— Twoje imię jest piękne, Emer — odparł. — Wymówię je jeszcze nieraz, jeśli zechcesz.

WAŻKA

I. IRIA

Do przodków Ważki należał wielki majątek ziemski na rozległej, bogatej wyspie Way i choć w czasach królów ród nie miał żadnych tytułów ni nadań, przez Mroczne Lata po upadku Mahanona majątek i ludzie pozostawali w ich rękach. Kolejni panowie inwestowali zyski, utrzymywali prawo na swych ziemiach i walczyli z kolejnymi, drobnymi tyranami. Kiedy zaś w Archipelagu zapanował pokój i porządek pod wodzą mędrców z Roke, jakiś czas ród i chłopi żyli w dostatku. Ów dostatek i uroda łąk i górskich pastwisk wśród wzgórz zwieńczonych dębowymi koronami sprawiły, że nazwa majątku stała się powszechnie znana. Ludzie mawiali “tłuste jak krowy w Irii" albo “szczęśliwy jak Irianin". Władcy i wielu spośród sług dodawali nazwę krainy do własnych imion, zowiąc się Irianami. Lecz o ile rolnicy i pasterze trwali niezmienni od jednej pory roku do drugiej, z pokolenia na pokolenie, niewzruszeni niczym dęby, ród, do którego należała ziemia, zmieniał się z upływem czasu, z woli przypadku.

Podzieliła go kłótnia dwóch braci. Jeden z chciwości źle zarządzał majętnością, drugi czynił to samo z głupoty; jeden miał córkę, wydał ją za kupca, a ona próbowała zarządzać swą częścią majętności z miasta; drugiemu urodził się syn, jego synowie znów się pokłócili i kolejny raz podzielili już podzieloną ziemię. W czach gdy na świat przyszła dziewczyna zwana Ważką, cała Iria, choć wciąż szczycąca się najpiękniejszymi wzgórzami, polami i łąkami w Ziemiomorzu, stała się obiektem niekończących się sporów i oskarżeń. Gospodarstwa podupadały, domy stały w ruinie, stodoły świeciły pustką, a pasterze podążali za stadami za góry na lepsze pastwiska. Stary dwór wzniesiony pośrodku majątku niszczał na wzgórzu wśród dębów.

Należał do jednego z czterech mężczyzn roszczących sobie prawa do tytułu pana Irii. Pozostali trzej nazywali go panem Starej Irii. Całą młodość poświęcił walkom w sądach i korytarzach władców Way w Shelieth, próbując dowieść swych praw do majętności w granicach sprzed stu lat. W końcu powrócił do domu, zgorzkniały, pokonany. Przez resztę życia zajmował się głównie piciem cierpkiego czerwonego wina z ostatniej winnicy i wędrówkami wokół posiadłości ze stadem zaniedbanych, niedożywionych psów, mających nie dopuszczać intruzów na jego ziemię.

Podczas pobytu w Shelieth ożenił się z kobietą, której nie znał nikt z Irii, pochodziła bowiem z innej wyspy, leżącej gdzieś na zachodzie — tak mówiono. Nie towarzyszyła mu, bo zmarła w połogu w mieście. Gdy powrócił, przywiózł ze sobą trzyletnią córkę. Oddał małą na wychowanie gospodyni i zupełnie o niej zapomniał. Czasami, gdy się upił, przypominał sobie o istnieniu dziewczynki i jeśli zdołał ją

znaleźć, kazał jej stać obok swego krzesła albo brał ją na kolana. Musiała słuchać opowieści o wszystkich krzywdach, jakie wyrządzono tak jemu, jak i rodowi z Irii. Przeklinał wówczas, krzyczał i pił, zmuszając ją, by także piła i przysięgała czcić swe dziedzictwo i dochować wierności Irii. Mała Ważka posłusznie przełykała wino, nienawidziła jednak przekleństw, przysiąg, łez i następujących po nich obleśnych mokrych pocałunków. Gdy tylko mogła, uciekała do psów, koni i bydła. W ich obecności przysięgała, że dochowa wierności matce, której nikt nie znał ani nie czcił poza nią samą.

Gdy skończyła trzynaście lat, gospodyni i stary opiekun winnicy — jedyna służba pozostała jeszcze we dworze — przypomnieli panu, że czas już nadać córce imię. Spytali, czy mają posłać po czarownika z Zachodniego Stawu, czy też wystarczy wioskowa czarownica. Pan Irii zawrzał gwałtownym gniewem.

— Wioskowa czarownica? Wiedźma miałaby nadać córce Irii prawdziwe imię? Czy może zdradziecki czarodziej, sługa samozwańców, którzy ukradli memu dziadowi Zachodni Staw? Jeżeli ten śmierdziel postawi stopę na mojej ziemi, poszczuję go psami, które wyrwą mu wątrobę! Powiedzcie mu to, jeśli chcecie.

I tak dalej. Stara Stokrotka wróciła do kuchni, stary Królik do swych winorośli, a trzynastoletnia Ważka wybiegła z domu i popędziła za wzgórze do wioski, obsypując ojcowskimi wyzwiskami psy, które oszalałe z podniecenia biegły za nią i ujadały donośnie.

— Wracajcie, wy niewdzięczne sucze syny! — wrzeszczała. — Do domu, podstępni zdrajcy!

Psy umilkły i ze spuszczonymi ogonami potruchtały z powrotem.

Ważka znalazła wioskową czarownicę, która zajmowała się właśnie wydłubywaniem robaków z zakażonej rany na zadzie owcy. Jej codzienne imię, podobnie jak wielu kobiet na Way i innych wyspach Archipelagu Hardyckiego, brzmiało Róża. Ludzie obdarzeni tajnymi imionami, kryjącymi w sobie ich moc tak jak diament skrywa światło, często wolą na co dzień nazywać się zwyczajnie.

Róża mamrotała pod nosem zaklęcie, lecz większość pracy wykonywały jej dłonie i krótki ostry nóż. Owca cierpliwie znosiła kolejne nacięcia. Jej półprzejrzyste bursztynowe oczy spoglądały w dal. Milczała, od czasu do czasu tupiąc tylko przednim kopytkiem i wzdychając. Ważka przyjrzała się uważnie pracy czarownicy. Róża wydobyła kolejnego robaka, rzuciła na ziemię, splunęła na niego i znów zaczęła drążyć ranę. Dziewczyna przytuliła się do owcy, a owca do dziewczyny; jedna pocieszała drugą. Róża wyciągnęła, upuściła i opluła ostatniego robaka.

— Podaj mi cebrzyk — poleciła. Przemyła ranę słoną wodą. Owca westchnęła głęboko i nagle ruszyła naprzód, zmierzając do domu. Miała już dosyć zabiegów.

— Zając! — zawołała Róża.

Spod krzaka wynurzył się umorusany, zaspany chłopczyk i ruszył w ślad za zwierzęciem. Owca, którą miał się opiekować, była starsza, większa, lepiej odżywiona i prawdopodobnie mądrzejsza od niego.

— Mówią, że powinnaś nadać mi imię — powiedziała Ważka. — Ojciec wpadł we wściekłość. I tyle.

Czarownica milczała, myjąc nóż i ręce w słonej wodzie. Wiedziała, że dziewczyna ma rację. Gdy pan Irii raz już coś postanowił, nigdy nie zmieniał zdania. Szczycił się tym, twierdząc, że tylko słabi ludzie mówią jedno, a robią drugie.

— Czemu nie mogę sama nadać sobie prawdziwego imienia? — spytała Ważka.

— To niemożliwe.

— Czemu nie? Dlaczego to musi być wiedźma albo czarodziej? Co wy naprawdę robicie?

— No cóż… — Róża wylała wodę na piasek przed domem, który jak większość domów czarownic stał na uboczu. — Cóż… — powtórzyła, prostując się i rozglądając, jakby szukała odpowiedzi, owcy bądź ręcznika. — Widzisz, żeby nadać imię, trzeba znać się na mocy — odparła w końcu, jednym okiem patrząc na Ważkę. Jej drugie oko uciekało w bok. Czasami Ważce zdawało się, że Róży zezuje lewe oko, czasami miała wrażenie, że prawe, zawsze jednak jedno z nich spoglądało prosto, a drugie obserwowało coś z boku, coś innego, ukrytego.

— Jakiej mocy?

— Jedynej — powiedziała krótko Róża.

Równie niespodziewanie jak wcześniej owca czarownica także wstała i odeszła do domu. Ważka ruszyła za nią, ale tylko do drzwi. Nikt nie wchodzi nieproszony do domu czarownicy.

— Mówiłaś, że ją mam — rzekła dziewczyna wprost w cuchnący mrok jednoizbowej chaty.

— Mówiłam, że masz w sobie siłę, wielką siłę — odparła z ciemności czarownica. — Ty także o tym wiesz. Nie mam pojęcia, co powinnaś zrobić. Ty też nie. Trzeba się tego dowiedzieć. Ale nie jest to moc pozwalająca ci nadać sobie imię.

— Czemu nie? Czy jest coś bardziej mojego niż moje prawdziwe imię?

Zapadła długa cisza.

Czarownica wynurzyła się z mroku, niosąc w dłoniach kołowrotek z kamiennym wrzecionem i kłąb tłustej wełny. Usiadła na ławce przy drzwiach, puściła w ruch kołowrotek. Nim odpowiedziała, uprzędła jard szarobrązowej włóczki.

— Moje imię to ja, istotnie, ale czym właściwie jest imię? Tak nazywają mnie inni. Jeśli nie ma innych, tylko ja sama, to po co mi

imię?

— Ale… — zaczęła Ważka i umilkła, schwytana w pułapkę argumentów. Po chwili dodała: — Zatem imię musi być darem?

Róża przytaknęła.

— Daj mi moje imię, Różo — poprosiła dziewczyna.

— Twój ojciec nie pozwala.

— Ale ja proszę.

— On jest tu panem.

— Może pozbawiać mnie majątku, nauk, wszelkich dóbr, ale nie imienia!

Czarownica westchnęła jak owca, niepewna, niespokojna.

— Dziś wieczorem — powiedziała Ważka — przy źródle, pod Wzgórzem Irii. Ojciec nic nie zrobi, bo nie będzie wiedział. — W jej głosie dawało się wyczuć błagalne napięcie.

— Powinnaś mieć uczciwy dzień nadania imienia, ucztę i tańce, jak każdy — zaprotestowała wiedźma. — Imię nadaje się o wschodzie słońca. A potem muzyka i zabawy, nie ukradkowe nocne spotkanie, o którym nikt nie wie…

— Ja będę wiedziała. Skąd wiesz, jakie imię nadać, Różo? Mówi ci o tym woda?

Wiedźma jeden jedyny raz pokręciła szarosiwą głową.

— Nie mogę ci powiedzieć. — Jej “nie mogę" nie oznaczało “nie powiem". Ważka czekała cierpliwie. — To moc, jak już mówiłam. Po prostu się zjawia. — Róża przestała prząść i uniosła wzrok. Jedno oko spoglądało na chmurę na zachodzie, drugie nieco dalej na północ. — Stoisz w wodzie wraz z dzieckiem, odbierasz mu dziecięce imię. Ludzie mogą korzystać z niego dalej na co dzień, ale nie jest to prawdziwe imię, nigdy nie było. Teraz dziecko nie jest już dzieckiem i nie ma imienia. Wtedy czekasz, otwierasz swój umysł, jakbyś otwierała drzwi domu, wpuszczając do środka wiatr, i nadchodzi. Twój język wymawia je, twój oddech je tworzy, nadajesz je dziecku. Oddech, imię. Nie myślisz; ono samo zjawia się w twojej głowie. Przez ciebie trafia do dziecka, do niego należy. To właśnie moc, tak to działa. Wszystko wygląda podobnie, nie jest to coś, co robisz. Musisz wiedzieć, jak pozwalać, by *rzeczy* robiły się same. Oto cała sztuka.

— Magowie potrafią więcej — wtrąciła dziewczyna.

— Nikt nie potrafi zdziałać więcej — odparła Róża.

Ważka pokręciła głową, wyciągając szyję tak mocno, że zatrzeszczały kręgi. Niespokojnie wyprostowała długie ręce i nogi.

— Zrobisz to? — spytała. Róża przytaknęła krótko.

Ciemną nocą, długo po zachodzie słońca, na długo przed świtem spotkały się na dróżce pod Wzgórzem Irii. Róża przywołała słabe magiczne światełko, tak by mogły przejść przez otaczające źródło moczary, nie zapadając się w bagno wśród trzcin. W zimnym mroku

pod kilkoma gwiazdami, ukryte w czarnym cieniu wzgórza rozebrały się i weszły do płytkiej wody. Ich stopy zapadły się głęboko w aksamitny muł. Czarownica dotknęła dłoni dziewczynki.

— Odbieram ci twoje imię, dziecko — rzekła. — Nie jesteś już dzieckiem. Nie masz imienia.

Wokół panowała cisza. Czarownica zniżyła głos do szeptu.

— Kobieto, bądź nazwana. Nazywasz się Irian.

Jeszcze przez chwilę milczały, a potem na nagich ramionach poczuły powiew nocnego wiatru. Dygocząc z zimna, wyszły na brzeg, wytarły się jak najdokładniej i bose, zmarznięte, ruszyły z powrotem, wśród ostrych trzcin i splątanych korzeni zmierzając ku dróżce. Tam Ważka odezwała się wściekłym, donośnym szeptem:

— Jak mogłaś tak mnie nazwać?! Czarownica nie odpowiedziała.

— To nie tak. To nie jest moje prawdziwe imię. Myślałam, że imię sprawi, iż stanę się sobą, ale ono wszystko pogarsza. Pomyliłaś się, jesteś tylko zwykłą czarownicą. Popełniłaś błąd. To jego imię. Może je sobie zabrać. Jest z niego taki dumny. Głupi majątek, głupi przodkowie. Ja go nie chcę. Nie zgadzam się. To nie ja. Wciąż nie wiem, kim jestem, ale nie Irian. — Nagle umilkła, wymówiwszy imię.

Jej towarzyszka wciąż milczała. Szły razem w ciemności, ramię przy ramieniu. W końcu pojednawczym, pełnym przerażenia tonem Róża szepnęła:

— To właśnie usłyszałam.

— Jeśli komukolwiek je powtórzysz, zabiję cię — warknęła Ważka.

Na te słowa czarownica przystanęła i syknęła jak kot.

— Miałabym powtórzyć? Ważka także się zatrzymała.

— Przepraszam — powiedziała po chwili — ale czuję się, jakbyś… jakbyś mnie zdradziła.

— Wymówiłam twoje prawdziwe imię. Nie brzmiało tak, jak sądziłam i nie czuję się z tym dobrze, zupełnie jakbym pozostawiła coś niedokończonego, ale to twoje imię. Jeśli cię zdradza, tak wygląda prawda o tobie. — Róża zawahała się, po czym z większym spokojem i chłodem dodała: — Pragniesz móc zdradzić mnie w odwecie, Irian? Proszę bardzo. Nazywam się Etaudis.

Znów powiał wiatr; obie drżały, szczękały zębami. Stały naprzeciw siebie na mrocznej drodze, ledwie widząc się nawzajem. Ważka wyciągnęła rękę i napotkała dłoń czarownicy. Objęły się mocno, gwałtownie. Długo stały bez ruchu. Potem pospieszyły naprzód — czarownica do swej chaty obok wioski, dziedziczka Irii na wzgórze do zrujnowanego domu. Psy, które wcześniej wypuściły ją bez kłopotów, przyjęły jej powrót ogłuszającym jazgotem. Obudziły wszystkich w promieniu pół mili, prócz pana domu, pijanego do nieprzytomności i śpiącego przy wygasłym palenisku.

II. KOŚĆ

Pan Irii z Zachodniego Stawu, Brzoza, nie był co prawda właścicielem starego dworu, zarządzał jednak najbogatszymi ziemiami całego majątku. Jego ojciec, którego bardziej interesowały sady i winnice niż spory z krewnymi, pozostawił mu w spadku kwitnącą majętność. Brzoza wynajmował ludzi zarządzających gospodarstwami i winnicami, bednarzy i przewoźników, sam natomiast rozkoszował się swym bogactwem. Poślubił nieśmiałą córkę młodszego brata władcy Wayfirth i z niegasnącym zachwytem powtarzał sobie, że w żyłach jego córek płynie szlachetna krew. Ówczesna moda nakazywała szlachetnie urodzonym trzymać na służbie czarnoksiężnika, prawdziwego czarnoksiężnika z laską i szarym płaszczem, wyszkolonego na Wyspie Mędrców. Toteż władca Irii z Zachodniego Stawu sprowadził sobie czarnoksiężnika z Roke. Zdumiało go, jak łatwo zdobyć podobnego człowieka, jeśli tylko zapłaci się stosowną cenę.

Młody mężczyzna zwany Kość nie miał jeszcze laski i płaszcza. Wyjaśnił, że zostanie pasowany na czarnoksiężnika, gdy wróci na Roke. Mistrzowie wysłali go w świat, by zdobył doświadczenie, bo wszelkie nauki w szkole nie zapewnią mężczyźnie doświadczenia, jakiego potrzebuje mag. Brzoza słuchał tego z lekkim powątpiewaniem, Kość jednak zapewnił, że nauki na Roke pozwoliły mu poznać wszelkie czary niezbędne w Irii, w Zachódnim Stawie, na wyspie Way. Aby tego dowieść, sprawił, że przez jadalnię przebiegło stadko saren, za którymi frunął klucz łabędzi; białe ptaki wpadły do środka przez południowy mur i odleciały za mur północny. Pośrodku stołu stanęła srebrna misa, a gdy pan i jego rodzina ostrożnie napełniali z niej kubki, odkryli, że piją słodkie złote wino.

— Wino z Andradów — oznajmił młodzieniec ze skromnym pogodnym uśmiechem, całkowicie zdobywając sobie serca żony i córek. Brzoza zaś pomyślał, że chłopak wart jest swojej ceny, choć osobiście wolał wytrawny czerwony faniański trunek z własnych winnic. Jeśli człowiek pragnął się upić, nie było nic lepszego. Żółty napój przypominał wodę z miodem.

Jeżeli młody czarodziej rzeczywiście pragnął zdobyć doświadczenie, to w Zachodnim Stawie nie znalazł go zbyt wiele. Za każdym razem, gdy dom Brzozy odwiedzali goście z Ujścia Kemberu albo z sąsiednich majątków, w jadalni pojawiało się stadko saren, łabędzie i źródło złocistego wina. Kość potrafił też w ciepłe wiosenne wieczory wyczarować piękne fajerwerki. Kiedy jednak u pana zjawiali się zarządcy sadów i winnic z prośbą, by czarnoksiężnik rzucił zaklęcie wzrostu na gruszki albo może ochronił faniańską winorośl na

południowym wzgórzu przed czarną *zarazą,* Brzoza mówił:

— Czarnoksiężnik z Roke nie zniża się do takich drobiazgów. Niech wioskowy czarodziej na coś się przyda.

A gdy najmłodsza córka zapadła na suchy kaszel, żona Brzozy nie śmiała nawet wspomnieć o tym młodemu magowi. Posłała niezwłocznie po Różę ze starej Irii, prosząc, by weszła tylnimi drzwiami i odśpiewała zaklęcie albo przygotowała okład, który przywróci dziewczynce zdrowie. Kość nie dostrzegł nawet choroby małej, nie widział też grusz ani winorośli. Trzymał się na uboczu, jak mądremu magowi przystało. Całymi dniami krążył po okolicy na pięknej karej klaczy, którą podarował mu pracodawca, gdy czarnoksiężnik dał mu jasno do zrozumienia, że nie po to przybył na Way z Roke, by taplać się w błocie na wiejskich drogach.

Podczas przejażdżek mijał czasami stary dwór na wzgórzu otoczony rosłymi dębami. Gdy skręcił z dróżki, zmierzając ku niemu, z domu wybiegła sfora wychudzonych rozwścieczonych psów. Klacz bała się ich, mogła się spłoszyć, toteż nie zbliżał się bardziej. Lubił jednak piękne widoki i spodobał mu się stary dwór drzemiący w rozproszonym świetle letniego popołudnia.

Spytał o niego Brzozę.

— To Iria — usłyszał. — To znaczy Stara Iria. Prawnie dwór powinien należeć do mnie, ale po stu latach sporów mój dziad zrezygnował z niego, bo miał już dosyć kłótni. Tamtejszy pan wciąż walczyłby ze mną o ziemię, gdyby nie to, że za dużo pije. Nie widziałem go od lat. Zdaje się, że ma córkę.

— Nazywają ją Ważka — wtrąciła najmłodsza córka Brzozy, Róża. — Tak naprawdę to ona wszystkim rządzi. Widziałam ją raz w zeszłym roku, jest wysoka i piękna jak kwitnące drzewo. — Dziewczynka próbowała jak najwięcej dowiedzieć się o życiu w czternaście lat, jakie wyznaczył jej los. Nagle urwała, wstrząsana gwałtownym atakiem kaszlu. Matka posłała czarnoksiężnikowi zbolałe, błagalne spojrzenie. Z pewnością tym razem młody człowiek zauważy, co się dzieje. Uśmiechnął się do Róży i serce matki zabiło szybciej. Nie uśmiechałby się tak chyba, gdyby jej kaszel oznaczał coś poważnego?

— Ich sprawy nas nie dotyczą — uciął niechętnie Brzoza.

Taktowny Kość nie pytał już więcej, pragnął jednak zobaczyć dziewczynę piękną niczym kwitnące drzewo, zaczął więc regularnie przejeżdżać obok starej Irii. Próbował odwiedzić wioskę u stóp wzgórza i wypytać mieszkańców, lecz nie miał się gdzie zatrzymać i nikt nie chciał odpowiadać na pytania. Czarownica o nieprzyjaznych oczach na jego widok umknęła do swej chaty. Gdyby udał się wprost do dworu, musiałby stawić czoło stadu rozwścieczonych psów i prawdopodobnie pijanemu właścicielowi. Warto jednak zaryzykować,

pomyślał. Śmiertelnie nudziło go spokojne życie w Zachodnim Stawie, a niebezpieczeństwu nigdy nie dał się zniechęcić. Wjechał zatem na wzgórze i po chwili otoczyła go sfora ujadających psów. Klacz wierzgnęła, odpędzając je kopytami. Gdyby nie uspokajające zaklęcie i silna dłoń jeźdźca, z pewnością by się spłoszyła i poniosła. Psy skakały teraz ku jego nogom. Już miał zawrócić, gdy wśród sfory pojawił się człowiek wykrzykujący przekleństwa i wymierzający razy rzemieniem. W końcu Kość zdołał uspokoić spienioną, zdenerwowaną klaczkę. Uniósł wzrok i ujrzał dziewczynę piękną jak kwitnące drzewo. Była bardzo wysoka, zlana potem, miała wielkie dłonie i stopy, usta, nos i oczy, a na głowie czuprynę przykurzonych włosów.

— Spokój! — wrzeszczała. — Do domu, ścierwa, sucze syny! Psy skomlały i kuliły się w obliczu jej gniewu.

Kość przycisnął dłoń do łydki. Z rozdartej przez psie zęby nogawicy sączyła się strużka krwi.

— Zrobiły jej krzywdę? — spytała kobieta. — Zdradzieckie szczury. — Gładziła prawą przednią nogę klaczy. Uniosła mokrą od zakrwawionego potu dłoń. — Już dobrze, dobrze. Dzielna dziewczynka, dzielna mała.

Klacz pochyliła łeb i zarżała z ulgą.

— Czemu kazałeś stać jej tutaj pośród sfory psów? — spytała gniewnie kobieta. Klęczała obok końskiej nogi, spoglądając w górę na jeźdźca, który patrzył na nią z siodła. W jej obecności jednak czuł się niski, mały.

Nie czekała na odpowiedź.

— Poprowadzę ją — oznajmiła, wstając i sięgając do wodzów. Kość zrozumiał, że powinien zsiąść.

— To coś poważnego? — spytał, zerkając na nogę klaczy. Dostrzegł jedynie jasną krwawą pianę.

— Chodź, kochanie — powiedziała młoda kobieta. Nie zwracała się do niego. Klacz podążyła za nią ufnie.

Szli razem, kierując się kamienną ścieżką na wzgórze do starej stajni z kamienia i cegły. Budynek stał pusty, gnieździły się w nim jaskółki śmigające wokół dachu i wymieniające piskliwe plotki.

— Spróbuj ją uspokoić — poleciła młoda kobieta, oddała mu wodze i wyszła. Po jakimś czasie wróciła, taszcząc ciężki cebrzyk. Zaczęła przemywać klaczy nogę. — Zdejmij jej siodło — rzuciła. Tonem jasno dawała do zrozumienia, że uważa go za głupca.

Kość posłuchał, na wpół zirytowany obcesowym zachowaniem olbrzymki, a na wpół zaintrygowany. Zupełnie nie kojarzyła mu się z kwitnącym drzewem, taka potężna i gwałtowna, rzeczywiście jednak była piękna na swój sposób. Klacz całkowicie poddała się jej dotykowi. Gdy kobieta poleciła: “Przesuń nogę", klacz posłuchała. Nieznajoma wytarła ją starannie, ponownie zarzuciła na grzbiet derkę i

dopilnowała, by koń stanął w słońcu.

— Nic jej nie będzie — oznajmiła. — Jeśli cztery, pięć razy dziennie będziesz przemywał skaleczenie ciepłą słoną wodą, szybko się zagoi. Bardzo mi przykro.

Ostatnie słowa zabrzmiały szczerze, choć niechętnie, jakby wciąż zastanawiała się, czemu naraził swego konia na atak sfory psów. Po raz pierwszy spojrzała wprost na niego. Oczy miała pomarańczowobrązowe, niczym ciemny topaz bądź bursztyn. Dziwne oczy, dokładnie na wysokości jego własnych.

— Mnie także — odparł, próbując mówić lekkim, beztroskim tonem.

— To klacz z Irii Zachodniego Stawu. Jesteś tamtejszym czarnoksiężnikiem?

Ukłonił się.

— Kość z Wielkiego Portu Havnor, do usług. Czy mógłbym…

— Sądziłam, że jesteś z Roke — wtrąciła.

— Istotnie — przytaknął, odzyskując panowanie nad sobą.

Obserwowała go swymi niezwykłymi oczami, równie nieprzeniknionymi jak oczy owcy. W końcu nie wytrzymała i zasypała go pytaniami.

— Mieszkałeś tam? Studiowałeś? Znasz Arcymaga?

— Tak — odparł z uśmiechem. Potem skrzywił się i ścisnął dłonią łydkę.

— Jesteś ranny.

— To nic wielkiego — mruknął.

Rzeczywiście ku jego irytacji skaleczenie przestało krwawić. Wzrok kobiety powędrował z powrotem ku jego twarzy.

— Jak tam jest? Jak jest na Roke?

Kość, lekko kulejąc, podszedł do starego koziołka i usiadł. Wyciągnął nogę, odsłaniając skaleczenie.

— Opowieść o Roke wymaga dużo czasu — rzekł. — Ale chętnie ci go poświęcę.

***

— Ten człowiek to czarnoksiężnik, albo prawie czarnoksiężnik — powiedziała czarownica Róża. — Czarnoksiężnik z Roke! Nie wolno ci o nic go pytać. — Była więcej niż oburzona, była przerażona.

— On nie ma nic przeciw temu — zapewniła ją Ważka — tyle że prawie w ogóle nie odpowiada.

— Oczywiście.

— Czemu oczywiście?

— Bo to czarnoksiężnik. A ty jesteś kobietą, pozbawioną talentu, wiedzy, zdolności.

— Mogłaś mnie uczyć, ale nie chciałaś.

Róża pstryknięciem palców zlekceważyła swoje nauki.

— Muszę zatem uczyć się od niego — dodała Ważka.

— Czarnoksiężnicy nie uczą kobiet. Zadurzyłaś się w nim.

— Ty wymieniasz się zaklęciami z Miotłą.

— Miotła to wioskowy czarodziej. Ten jest kimś więcej. Poznał najwyższą sztukę w Wielkim Domu na Roke!

— Powiedział mi, jak tam jest — przerwała jej Ważka. — Najpierw przechodzi się przez miasto, Thwil. Z ulicy widać drzwi, ale zamknięte. Wyglądają zupełnie zwyczajnie. — Czarownica słuchała, niezdolna oprzeć się pokusie poznawania sekretów, zarażona namiętnością towarzyszki. — Kiedy zapukasz, wychodzi z nich mężczyzna, zupełnie zwyczajny *mężczyzna i* poddaje cię próbie. Musisz wymówić pewne słowo, hasło. Dopiero wtedy cię wpuści. Jeśli tego słowa nie znasz, nigdy nie wejdziesz do środka, ale jeżeli przekroczysz próg, zobaczysz, że od wewnątrz drzwi wyglądają zupełnie inaczej. Zrobione są z rogu *z* wyrzeźbionym pośrodku drzewem, a framugę mają z jednego zęba smoka, który żył dawno temu, przed Erreth-Akbem, przed Morredem, zanim w Ziemiomorzu zjawili się ludzie. Na początku żyły tu tylko smoki. Ząb znaleziono na górze Onn w Havnorze, pośrodku świata, a liście wyrzeźbionego drzewa są tak cienkie, że prześwieca przez nie światło. Same drzwi jednak są mocne i jeśli Odźwierny je zamknie, nikt nie zdoła ich otworzyć zaklęciem. Potem Odźwierny prowadzi korytarzem przez kolejne sale, przybysz czuje się kompletnie zagubiony i oszołomiony i nagle znajduje się pod otwartym niebem na Podwórcu Fontanny, w sercu Wielkiego Domu. Tam właśnie czekałby Arcymag, gdyby wciąż tam był…

— Mów dalej — mruknęła czarownica.

— To wszystko co mi opowiedział — odparła Ważka, powracając z krainy wspomnień na jakże znajomą dróżkę przed domem Róży. Był ciepły, pochmurny wiosenny dzień. Jej siedem mlecznych owiec pasło się na Wzgórzu Irii. Brązowe gałęzie dębów kołysały się lekko. — Jest bardzo ostrożny, gdy opowiada o swych mistrzach.

Róża skinęła głową.

— Ale opowiedział mi o niektórych uczniach — ciągnęła Ważka.

— Nie ma w tym nic złego.

— No nie wiem. Historie o Wielkim Domu są cudowne, ale sądziłam, że ci ludzie będą… sama nie wiem. Oczywiście gdy tam przybywają, są zwykłymi chłopcami, ale myślałam… — marszcząc brwi, spojrzała na pasące się na wzgórzu owce. — Niektórzy są na

prawdę źli i głupi — powiedziała w końcu cicho. — Wstępują do Szkoły, bo są bogaci, i studiują, by wzbogacić się jeszcze bardziej albo by zdobyć władzę.

— Ależ oczywiście — wtrąciła Róża. — Po to tam są.

— Lecz moc… przecież mi opowiadałaś, to nie to samo co zmuszanie ludzi, by spełniali twoje życzenia albo ci płacili…

— Czyżby? — Nie.

— Skoro słowo potrafi leczyć, inne słowo potrafi ranić. Skoro ręką możesz zabijać, ręką możesz też uzdrawiać. Kiepski to wóz który jeździ tylko w jedną stronę.

— Lecz na Roke uczą się właściwie wykorzystywać swą moc, tak by nie czynić szkody i nie dla zysku.

— Według mnie w sumie wszystko sprowadza się do zysku. Ludzie muszą jakoś żyć. Ale co ja mogę wiedzieć? Zarabiam na życie, robiąc to, co umiem, nie mieszam się jednak do sztuk wyższych, jak przywoływanie zmarłych. To niebezpieczne. — Róża uczyniła gest odwracający zły urok.

— Wszystko jest niebezpieczne — odparła Ważka, spoglądając ponad owcami, wzgórzem i drzewami w bezbarwną, rozległą pustkę, martwą niczym niebo przed wschodem słońca.

Róża obserwowała ją uważnie. Zdawała sobie sprawę, że nie wie, kim jest Irian, kim może się stać. Owszem, to rosła, silna, niezręczna, niewykształcona, niewinna, gniewna kobieta, ale jeszcze przed laty Róża dostrzegła w niej, w małej dziewczynce coś więcej, coś wykraczającego poza to, kim była. A gdy Irian spoglądała w dal poza światem, zdawało się, że wkracza w miejsce bądź czas zupełnie oderwany od naszego.

— Uważaj — mruknęła ponuro czarownica. — Wszystko jest niebezpieczne. A najbardziej wtrącanie się w sprawy magów.

Miłość, szacunek i zaufanie nie pozwoliły Ważce zlekceważyć ostrzeżenia Róży, nie potrafiła jednak dostrzec w Kości niczego niebezpiecznego. Nie rozumiała go, owszem, nie mogła jednak się go bać, jego jako człowieka. Próbowała traktować młodzieńca s szacunkiem; bez powodzenia. Uważała go za inteligentnego i przystojnego, ale niewiele ją obchodził poza tym, co mógł jej powiedzieć. Wiedział, co chciałaby usłyszeć, i powoli przekazywał swą wiedzę. Wówczas okazywało się, że tak naprawdę nie o to jej chodziło i pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej. Był bardzo cierpliwy, a ona czuła do niego wdzięczność, świadoma faktu, że chłopak myśli znacznie szybciej od niej. Czasami uśmiechał się w obliczu jej ignorancji, nigdy jednak nie drwił z niej ani nie upominał. Podobnie jak czarownica lubił odpowiadać pytaniami na pytania, lecz odpowiedzi Róży zawsze okazywały się czymś, co Irian już wiedziała, natomiast jego odpowiedzi były czymś nowym, czego nie potrafiła

sobie wyobrazić. Zdumiewały ją, sprawiały ból, zmuszając do odmiany wszystkiego, w co wierzyła.

Dzień po dniu, podczas kolejnych rozmów w starych stajniach Irii, gdzie zwykle się spotykali, zadawała mu pytania, a on opowiadał coraz więcej, choć z wahaniem i nigdy do końca. Osłania mistrzów, pomyślała; próbuje bronić wspaniałej wizji Roke. Lecz pewnego dnia ustąpił i w końcu zaczął mówić otwarcie.

— Można tam *znaleźć* dobrych ludzi — rzekł. — Arcymag był mądry i wspaniały, ale odszedł. A mistrzowie… niektórzy wynoszą się ponad innych, zgłębiając tajemną wiedzę, poszukując nowych wzorów, nowych imion; lecz wiedza ta do niczego im się nie przydaje. Inni pod szarym płaszczem mądrości skrywają własne ambicje. Roke nie włada już Ziemiomorzem. Sercem Ziemiomorza stał się dwór w Havnorze. Czasy świetności Roke minęły, lecz wciąż jeszcze tysiące zaklęć bronią jej przed dniem dzisiejszym. Cóż jednak pozostało poza murami zaklęć? Wybujałe ambicje, lęk przed wszystkim co nowe, strach przed młodymi, rzucającymi wyzwanie władzy starców. A pośrodku nic, pusty dziedziniec. Arcymag już nigdy nie wróci.

— Skąd wiesz? — szepnęła. Spojrzał na nią surowo.

— Zabrał go smok.

— Widziałeś to? Widziałeś? — Zacisnęła dłonie, wyobrażając sobie lecącego smoka.

Po dłuższej chwili powróciła myślami do słońca i stajni, pytań i zagadek.

— Ale nawet jeśli go nie ma — rzekła — z pewnością niektórzy z mistrzów są mądrymi ludźmi?

Gdy Kość uniósł wzrok, na jego wargach przemknął melancholijny uśmiech.

— W świetle dnia cała mądrość i tajemniczość mistrzów niewiele znaczy. To tylko sztuczki, cudowne złudzenia, ale ludzie nie chcą w to wierzyć. Pragną tajemnic, iluzji. Trudno ich winić; w życiu mają niewiele prawdy i piękna.

Podniósł z ziemi kawałek cegły i rzucił w powietrze. Mówił ornej a cegła fruwała nad ich głowami, trzepocząc delikatnymi błękitnymi skrzydełkami motyla. Kość wyciągnął palec i motyl przysiadł nad nim. Czarodziej potrząsnął ręką i owad spadł na ziemię. Znów był odłamkiem cegły.

— W moim życiu mało jest rzeczy wartych uwagi — oznajmiła ważka, wbijając wzrok w ziemię. — Umiem tylko kierować gospodarstwem. Próbuję nosić głowę wysoko i mówić prawdę Gdybym jednak sądziła, że na Roke także pozostały tylko kłamstwa sztuczki, znienawidziłabym tych ludzi za to, że mnie oszukali oszukali nas wszystkich. To nie mogą być kłamstwa, nie mogą! Arcymag naprawdę zszedł w głąb labiryntu pośród Mroźnych Ludzi i powrócił z

Pierścieniem Pokoju. Zstąpił w krainę śmierci z młodym królem i pokonał pajęczego maga, po czym wrócił. Wiemy to od samego króla. Nawet tu harfiści śpiewają o tym pieśni. Słyszeliśmy je też od bajarza…

Kość przytaknął z powagą.

— Lecz Arcymag utracił swą moc w krainie śmierci Może wówczas cała magia osłabła.

— Zaklęcia Róży działają tak samo jak przedtem — upierała się Ważka.

Kość uśmiechnął się. Nie odpowiedział, wiedziała jednak że dla niego uroki wioskowej czarownicy to niewarta wzmianki drobnostka. On oglądał wielkie moce, wspaniałe czyny. Westchnęła z głębi serca.

— Gdybym tylko nie była kobietą! Znów się uśmiechnął.

— Jesteś piękną kobietą — rzekł, jakby stwierdzał zwykły fakt pochlebiał jej, jak z początku, nim dała mu do zrozumienia że tego me znosi. — Czemu chciałabyś stać się mężczyzną?

— Aby móc popłynąć na Roke. Zobaczyć, uczyć się. Czemu przyjmują tam tylko mężczyzn?

— Tak zdecydował pierwszy Arcymag wiele wieków temu — odparł Kość. — Ale… zastanawiałem się nieraz…

— Naprawdę?

— I to często. Dzień po dniu w Wielkim Domu i wokół Szkoły widywałem wyłącznie chłopców i mężczyzn, i wiedziałem, że za Księcia bronią kobietom z miasta wstępu na pola wokół Pagórka Roke Zapewne raz na kilka lat przybywająca z wizytą wielka dama odwiedza jedną z sal zewnętrznych. Ale czemu kobiety nie mogą się uczyć? Czy nie zdołałyby zrozumieć magii? A może mistrzowie się ich boją? Lękają się zepsucia? Nie, obawiają się, że jeśli wpuszczą kobiety do Szkoły, będą musieli zmienić prawa, których desperacko się trzymają.

— Kobiety mogą żyć w czystości równie dobrze jak mężczyźni — odparła szorstko Ważka. Wiedziała, że jej brutalna otwartość razi subtelnego chłopaka, nie potrafiła jednak zachowywać się inaczej.

— Oczywiście — odparł, uśmiechając się jeszcze szerzej — ale czarownice nie zawsze żyją w czystości, prawda? Może tego właśnie boją się mistrzowie. Może celibat nie jest wcale niezbędny, wbrew temu, co głosi Reguła. Może dzięki niej nie utrzymują mocy w czystości, lecz zachowują ją dla siebie, wykluczając kobiety i wszystkich, którzy nie zgodzą się stać eunuchami, by ową moc zdobyć… Kto wie? Kobieta mag. To zmieniłoby wszystko, wszystkie zasady!

Widziała, jak myślami ją wyprzedza, bawi się, przekształca idee tak, jak wcześniej odmienił cegłę, nadając jej postać motyla. Nie mogła dotrzymać mu kroku, lecz patrzyła z zachwytem.

— Popłyń na Roke — rzekł. Jego oczy lśniły psotnym blaskiem. Wobec niemal błagalnego, pełnego niedowierzania milczenia dziewczyny dodał szybko: — Jesteś kobietą, ale istnieją sposoby odmienienia wyglądu. Masz serce, odwagę i wolę mężczyzny. Mogłabyś przekroczyć próg Wielkiego Domu. Ja to wiem.

— I co bym tam robiła?

— To co wszyscy uczniowie: mieszkała samotnie w kamiennej celi i uczyła się mądrości. Może byś odkryła, że nie o tym marzysz, ale przynajmniej zyskałabyś pewność.

— Nie mogę! Zorientowaliby się. Nie weszłabym nawet do środka. Mówiłeś o Odźwiernym. Nie znam słowa, które musiałabym mu powiedzieć.

— A, tak, hasło. Mógłbym cię go nauczyć.

— Mógłbyś? To dozwolone?

— Nie obchodzi mnie, co dozwolone — rzucił, marszcząc brwi. Nigdy nie widziała u niego podobnej miny. — Sam Arcymag powiedział kiedyś: “Reguły istnieją po to, by je łamać". Niesprawiedliwość tworzy prawa, odwaga je łamie. Mnie jej nie brak. A tobie?

Nie wiedziała, co powiedzieć. Po chwili wstała i wyszła ze tajni na wzgórze okrążającą szczyt ścieżką. Jeden z psów, jej ulubieniec, wielki, ciężki, paskudny ogar podreptał za nią. Przystanęła zboczu nad błotnistym źródłem, w którym dziesięć lat wcześniej Róża nadała jej imię. Stała bez ruchu. Pies usiadł obok i spojrzał jej w twarz. W myślach miała mętlik, cały czas bezwiednie jednak powtarzała: “Mogłabym popłynąć na Roke i dowiedzieć się, kim jestem".

Spojrzała na zachód, poza sitowie, wierzby i odległe wzgórza było jasne i puste. Stała tak, a jej dusza zdawała się unosić ku niebu i oddalać coraz bardziej.

Z dróżki dobiegł stukot kopyt karej klaczy. Wówczas Ważka trzasnęła się nagle, zawołała Kość i pobiegła do niego — Pójdę z tobą — rzekła.

***

Nie planował podobnej przygody, lecz im dłużej zastanawiał tym szaleństwem, coraz bardziej mu się podobało Perspektywa długiej szarej zimy spędzonej w Zachodnim Stawie przygnębiała go i przygniatała niczym kamień. Nic go tu nie ciekawiło poza Ważką. Obraz dziewczyny wypełniał mu myśli. Jak dotąd nie potrafił pokonać jej niezwykłej siły biorącej się z nie-i, jeśli jednak postąpi wedle jej

życzenia i ona uczyni to o, gra okaże się warta świeczki. Jeżeli namówi dziewczynę do wyjazdu, to jakby już wygrał. A co do przemycenia jej do Szkoły e w przebraniu mężczyzny… zabawny pomysł, bez szans powodzenia, ale spodobał mu się jako oznaka absolutnego braku szacunku wobec skromności i nadęcia mistrzów i ich sługusów Gdyby zaś się udało… Gdyby przeprowadził kobietę przez drzwi,' nawet na chwilę, jakąż słodką byłoby to zemstą!

Problem stanowiły pieniądze. Dziewczyna rzecz jasna sądziła ze jako wielki czarnoksiężnik pstryknie palcami i wypłyną łodzią na morze, gnani magicznym wiatrem. Kiedy jednak uprzedził, ze będą musieli opłacić przejazd statkiem, powiedziała z prostotą:

— Mam pieniądze. Serowe.

Zachwycały go podobne wiejskie powiedzonka. Czasami ta dziewczyna go przerażała. Nigdy nie śnił, że Ważka mu się poddaje, lecz ze on sam poddaje się gwałtownej, niszczycielskiej słodyczy, zapadając w miażdżące objęcia. W owych snach była niepojęta, a on budził się zawstydzony i wstrząśnięty. W dzień jednak, widząc jej wielkie, brudne ręce i słuchając prostych, wiejskich powiedzonek, odzyskiwał poczucie wyższości. Żałował tylko, że nie ma ich komu powtórzyć, jak kiedyś dawnym kolegom z Wielkiego Portu. Mogliby pośmiać się razem.

— Mam pieniądze, serowe — powtórzył do siebie, jadąc do Zachodniego Stawu. Roześmiał się głośno. Kara klacz zastrzygła uszami.

Poinformował Brzozę, że otrzymał wezwanie od swego nauczyciela z Roke, Mistrza Sztuk, i musi wyruszać natychmiast, choć nie może rzec, w jakiej sprawie. Jego nieobecność nie potrwa długo — pół miesiąca podróży w jedną stronę, kolejne pół w drugą. Powinien wrócić jeszcze przed zbiorami. Musi prosić pana Brzozę o zaliczkę potrzebną na opłatę przejazdu statkiem i utrzymania. Czarnoksiężnik z Roke bowiem nie powinien wykorzystywać ludzi gotowych dać mu wszystko, czego zapragnie, lecz płacić jak zwykły podróżnik. Brzoza zgodził się z tym i wręczył Kości pełną sakiewkę. Były to pierwsze pieniądze, jakie od lat znalazły się w kieszeni chłopaka: dziesięć kawałków kości z podobizną Wydry z Shelieth po jednej stronie i z Runą Pokoju, na cześć króla Lebannena, na drugiej.

— Witajcie, mali imiennicy — rzekł do nich, gdy został sam. — Razem z pieniędzmi serowymi wystarczycie aż nadto.

Nie zdradzał Ważce swych planów głównie dlatego, że sam ich nie znał. Ufał losowi i własnej mądrości, rzadko go zawodziły. Dziewczyna niemal w ogóle nie zadawała pytań.

— Czy całą drogę będę podróżowała jako mężczyzna?

— Tak, w przebraniu. Nie rzucę na ciebie zaklęcia iluzji, póki nie znajdziemy się na Roke.

— Sądziłam, że będzie to zaklęcie przemiany — wtrąciła.

— To nie byłoby mądre — rzekł, całkiem nieźle naśladując uroczystą powagę Mistrza Przemian. — Rzecz jasna w razie potrzeby skorzystam z niego. Przekonasz się jednak, iż czarnoksiężnicy bardzo rzadko używają wielkich zaklęć. Mają ku temu powody.

— Równowaga — uzupełniła, jak zwykle przyjmując każde jego słowo w najprostszym, powierzchownym sensie.

— A także może dlatego, iż podobne sztuki nie mają już takiej mocy jak kiedyś — dodał.

Sam nie wiedział, czemu próbuje zachwiać jej wiarą w magię. Może każde osłabienie siły i spokoju dziewczyny dla niego stanowiły zysk. Zaczął od starań zaciągnięcia jej do łóżka. Uwielbiał tę grę, wkrótce jednak przerodziła się w pojedynek, którego nie oczekiwał, ale też nie potrafił zakończyć. Teraz zależało mu nie na tym, by ją zdobyć, lecz pokonać. Nie mógł pozwolić, aby pokonała jego; musi dowieść jej i sobie, że sny nigdy się nie spełnią.

Bardzo wcześnie, zniecierpliwiony w obliczu całkowitej obojętności dziewczyny, przygotował urok, zaklęcie miłosne, które od samego początku budziło w nim wzgardę, choć wiedział, że jest skuteczne. Rzucił je, gdy — jak to ona — była zajęta naprawą krowiego postronka. Jednakże rezultat nie przypominał namiętnego zapału, jaki wywoływał u dziewcząt w Havnorze i Thwil. Ważka stopniowo cichła, zamykała się w sobie. Przestała zasypywać go pytaniami o Roke, nie odpowiadała, gdy się odzywał. Kiedy zbliżył się nieśmiało i ujął jej dłoń, dostał po głowie, aż go zamroczyło. Jak przez mgłę ujrzał, że Ważka wstaje i wychodzi ze stajni. Paskudny ogar, jej ulubieniec, pobiegł w ślad za nią, ale jeszcze obejrzał się z wyraźnym uśmiechem.

Ruszyła ścieżką do starego dworu. Gdy Kości przestało dzwonić w uszach, zakradł się za nią z nadzieją, że urok działa i że w ten brutalny sposób Ważka poprowadziła go w końcu do swego łoża. Zbliżywszy się do domu, usłyszał trzask pękających naczyń. Jej ojciec pijak wypadł chwiejnie za próg, oszołomiony i przerażony, ścigany szorstkim okrzykiem córki:

— Wynocha z domu, zdrajco! Tchórzu! Obrzydliwa pijawko!

— Zabrała mi kubek — powiedział pan Irii do nieznajomego tonem zbitego szczenięcia. Psy kłębiły się wokół. — Zbiła go.

Kość odjechał. Dwa dni trzymał się z dala od Starej Irii. Gdy trzeciego na próbę przejechał obok dworu, Ważka wyszła przed drzwi.

Przepraszam cię, Kość — powiedziała, spoglądając na niego ogniście pomarańczowymi oczami. — Nie wiem, co mnie wtedy napadło. Byłam wściekła, ale nie na ciebie. Wybacz mi, proszę.

Wybaczył z chęcią. Nigdy już nie próbował rzucać na nią uroku.

Teraz pomyślał, że wkrótce nie będzie potrzebował czarów. Zyska

nad nią prawdziwą władzę. W końcu wymyślił, jak ją zdobyć. Sama oddała się w jego ręce. Dysponowała niezwykłą siłą i wolą, lecz na szczęście była głupia.

Brzoza wysyłał do Ujścia Kemberu wóz z sześcioma beczułkami dziesięcioletniego faniańskiego wina, zamówionymi przez tamtejszego kupca. Chętnie wyprawił z ładunkiem czarnoksiężnika, wino bowiem było cenne, a choć młody król szybko zaprowadzał porządki w Ziemiomorzu, na drogach wciąż jeszcze grasowały bandy rabusiów. I tak Kość opuścił Zachodni Staw, siedząc na wielkim wozie ciągniętym przez cztery rosłe konie. Jechał naprzód powoli, podskakując na wybojach. Jego nogi dyndały w powietrzu. Przy Oślim Wzgórzu z przydrożnych krzaków wynurzyła się niezgrabna postać i poprosiła o podwiezienie.

— Nie znam cię — rzekł woźnica, ostrzegawczo unosząc bat, lecz Kość chwycił go za rękę.

— Podwieź chłopaka, dobry człowieku. Póki będę z tobą, nie zrobi nic złego.

— Miej zatem na niego oko, panie.

Kość mrugnął do Ważki. Ukryta pod warstwą brudu dziewczyna, odziana w starą chłopską tunikę i nogawice oraz paskudny filcowy kapelusz, nie odmrugnęła. Odgrywała swą rolę, nawet gdy siedzieli obok siebie ze spuszczonymi nogami, oddzieleni sześcioma podskakującymi beczkami wina. Senny woźnica trzymał wodze, wóz toczył się drogą, pozostawiając za sobą drzemiące w upale wzgórza i pola. Kość próbował żartować z Ważki, ona jednak pokręciła tylko głową. Może teraz, gdy podjęła wyzwanie, przeraziła się tego, co zrobiła? Trudno orzec. Siedziała bez ruchu, poważna, milcząca. Szybko mi się znudzi, pomyślał Kość, kiedy już znajdzie się pode mną. Ta myśl poruszyła go nieznośnie.

Przy drodze wiodącej przez ziemie należące niegdyś do majątku Irii nie stała żadna gospoda. Gdy słońce zbliżyło się do zachodnich równin, zatrzymali się na popas w gospodarstwie oferującym stajnie dla koni, szopę na wóz i słomę na stajennym stryszku dla ludzi. Strych był ciemny i duży, słoma wilgotna. Kość nie czuł nawet cienia pożądania, choć Ważka leżała niecałe trzy stopy od niego. Tak dobrze odgrywała mężczyznę, że niemal go przekonała. Może jednak nabierze starców z Roke, pomyślał i uśmiechnął się na tę wizję. Wkrótce zasnął.

Następnego dnia dwukrotnie zmoczyły ich gwałtowne letnie deszcze. O zmierzchu dotarli do Ujścia Kemberu, bogatego miasta otoczonego murami. Pozostawili woźnicy interesy jego pana i ruszyli naprzód w poszukiwaniu gospody jak najbliżej portu. Ważka rozglądała się wokół w milczeniu, może wywołanym podziwem, może dezaprobatą, a może zwykłą obojętnością.

— Ładne miasteczko — zauważył Kość — lecz jedynym

prawdziwym miastem na świecie jest Havnor.

Próby zaimponowania dziewczynie nie miały sensu, powiedziała bowiem tylko:

— Statki rzadko pływają na Roke, prawda? Trudno nam będzie jakiś znaleźć.

— Nie, jeśli będę miał przy sobie laskę — odparł.

Przestała się rozglądać i długą chwilę w milczeniu szła u jego boku. Poruszała się pięknie, wdzięcznie i śmiało, wysoko unosząc głowę.

— Chcesz powiedzieć, że zrobią przysługę czarnoksiężnikowi? Ale przecież nim nie jesteś.

— To tylko formalność. My, starsi czarownicy, możemy nosić laski, jeśli podróżujemy w sprawach Roke, tak jak ja.

— Bo mnie tam zabierasz.

— Owszem, bo przywożę ucznia. Bardzo utalentowanego ucznia! Nie zadawała więcej pytań. Nigdy się nie kłóciła, była to jedna z jej zalet.

Tego wieczoru przy kolacji w portowej tawernie spytała z niezwykłą nieśmiałością w głosie:

— Naprawdę mam wielki talent?

— Według mnie owszem.

Zastanawiała się chwilę — rozmowy z nią często przebiegały dość wolno.

— Róża zawsze twierdziła, że mam moc — powiedziała w końcu — ale nie wiedziała jaką. A ja… wiem, że ją mam, ale nie wiem, czym jest.

— Płyniesz na Roke po to, by się dowiedzieć. — Uniósł kieliszek. Po chwili ona podniosła swój i uśmiechnęła się tak promiennie i czule, że dodał, wiedziony nagłym impulsem: — Oby to, co znajdziesz, okazało się tym, czego szukasz!

— Będzie to tylko twoja zasługa — odparła.

W tym momencie kochał ją za jej szczere serce i porzucił wszelkie niecne plany. Była dla niego towarzyszką śmiałej przygody, wspaniałego żartu.

Musieli nocować w pokoju z dwojgiem obcych, lecz myśli Kości były zupełnie czyste, choć sam się temu dziwił.

Następnego ranka w kuchennym ogrodzie zerwał zieloną łodyżkę i zaklęciem upodobnił ją do pięknej, okutej miedzią laski o długości równej jego wzrostowi.

— Co to za drewno? — spytała Ważka.

— Rozmaryn — odpowiedział ze śmiechem. Także się roześmiała. Ruszyli wzdłuż nabrzeża, wypytując o statek zmierzający na południe, który by zechciał wziąć na pokład czarnoksiężnika z uczniem i zawieść na Wyspę Mędrców. Wkrótce znaleźli solidny żaglowiec zmierzający

do Wathort. Kapitan zgodził się zabrać czarnoksiężnika za dobre słowo, a ucznia za pół ceny. “Pół ceny" oznaczało połowę serowych pieniędzy. Mieli jednak podróżować luksusowo, we własnej kabinie, “Wydra Morska" była bowiem dużym, solidnym dwumasztowcem.

Właśnie rozmawiali z kapitanem, gdy w porcie zjawił się wóz i zaczęto z niego zdejmować sześć znajomych baryłek.

— To nasze wino — zauważył Kość.

— Płynie do Hortu — rzekł kapitan, a Ważka powiedziała cicho:

— Z Irii.

I wtedy obejrzała się za siebie. Nigdy więcej nie widział, by to robiła.

Tuż przed wypłynięciem na pokładzie zjawił się zaklinacz pogody. Nie był to czarnoksiężnik z Roke, lecz ogorzały mężczyzna w znoszonym morskim płaszczu. Witając go, Kość lekko uniósł laskę. Czarodziej zmierzył go uważnym spojrzeniem.

— Na tym statku tylko jeden człowiek zaklina pogodę. Jeśli nie będę to ja, odchodzę.

— Jestem zwykłym pasażerem, mości workowy. Chętnie pozostawię wiatr w twoich rękach.

Czarodziej spojrzał na Ważkę, prostą niczym trzcina.

— To dobrze — rzekł.

Więcej się nie odezwał. Przynajmniej do Kości. W czasie podróży kilka razy gawędził jednak z Ważką i fakt ten zaniepokoił młodego czarodzieja. Jej ufność i ignorancja mogły okazać się niebezpieczne tak dla niej, jak i dla niego. Spytał, o czym rozmawiali z zaklinaczem.

— O tym, co się z nami stanie — odparła. Spojrzał na nią pytająco.

— Z nami wszystkimi. Z Way, Falkway, Havnoru, Wathortu i Roke, wszystkimi ludźmi z wysp. Mówi, że zeszłej jesieni przed swą koronacją król Lebannen posłał na Gont po starego Arcymaga, by nałożył mu koronę. On jednak nie zgodził się przybyć i nie ma nowego Arcymaga. *Zatem* król sam się koronował. Niektórzy twierdzą, że źle się stało i że Lebannen nie ma prawa do tronu. Inni powiadają, że nowym Arcymagiem został król. Ale on nie jest magiem, tylko królem. Jeszcze inni mówią, że powrócą Mroczne Lata, gdy zapomniano o sprawiedliwości, a czarów używano do złych celów.

— I to mówi stary zaklinacz pogody? — spytał Kość po chwili milczenia.

— Myślę, że wielu o tym rozmawia — odparła Ważka z typową dla siebie powagą.

Zaklinacz przynajmniej znał się na swym fachu. “Wydra Morska" pędziła na południe przez wzburzone morze i letnie szkwały, nigdy jednak nie przeszkodził jej sztorm ani przeciwny wiatr. Zawijali do portów, dostarczając i odbierając towary, na północnym wybrzeżu O,

na Ilien, Leng, Kamery, w Porcie O. Potem zboczyli z kursu, by zawieźć pasażerów zmierzających na Roke. Spoglądając ku zachodowi, Kość poczuł lekki strach, bo doskonale wiedział, jak mocne zaklęcia strzegą Roke. Zdawał sobie sprawę, że wraz z zaklinaczem pogody nie zdołaliby odwrócić wiatru z Roke, gdyby powiał przeciw nim. W takim zaś przypadku Ważka z pewnością spytałaby, dlaczego nie dopuszcza ich do brzegu.

Z radością odkrył, iż zaklinacz także się niepokoi. Stał obok sternika i cały czas patrzył na żagle, wyglądając śladów powiewu z zachodu. Wiatr jednak cały czas wiał z północy; przyniósł ze sobą kolejny deszcz i burzę. Kość zszedł do kabiny, lecz Ważka została na pokładzie. Wyznała mu, że boi się wody, nie umie pływać.

— Tonięcie musi być straszne. Nie móc oddychać powietrzem…

Na tę myśl zadrżała. Nigdy dotąd nie okazywała strachu. Nie lubiła jednak ciasnej, nieprzytulnej kabiny, toteż całe dnie spędzała na pokładzie i sypiała tam ciepłymi nocami. Kość nie próbował Jej przekonywać. Wiedział, że nic to nie da. By ją zdobyć, musiał nią zawładnąć, a tego dokona, jeśli dotrą na Roke.

Znów wyszedł na pokład. Pogoda się poprawiła. O zachodzie słońca pokrywa chmur pękła, ukazując złociste niebo i wznoszącą się na horyzoncie czarną kopułę wzgórza.

Kość spojrzał na nie z tęsknotą i nienawiścią.

— To Pagórek Roke, chłopcze — oznajmił zaklinacz pogody, zwracając się do Ważki. — Niedługo zawiniemy do zatoki Thwil. Tam zawsze wieje taki wiatr, jakiego oni pragną.

Nim dotarli w głąb zatoki i rzucili kotwicę, zapadła ciemność.

— Rano zejdę na ląd — poinformował kapitana Kość. Ważka czekała na niego w maleńkiej kabinie. Była poważna jak zwykle, lecz w jej oczach płonęło podniecenie.

— Rankiem zejdziemy na ląd — powtórzył, a ona przyjęła te słowa skinieniem głowy.

— Dobrze wyglądam? — spytała.

Usiadł na wąskiej koi. Ona siedziała na sąsiedniej. Nie mogli usiąść naprzeciw siebie, bo brakowało miejsca na kolana. W Porcie O za jego radą kupiła sobie porządną koszulę i spodnie, żeby bardziej przypominać kandydata pragnącego studiować w Szkole. Twarz miała czystą i ogorzałą, włosy — podobnie jak on — splotła w harcap. Ręce także umyła; leżały teraz płasko na udach — długie silne dłonie. Jak u mężczyzny.

— Nie wyglądasz jak mężczyzna — rzekł. Jej oblicze spochmurniało. — Nie dla mnie. Dla mnie nigdy nie przypominasz mężczyzny. Ale nie martw się, oni to co innego.

Skinęła głową, patrząc na niego błagalnie.

— Pierwsza próba jest jednocześnie najważniejsza, Ważko —

powiedział. Każdej nocy, leżąc samotnie w kabinie, planował tę rozmowę. — Aby znaleźć się w Wielkim Domu, musisz przejść przez drzwi.

— Zastanawiałam się nad tym. Czy nie mogłabym po prostu powiedzieć, kim jestem? Ty byś za mnie zaręczył, potwierdził, że choć jestem kobietą, mam dar. Przyrzekłabym złożyć przysięgę, zachować czystość i zamieszkać osobno, gdyby tego zażądali…

Kość cały czas kręcił głową.

— Nie, nie, nie. To beznadziejne. Na nic się nie zda. Wszystko zepsuje.

— Nawet jeśli ty …

— Nawet jeśli poręczę za ciebie, nie posłuchają. Reguła Roke zabrania nauczania kobiet wyższych sztuk, słów w Mowie Tworzenia. Zawsze tak było. Nie posłuchają, musimy im zatem pokazać i pokażemy — ty i ja. Damy im nauczkę. Musisz być dzielna, Ważko. Nie możesz się ugiąć. Nie wolno ci myśleć, że jeśli tylko zaczniesz ich błagać, nie odmówią, bo odmówią, zrobią to, a gdy się odkryjesz, ukarzą ciebie i mnie. — Na ostatnie słowo położył szczególny nacisk, w głębi ducha zaklinając: “Niech się odwróci". Spojrzała na niego nieprzeniknionymi oczami.

— Co mam robić? — spytała w końcu.

— Ufasz mi, Ważko? — Tak.

Czy zaufasz mi do końca, ostatecznie, całkowicie, wiedząc, ze ryzyko, które podejmuję, przerasta nawet twoje? — Tak.

— Zatem musisz podać mi słowo, które wypowiesz przed Odźwiernym.

Popatrzyła na niego zdumiona.

— Ale… myślałam, że to ty mi je podasz. Że to hasło.

— Hasło, o które cię poprosi, to twoje prawdziwe imię. Pozwolił, by dotarło do niej znaczenie jego słów.

— A żeby rzucić na ciebie zaklęcie — dodał cicho — uczynić je tak pełnym i dokładnym, że nawet mistrzowie z Roke zobaczą cię jako mężczyznę, ja także muszę poznać twoje imię. — Ponownie zawiesił głos. Gdy to mówił, jemu samemu zdawało się, że wypowiada słowa prawdy. Bardzo łagodnie dodał: — Mogłem je poznać już dawno, ale nie chciałem korzystać z tych sztuczek. Chciałem, byś mi zaufała sama i podała swoje imię.

Ważka wbijała wzrok w splecione na kolanach dłonie. W czerwonawym blasku lampy jej rzęsy rzucały długie, delikatne cienie na policzki. W końcu spojrzała wprost na niego.

— Nazywam się Irian — rzekła. Uśmiechnął się. Ona nie.

Nie odpowiedział. Nie wiedział, co rzec. Gdyby sądził, że okaże się to takie łatwe, już dawno, wiele dni, tygodni temu wydobyłby z niej imię. Wystarczyło tylko nakreślić ten szalony plan. Nie musiał

rezygnować z zapłaty, kłaść na szalę swej reputacji; nie musiał żeglować przez morze aż na Roke! Nagle bowiem pojął, iż cały plan to głupota. W żaden sposób nie zdołałby odmienić jej tak, by oszukać Odźwiernego. Jak mógł sądzić, że zdoła poniżyć mistrzów, tak jak oni poniżyli jego? Przez swą obsesję na punkcie tej dziewczyny sam wpadł w zastawioną na nią pułapkę. Z goryczą uświadomił sobie, że wierzył we własne kłamstwa, schwytany w sieci, które utkał dla niej. Raz już zrobił z siebie głupca na Roke. Teraz powrócił i uczynił to ponownie. W jego sercu wezbrał ogromny, pełen rozpaczy gniew. Jest do niczego, do niczego się nie nadaje.

— Co się stało? — spytała. Łagodny ton jej głębokiego, zmysłowego głosu pozbawił go męskiej siły. Kość ukrył twarz w dłoniach, walcząc z napływającymi do oczu łzami wstydu.

Położyła mu dłoń na kolanie. Po raz pierwszy go dotknęła. Z trudem zniósł dotyk tej ciepłej, ciężkiej ręki. Tak wiele czasu zmarnował, marząc o tym.

Pragnął ją skrzywdzić, wstrząsnąć nią, sprawić, by przestała być tak straszliwie, bezmyślnie łagodna. Kiedy jednak w końcu się odezwał, rzekł:

— Chciałem się tylko z tobą kochać.

— Naprawdę?

— Sądziłaś, że jestem jednym z ich eunuchów? Że wykastruję się zaklęciami, by zostać świętym? Jak myślisz, czemu nie mam laski? Czemu nie jestem w Szkole? Wierzyłaś we wszystko, co mówiłem?

— Tak — odparła. — Przykro mi. — Jej dłoń wciąż spoczywała na kolanie Kości. — Możemy się kochać, jeśli zechcesz — dodała.

Wyprostował się i zamarł.

— Kim ty jesteś? — spytał w końcu.

— Nie wiem. Dlatego właśnie chciałam przybyć na Roke. Żeby się dowiedzieć.

Wstał pochylony. Żadne z nich nie mogło się wyprostować w niskiej kabinie. Zaciskając i prostując palce, jak najdalej odsunął się od dziewczyny, odwrócony do niej plecami.

— Nie dowiesz się. To wszystko kłamstwa, sztuczki, starcy igrający ze słowami. Ja nie chciałem bawić się z nimi, toteż odszedłem. Wiesz, co zrobiłem? — Odwrócił się, ukazując zęby w tryumfalnym grymasie. — Namówiłem dziewczynę, dziewczynę z miasta, by przyszła do mojego pokoju, do mej celi, małej kamiennej celi z oknem wychodzącym na tylną uliczkę. Nie użyłem zaklęcia; przy tak silnej magii nie można rzucać zaklęć. Ona jednak pragnęła przyjść i przyszła, a ja wyrzuciłem za okno drabinkę i wspięła się do środka. Byliśmy ze sobą, gdy zjawili się starcy! Pokazałem im! I gdybym zdołał przemycić cię przez próg, znów bym im pokazał. Nauczyłbym ich czegoś.

— Spróbujmy zatem. Popatrzył na nią pytająco.

— Chcę to zrobić z innego powodu niż ty — powiedziała — ale wciąż chcę. Dotarliśmy aż tutaj i znasz moje imię.

Rzeczywiście znał jej imię: Irian. Było niczym płonący węgiel, rozpalony żar w jego głowie. Jego myśli nie mogły go pochwycić, wiedza wykorzystać, język wymówić.

Popatrzyła na niego. Jej surowa, stanowcza twarz w migotliwym blasku latarni wydawała się łagodniejsza.

— Jeśli sprowadziłeś mnie tu tylko po to, by się ze mną kochać, możemy to zrobić. O ile wciąż tego chcesz.

Z początku nie mógł wykrztusić ni słowa, pokręcił tylko głową. Po chwili zdołał się zaśmiać.

— Myślę, że… zostawiliśmy już tę możliwość… za sobą. Spojrzała na niego bez żalu, wyrzutu ani wstydu.

— Irian — dodał. Teraz przyszło mu to z łatwością. Jej imię było niczym słodka, zimna źródlana woda w zaschniętych ustach. — Irian, oto co musisz zrobić, by wejść do Wielkiego Domu.

III. AZVER

Zostawił ją na rogu wąskiej, brudnej ulicy wiodącej pomiędzy nagimi ścianami wprost do osadzonych w murze drewnianych drzwi. Rzucił na nią zaklęcie i wyglądała jak mężczyzna, choć wcale się tak nie czuła. Na pożegnanie objęli się — byli przecież przyjaciółmi i towarzyszami. Wszystko, co zrobił, zrobił dla niej.

— Odwagi — rzekł i odepchnął ją lekko.

Poszła ulicą i stanęła przed drzwiami. Po chwili obejrzała się, jego już jednak nie było.

Zastukała.

Dobiegł ją szczęk zasuwy. Drzwi otwarły się, na progu stał mężczyzna w średnim wieku.

— Co mogę dla ciebie zrobić? — spytał. Nie uśmiechał się, lecz głos miał miły.

— Wpuść mnie do Wielkiego Domu, panie.

— Znasz drogę do środka? — Jego migdałowe oczy patrzyły czujnie, zdawały się oddalone o wiele mil bądź lat.

— To jest droga do środka, panie.

— Wiesz, czyje imię musisz mi podać, bym cię wpuścił?

— Moje własne, panie. Oto ono: Irian.

— Naprawdę? — spytał.

To ją zaskoczyło. Przez chwilę milczała.

— Takie imię nadała mi czarownica Róża z wioski na Way w wodach źródła pod wzgórzem Irii — powiedziała w końcu.

Odźwierny przyglądał jej się chwilę. Zdawało się, że trwa to wieki.

— Zatem to twoje imię — rzekł wreszcie. — Ale chyba nie całe. Myślę, że masz jeszcze inne.

— Nie znam go, panie. Znowu nastała długa cisza.

— Może poznani je tutaj.

Odźwierny lekko skłonił głowę. Jego usta wygięły się w uśmiechu. Odstąpił na bok.

— Wejdź, córko.

Przekroczyła próg Wielkiego Domu.

Zaklęcie Kości opadło z niej niczym pajęczyna. Była sobą, wyglądała tak jak zwykle.

Podążyła za Odźwiernym kamiennym korytarzem. Dopiero na końcu przypomniała sobie, by się odwrócić. Ujrzała światło przenikające przez tysiące liści drzewa wyrzeźbionego w wysokich drzwiach, osadzonych w białej jak kość framudze.

Spieszący gdzieś młodzieniec w szarym płaszczu zatrzymał się na jej widok jak wryty, potem szybko skinął głową i ruszył dalej.

Obejrzała się — wciąż na nią patrzył.

W ślad za młodzieńcem podążała kula mglistego zielonkawego ognia, szybując wolno w powietrzu na wysokości oczu. Odźwierny machnął ręką i kula go wyminęła. Irian schyliła się gwałtownie, poczuła jednak, jak zimny ogień muska jej włosy. Odźwierny popatrzył na nią z szerokim uśmiechem. Choć nie odezwał się, poczuła, że pamięta o niej i martwi się o jej bezpieczeństwo.

Przystanął przed dębowymi drzwiami. Zamiast zapukać czubkiem laski — jasnej laski z szarego drewna — nakreślił na nich drobny znak czy może runę. Drzwi się otwarły.

— Wejdź — odezwał się ktoś donośnie.

— Zaczekaj tutaj, Irian — poprosił Odźwierny i wszedł do komnaty.

Pozostawił drzwi szeroko otwarte. Ujrzała za nimi półki pełne ksiąg, stół, na którym piętrzył się stos książek i zapisanych kartek i stało wiele kałamarzy. Siedzieli przy nim trzej chłopcy oraz siwowłosy przysadzisty mężczyzna, z którym rozmawiał Odźwierny. Widziała, jak wyraz twarzy nieznajomego się zmienia. Zerknął na nią ze zdumieniem. Cicho, z napięciem zadawał pytania Odźwiernemu.

Obaj podeszli do niej.

— Mistrz Przemian z Roke, a to Irian z Way — przedstawił ich Odźwierny.

Mistrz Przemian nie dorównywał Irian wzrostem. Patrzył na nią uważnie.

— Wybacz, że mówię to otwarcie, młoda kobieto, ale muszę — rzekł. — Mistrzu Odźwierny, wiesz, że nigdy nie kwestionuję twojego osądu, reguły jednak są jasne. Pytam więc, czemu je złamałeś i wpuściłeś ją za próg.

— Bo mnie poprosiła.

— Ale… — Mistrz Przemian urwał.

— Kiedy po raz ostatni kobieta prosiła o wstęp do Szkoły?

— Wiedzą, że Reguła na to nie zezwala.

— Wiedziałaś o tym, Irian? — spytał Odźwierny.

— Tak, panie.

— Zatem co cię tu sprowadza? — wtrącił Mistrz Przemian surowo, lecz z wyraźnym zaciekawieniem.

— Pan Kość mówił, że mogłabym udawać mężczyznę. Myślałam jednak, że od początku powinnam wyjawić naprawdę. Potrafię zachować czystość jak inni, panie.

Na policzkach Odźwiernego pojawiły się dwie szerokie bruzdy zwiastujące uśmiech. Twarz Mistrza Przemian pozostała surowa.

— Z pewnością… Tak, szczerość to lepsze wyjście. O jakim panu mówiłaś?

— O Kości — wyjaśnił Odźwierny. — To chłopak z Wielkiego

Portu Havnor. Wpuściłem go do środka trzy lata temu i wypuściłem w zeszłym roku. Może pamiętasz.

— Kość? Ten, który pobierał nauki u Mistrza Sztuk? Wciąż jest tutaj? — spytał gniewnie Mistrz Przemian.

Irian uniosła głowę. Milczała.

— Nie w Szkole — rzekł z uśmiechem Odźwierny.

— On cię oszukał, młoda niewiasto. Zadrwił z ciebie, próbując zadrwić z nas.

— Wykorzystałam go, aby mnie tu sprowadził i powiedział, jakie hasło podać Odźwiernemu — wyjaśniła Irian. — Nie przybywam, aby z kogokolwiek drwić, lecz dowiedzieć się tego, co wiedzieć muszę.

— Często zastanawiałem się, czemu wpuściłem tamtego chłopaka — mruknął Odźwierny. — Teraz zaczynam rozumieć.

Mistrz Przemian się zamyślił.

— Mistrzu Odźwierny — powiedział w końcu — co chciałeś przez to rzec?

— Myślę, że Irian z Way przybyła tutaj, szukając nie tylko tego, co powinna wiedzieć, ale też tego, co my powinniśmy poznać. — Odźwierny mówił z powagą, bez uśmiechu. — Musimy omówić to w gronie Dziewięciu.

Mistrz Przemian przyjął te słowa z prawdziwym zdumieniem. Nie próbował jednak Odźwiernego przekonywać.

— Ale nie na oczach uczniów — rzekł jedynie. Odźwierny zgodził się, kręcąc głową.

— Ona zamieszka w mieście — dodał z ulgą Mistrz Przemian.

— I będziemy mówić o niej za jej plecami?

— Nie sprowadzisz jej chyba do Komnaty Rady? — w głosie maga dźwięczało niedowierzanie.

— Arcymag przyprowadził tam młodego Arrena.

— Ale… Arren to król Lebannen.

— A kim jest Irian?

Mistrz Przemian milczał długą chwilę. W końcu odezwał się cicho, z szacunkiem:

— Przyjacielu, co według ciebie mamy począć? Czego się dowiedzieć? Kim ona jest, że prosisz o to w jej imieniu?

— A kimże my jesteśmy? — spytał Odźwierny. — Jak możemy jej odmówić, nie wiedząc, kim jest?

***

— Kobieta — powiedział w Komnacie Rady Mistrz Przywołań.

Wcześniej Irian spędziła kilka godzin w pokoju Odźwiernego, niskim, jasnym, niemal zupełnie pustym. Niewielkie oszklone okno wychodziło na ogrody kuchenne Wielkiego Domu — piękne, starannie utrzymane ogrody, długie grządki warzyw i ziół, za którymi rosły krzewy i drzewa owocowe. W pewnym momencie ujrzała krępego, ciemnoskórego mężczyznę i dwóch chłopców. Wyszli na dwór i zaczęli plewić jedną z grządek. I gdy tak patrzyła, jak starannie pracują ogarnął ją spokój. Pożałowała, że nie może im pomóc. Z trudem znosiła czekanie. Raz w pokoju zjawił się Odźwierny. Przyniósł jej talerz zimnych mięs, chleba i cebulek. Zjadła, bo tak jej kazał, lecz nawet nie czuła smaku. Ogrodnicy odeszli i nie miała już co oglądać. Za oknem rosła kapusta, podskakiwały na grządkach wróble, od czasu do czasu jastrząb krążył wysoko na niebie i wiatr kołysał łagodnie czubkami wysokich drzew za murem ogrodu. Wreszcie Odźwierny wrócił.

— Chodź, Irian — rzekł. — Poznaj mistrzów z Roke.

Serce zaczęło galopować jej w piersi. Ruszyła w ślad za Odźwiernym przez labirynt korytarzy i wkrótce dotarła do komnaty o ciemnych murach, w których osadzono rząd wysokich łukowych okien. W pokoju stała grupa mężczyzn. Gdy Irian przekroczyła próg, wszyscy jak jeden mąż odwrócili się i spojrzeli na nią.

— Oto Irian z Way, panowie — oznajmił Odźwierny. Gestem wezwał ją głębiej do komnaty. — Mistrza Przemian już poznałaś — dodał. Potem przedstawił jej wszystkich innych, nie potrafiła jednak zapamiętać ich specjalności z wyjątkiem Mistrza Ziół, mężczyzny, którego wcześniej wzięła za ogrodnika, i najmłodszego z nich, wysokiego człowieka o surowej, pięknej twarzy, która zdawała się wyrzeźbiona z ciemnego kamienia, Mistrza Przywołań. Gdy Odźwierny umilkł, to on właśnie przemówił.

— Kobieta — powiedział. Głos Mistrza Przywołań także przywodził na myśl kamień, zimny i ciężki.

Odźwierny z niezmąconym spokojem skinął głową.

— Po to zwołałeś Radę Dziewięciu? Tylko po to?

— Tylko po to — przytaknął Odźwierny.

— Nad Morzem Najgłębszym widziano przelatujące smoki, Roke nie ma Arcymaga, a wyspy prawnie ukoronowanego króla. Czeka nas mnóstwo zajęć. Kiedy się nimi zajmiemy?

W komnacie zapadła niezręczna cisza. Odźwierny milczał. W końcu drobny mężczyzna o jasnych włosach, odziany w czerwoną tunikę pod szarym płaszczem maga, uniósł głowę.

— Czy wprowadzasz tę kobietę do Wielkiego Domu jako ucznia, Mistrzu Odźwierny?

— Gdybym to uczynił, wszyscy musielibyście się zgodzić.

— Tak czy nie? — nalegał mężczyzna w czerwieni, uśmiechając

się lekko.

— Mistrzu Sztuk, poprosiła, abym wpuścił ją jako ucznia. Nie dostrzegłem powodów, by odmówić.

— Jest ich wiele — wtrącił Mistrz Przywołań.

Nagle do rozmowy włączył się mężczyzna o głębokim, dźwięcznym głosie:

— Nie nasz osąd o tym decyduje, lecz Reguła Roke, której przysięgliśmy strzec.

— Wątpię, by Odźwierny złamał ją z lekkim sercem — wtrącił kolejny z mistrzów, którego Irian nie zauważyła, póki się nie odezwał, mimo że był wysoki, siwowłosy, mocno zbudowany i miał twarz o ostrych, surowych rysach. W odróżnieniu od innych patrzył wprost na nią. — Jestem Kurremkarmerruk — oznajmił. — Jako tutejszy Mistrz Imion swobodnie sobie z nimi poczynam, łącznie z mym własnym. Kto cię nazwał, Irian?

— Czarownica Róża z naszej wioski, panie — odparła, prostując plecy. Jej głos zabrzmiał ochryple i piskliwie.

— Czy nosi złe imię? — spytał Mistrza Imion Odźwierny. Kurremkarmerruk pokręcił głową.

— Nie, ale…

Mistrz Przywołań, wpatrzony w puste palenisko, odwrócił się nagle.

— Imiona, które nadają sobie wiedźmy, nas nie obchodzą. Jeśli interesuje cię ta kobieta, Mistrzu Odźwierny, winieneś zająć się nią poza tymi murami, przed drzwiami, których przysięgłeś strzec. Nie ma tu dla niej miejsca i nigdy nie będzie. Może sprowadzić ze sobą jedynie zamieszanie, niezgodę i jeszcze bardziej nas osłabić. Więcej nie powiem ni słowa i nie odezwę się już w jej obecności. Jedyną odpowiedzią na ów z rozmysłem popełniony błąd jest milczenie.

— Milczenie nie wystarczy, mój panie — wtrącił człowiek, który wcześniej się nie odzywał. Irian wydał się bardzo dziwny. Miał bladą, czerwonawą skórę, długie jasne włosy i wąskie oczy barwy lodu. Przemawiał równie dziwnie: słowa brzmiały obco, osobliwie zniekształcone. — Milczenie to odpowiedź na wszystko i na nic — dodał.

Mistrz Przywołań uniósł szlachetną, ciemną twarz *i* spojrzał na bladego mężczyznę, nie odpowiedział jednak. Bez słowa ani gestu odwrócił się i wyszedł z komnaty. Gdy powoli mijał Irian, cofnęła się gwałtownie, zupełnie jakby obok niej otwarł się grób, grób zimny, mokry, mroczny. Oddech uwiązł jej w gardle, zachłysnęła się, chwytając powietrze. Kiedy doszła do siebie, dostrzegła, że Mistrz Przemian oraz blady mężczyzna obserwują ją czujnie.

Człowiek o głosie niskim niczym dźwięk dzwonu także na nią patrzył, przemawiając uprzejmie, lecz surowo.

— Mężczyzna, który cię tu sprowadził, miał złe zamiary, ale ty ich nie masz. A jednak sama twoja obecność szkodzi i nam, i tobie, Irian. Jeśli ktoś lub coś znajdzie się poza swoim miejscem, czyni szkodę. Jeden nawet najwspanialej odśpiewany dźwięk niszczy melodię, do której nie należy. Kobiety uczą kobiety, czarownice poznają swą sztukę od innych czarownic i od czarowników, nie magów. Nauczamy tu mowy niedostępnej językowi kobiety. Młode serce buntuje się przeciw podobnym prawom, nazywając je arbitralnymi, niesprawiedliwymi. To jednak słuszne prawa, stworzone nie z naszej chęci, lecz konieczności. Sprawiedliwi i niesprawiedliwi, mądrzy i głupi — wszyscy muszą ich słuchać. W przeciwnym razie zmarnują życie i niczego nie osiągną.

Mistrz Przemian i chudy starszy mag o bystrej twarzy skinęli głowami na znak zgody. Mistrz Sztuk dodał:

— Bardzo mi przykro, Irian. Kość był moim uczniem. Źle go wykształciłem, a uczyniłem jeszcze gorzej, odsyłając go stąd. Uznałem, że jest nieszkodliwy. On jednak okłamał cię i oszukał. Nie wstydź się. To jego wina i moja.

— Nie wstydzę się — odparła Irian.

Czuła, że powinna podziękować im za uprzejmość, jednakże słowa nie chciały przejść jej przez gardło. Ukłoniła się sztywno, odwróciła i wyszła z komnaty.

Odźwierny doścignął ją, gdy dotarła do skrzyżowania korytarzy i zatrzymała się, nie wiedząc, w którą stronę pójść.

— Tędy — rzekł, zrównując się z nią; po chwili znów: — Tędy. Wkrótce dotarli do drzwi nie z rogu i kości, lecz z gładkiej dębiny, czarnej i ciężkiej. Pośrodku osadzono rygiel, stary i wyrobiony.

— To tylne drzwi — oznajmił mag, odsuwając zasuwę. — Kiedyś nazywano je Bramą Medry. Strzegę ich obu.

Otworzył wierzeje. Światło dnia oślepiło Irian. Gdy odzyskała wzrok, ujrzała ścieżkę wiodącą przez ogród i pola za nimi. Dalej dostrzegła wysokie drzewa i na horyzoncie po prawej stronie kopułę Pagórka Roke. Tuż za progiem stał jasnowłosy mężczyzna o wąskich oczach, zupełnie jakby na nich czekał.

— Mistrzu Wzorów — powiedział Odźwierny. Nie wydawał się zaskoczony.

— Dokąd odsyłasz tę panią? — spytał Mistrz Wzorów na swój dziwny sposób.

— Donikąd — odparł Odźwierny. — Wypuszczam ją, tak jak wcześniej wpuściłem, zgodnie z jej życzeniem.

— Zechcesz pójść ze mną? — spytał Irian Mistrz Wzorów. Spojrzała na niego, potem na Odźwiernego. Milczała.

— Nie mieszkam w tym domu, w żadnym domu — dodał Mistrz Wzorów — tylko tam, w Gaju. Ach! — westchnął, odwracając się

nagle. Kilka kroków dalej na ścieżce czekał wysoki, siwowłosy Mistrz Imion Kurremkarmerruk. Nie było go tam wcześniej, póki mag nie westchnął. Irian oszołomiona wodziła wzrokiem od jednego mistrza do drugiego.

— To tylko złudzenie; moja postać — wyjaśnił starzec. — Ja także mieszkam nie tutaj, lecz wiele mil stąd. — Gestem wskazał na północ. — Kiedy załatwisz już swoje sprawy z Mistrzem Wzorów, możesz tam przybyć. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o twoim imieniu.

Skinieniem głowy pozdrowił pozostałych magów i zniknął. W miejscu, gdzie jeszcze przed momentem stał, przeleciał trzmiel, bzycząc głośno.

Irian wbiła wzrok w ziemię. Po długiej chwili odchrząknęła i odezwała się, nie unosząc wzroku.

— Czy to prawda, że moja obecność wam szkodzi?

— Nie wiem — odparł Odźwierny.

— W Gaju nic nie może szkodzić — dodał Mistrz Wzorów. — Chodź. Jest tam stary dom, chata, zniszczona i zapuszczona, ale tobie to nie przeszkadza, prawda? Zostań jakiś czas. Sama zobaczysz.

Ruszył ścieżką pomiędzy grządkami pietruszki i fasoli. Irian spojrzała na Odźwiernego, który uśmiechnął się lekko. Podążyła za jasnowłosym magiem.

Pokonali w milczeniu prawie pół mili. Pagórek wznosił się coraz wyżej na zachodnim horyzoncie. Za nimi na niższym wzgórzu stała Szkoła, szary budynek o wielu dachach. Przed nimi wyrósł zagajnik drzew. Irian dostrzegła dęby i wierzby, kasztany i jesiony, a także wysokie świerki. Z mrocznej gęstwiny lasu wypływał strumień o zielonych brzegach. Liczne brązowe ślady zdradzały miejsca, w których krowy i owce schodziły do wodopoju lub by przejść na drugą stronę. Przebyli groblę, zostawiając za sobą pastwisko, na którym liczne stado owiec skubało krótką, soczystą trawę, i stanęli na brzegu strumienia.

— To ten dom — oznajmił mag, wskazując niski, porośnięty mchem dach chaty przycupniętej wśród cieni drzew. — Zostaniesz tu na noc?

Poprosił, by została, nie kazał jej. W odpowiedzi jedynie skinęła głową.

— Przyniosę jedzenie — dodał i odszedł, przyspieszając kroku. Wkrótce zniknął w plątaninie świateł i cieni pod gałęziami drzew, choć nie tak nagle jak Mistrz Imion. Irian patrzyła za nim, póki ostatecznie nie straciła go z oczu, a potem, przedzierając się przez wysokie trawy i chaszcze, dotarła do niewielkiego domu.

Wydawał się bardzo stary. Odbudowywano go kilka razy, lecz ostatnio bardzo dawno temu. Od wielu lat nikt tu nie mieszkał.

Świadczyła o tym atmosfera domu, jednak była przyjemna, jakby ci, którzy tu sypiali, sypiali spokojne. Jeśli zaś chodzi o rozpadające się ściany, myszy, pajęczyny i nieliczne, nędzne sprzęty, dla Irian nie było to nic nowego. Znalazła wyłysiała szczotkę i nieco pozamiatała. Na drewnianym łóżku rozłożyła swój pled. W szafce o wypaczonych drzwiach znalazła nadtłuczony dzbanek i napełniła go wodą ze strumienia — cicha, czysta struga płynęła zaledwie dziesięć kroków od drzwi domu. Wszystko to Irian czyniła jakby w transie. Potem zaś usiadła na trawie i zasnęła oparta plecami o rozgrzaną od słońca ścianę.

Kiedy się ocknęła, nieopodal siedział Mistrz Wzorów, a na trawie między nimi stał duży koszyk.

— Głodna? Jedz — powiedział.

— Zjem później, dziękuję — odparła Irian.

— Ja jestem głodny teraz — oznajmił mag. Wyjął z kosza ugotowane na twardo jajko, nadtłukł je, obrał i zjadł. — Kiedyś nazywano to miejsce Domem Wydry. Jest bardzo stare, tak stare jak Wielki Dom. Wszystko tu jest stare. Także my, mistrzowie.

— Ty nie. — Oceniła go na trzydzieści, może czterdzieści lat, choć trudno było orzec. Cały czas zdawało jej się, że włosy ma siwe, bo nie były czarne.

— Ale przybywam z daleka. Mile są jak lata. Jestem Kargiem z Karego. Słyszałaś o nas?

— Mroźni Ludzie. — Irian ze *zgrozą* wspomniała ballady Stokrotki o Mroźnych Ludziach, którzy przypłynęli ze wschodu, aby splądrować ich świat i piec na włóczniach niewinne dzieci, a także historię o tym, jak Erreth-Akbe utracił Pierścień Pokoju, i nowe pieśni oraz Opowieść Królewską o tym, jak Arcymag Krogulec zapuścił się pomiędzy Mroźnych Ludzi i powrócił z pierścieniem…

— Mroźni? — powtórzył Mistrz Wzorów.

— Lodowaci. Biali — wyjaśniła zawstydzona. Uciekła spojrzeniem w bok.

— Ach tak. — Odczekał chwilę. — Mistrz Przywołań także nie jest stary. — Wąskie oczy barwy lodu zerknęły na nią czujnie.

Nie odpowiedziała.

— Mam wrażenie, że się go przelękłaś. Skinęła głową, ale wciąż milczała.

— W cieniu tych drzew nie kryje się nic strasznego. Tylko prawda.

— Gdy mnie minął — rzekła cicho — ujrzałam grób.

— Ach! — westchnął Mistrz Wzorów.

Z kawałków skorupki jajka usypał stosik obok swego kolana. Rozsunął je, tworząc półokrąg, potem pełny krąg.

— Tak — powiedział, przyglądając się skorupkom. Lekko

poruszając ziemię palcami, zagrzebał je starannie i otrzepał dłonie. Jego spojrzenie co chwila wędrowało ku Irian. — Byłaś czarownicą?

— Nie.

— Ale dysponujesz wiedzą?

— Nie. Róża nie chciała mnie uczyć. Mówiła, że brak jej odwagi, bo mam moc, lecz ona nie wie jaką.

— Twoja Róża to mądry kwiatuszek. — Na twarzy maga nie dostrzegła ni cienia uśmiechu.

— Ale wiem, że mam… mam coś do zrobienia. Kimś muszę się stać. Dlatego właśnie chciałam tu przybyć. Żeby się dowiedzieć. Na Wyspie Mędrców.

Powoli przywykała już do jego dziwnej twarzy i potrafiła odczytywać z niej emocje. Teraz posmutniał. Jego głos brzmiał ostro, sucho, spokojnie.

— Mężczyźni na wyspie nie zawsze są mądrzy, hę? Może z wyjątkiem Odźwiernego. — Patrzył na nią nie ukradkiem, lecz wprost. Ich oczy się spotkały. — Ale tu, w lesie, pod drzewami, kryje się stara mądrość. Zawsze młoda. Nie mogę ci jej przekazać, mogę cię zabrać w głąb Gaju. — Po chwili wstał. — Tak?

— Tak — odparła niepewnie.

— Dom ci odpowiada?

— Tak…

— Jutro — powiedział i odszedł.

I tak przez pół miesiąca owego gorącego lata Irian sypiała w Domu Wydry, cichym i przytulnym, i jadała to, co przyniósł w koszu Mistrz Wzorów — jajka, ser, warzywa, owoce, wędzoną baraninę. A każdego popołudnia chodziła z nim do gaju wysokich drzew, gdzie ścieżki za każdym razem wyglądały inaczej i często wiodły znacznie dalej, niż, jak się zdawało, sięgała granica lasu. Wędrowali w milczeniu, podczas postojów rzadko się odzywali. Mag był cichym człowiekiem, choć dostrzegała w nim skrywaną porywczość. Nigdy nie okazywał tej strony swego charakteru. Irian czuła się przy nim swobodnie, był elementem Gaju, tak jak drzewa, rzadko widywane ptaki i czworonogie istoty. Powiedział, że nie będzie jej uczył, i dotrzymał słowa. Gdy wypytywała go o Gaj, oznajmił, że wraz z Pagórkiem Roke trwa on w tym samym miejscu, odkąd Segoy stworzył wyspy świata, i że cała magia kryje się u korzeni tutejszych drzew, które — być może — łączą się z korzeniami wszystkich lasów z przeszłości i przyszłości.

— Czasami Gaj jest w tym miejscu, a czasami w innym. Ale zawsze gdzieś istnieje.

Nigdy nie widziała, gdzie mieszkał Mistrz Wzorów. Wyobrażała sobie, że ciepłymi, letnimi nocami sypiał tam, gdzie zechce. Kiedyś spytała, skąd bierze jedzenie. Odparł, że to, czego nie dostarcza

Szkoła, przynoszą miejscowi rolnicy, uważając za wystarczające wynagrodzenie świadomość, że mistrzowie Roke strzegą czarami ich stad, pól i sadów. To ją przekonało. Na Way “czarnoksiężnik bez swej owsianki" oznaczał coś niezwykłego, wielki dziw. Ona jednak nie była czarnoksiężnikiem. Pragnąc zatem zarobić na swą owsiankę, postarała się jak najlepiej naprawić Dom Wydry. Narzędzia pożyczała od rolnika, gwoździe i gips kupowała w Thwil, bo wciąż pozostała jej połowa pieniędzy za ser.

Mistrz Wzorów nigdy nie przychodził do niej przed południem, miała zatem wolne poranki. Przywykła do samotności, nadal jednak tęskniła za Różą, Stokrotką i Królikiem, kurczakami i krowami, owcami i hałaśliwymi, niemądrymi psami, za pracą wykonywaną w domu, by utrzymać w całości starą Irię i zapewnić domownikom wikt. Każdego ranka pracowała niespiesznie, póki nie dostrzegła maga wyłaniającego się spośród drzew. Jego włosy barwy słońca lśniły w promieniach słonecznych.

W samym Gaju nie myślała nawet o jedzeniu, pragnieniach czy nauce. Wystarczało jej, że jest w tym miejscu.

Gdy spytała go, czy do Gaju przychodzą uczniowie z Wielkiego Domu, odparł: “Czasami". Innym razem rzekł: “Moje słowa są niczym. Słuchaj liści".

Jedynie to można było nazwać nauką. Gdy tak szła, słuchała liści szeleszczących i szumiących w porywach wiatru, patrzyła na roztańczone cienie i myślała o korzeniach drzew, ukrytych głęboko w mroku ziemi. Była pogodzona ze sobą, zadowolona, że tu jest. A jednak stale czuła, że na coś czeka, choć w czekaniu tym nie dostrzegała ani krzty niepokoju czy niecierpliwości. Owo milczące oczekiwanie stawało się najwyraźniejsze, najgłębsze, kiedy opuszczała schronienie lasu i dostrzegała nad głową otwarte niebo.

Pewnego dnia, gdy zapuścili się wyjątkowo daleko i drzewa, wysokie, wiecznie zielone, należące do nieznanego jej gatunku, wznosiły się bez ruchu wokół nich, usłyszała krzyk — odgłos rogu, płacz? — skądś z zachodu, z daleka, ledwie słyszalny. Zamarła. Mag szedł dalej i odwrócił się, dopiero gdy dostrzegł, że się zatrzymała.

— Słyszałam… — zaczęła, lecz nie potrafiła opisać co. Począł nasłuchiwać. Gdy w końcu ruszyli dalej, wędrowali w ciszy pogłębionej jeszcze i wzmocnionej przez ów odległy krzyk. Nigdy nie wchodziła do Gaju bez niego. Minęło wiele dni, nim pierwszy raz pozostawił ją tam samą. Jednak pewnego gorącego popołudnia, gdy dotarli na łąkę w kręgu dębów, rzekł:

— Wrócę tu, hę?

Odszedł szybkim, bezszelestnym krokiem, niemal natychmiast znikając w gąszczu świateł i cieni lasu.

Nie miała ochoty zapuszczać się samotnie dalej. Spokój tego

miejsca zachęcał do bezruchu, obserwacji, nasłuchiwania. Wiedziała też, jak podstępne bywają tu ścieżki, i że Gaj jest, jak to ujął Mistrz Wzorów, “większy wewnątrz niż na zewnątrz". Usiadła w plamie słonecznego blasku, patrząc na cienie liści tańczące na ziemi. Zagajnik dębowy wydawał się dość rozległy. Chociaż nigdy nie widziała w lesie dzikich świń, tutaj dostrzegła ich ślady. Przez moment poczuła w nozdrzach woń lisa. Jej myśli wędrowały daleko, lekkie niczym wietrzyk w ciepłym blasku słońca.

Często odnosiła wrażenie, że jej umysł zamiast myśli wypełnia sam las. Tego dnia jednak powróciły do niej wspomnienia. Pomyślała o Kości, o tym, że nigdy już go nie zobaczy. Zastanawiała się, czy znalazł statek, który zabrałby go do Havnoru. Powiedział, że nie wróci do Zachodniego Stawu. Dla niego na całym świecie liczył się tylko Wielki Port, królewskie miasto; wyspa Way mogła zatonąć w morzu głęboko jak Solea. Irian jednak wspominała z miłością drogi i pola Way, myślała o wiosce Stara Iria, o błotnistym źródle pod wzgórzem, starym dworze na szczycie; myślała o Stokrotce, śpiewającej w kuchni zimowymi wieczorami ballady i wystukującej rytm drewniakami, o starym Króliku w winnicach, trzymającym w dłoni ostry jak brzytwa nóż — kiedyś pokazywał jej, jak przycinać winorośl “aż do miejsca, w którym zaczyna się życie" — i o Róży, Etaudis, szepczącej uroki łagodzące ból w złamanej ręce dziecka. Znałam mądrych ludzi, pomyślała. Gdy przypomniała sobie ojca, jej myśli rozbiegły się gwałtownie, później jednak ruchy liści i cieni zwabiły je z powrotem. Ujrzała go pijanego, wrzeszczącego; poczuła na sobie natrętne, drżące ręce. Widziała, jak ojciec płacze, chory, zawstydzony, zrozpaczony. Jak uczucia te wzbierają w jego ciele i znikają niczym ból zastałych mięśni. Znaczył dla niej mniej niż matka, której nigdy nie poznała.

Przeciągnęła się, rozleniwiona ciepłem słonecznym, a jej myśli powędrowały z powrotem do Kości. Nigdy w życiu nikogo nie pragnęła. Gdy pierwszy raz ujrzała młodego czarnoksiężnika, szczupłego i aroganckiego, bardzo chciała móc go pragnąć. Nie pragnęła jednak, nie potrafiła. Uznała zatem, iż chronią go zaklęcia. Róża wyjaśniła jej, jak działają zaklęcia magów: “Ta myśl nigdy nie pojawia się w twojej głowie ani w ich głowach, bo mówią, że coś takiego osłabiłoby ich moc". Lecz Kość, biedny Kość nie miał żadnej ochrony. Jeśli na kogoś rzucono czar wstrzemięźliwości, to na nią, choć bowiem był uroczy i przystojny, nigdy niczego do niego nie czuła, jedynie sympatię, a pożądała wyłącznie wiedzy, którą mógł jej przekazać.

Zastanowiła się nad sobą, siedząc tak w głębokiej ciszy Gaju. Nie śpiewał tu żaden ptak, wietrzyk ucichł, liście znieruchomiały. Czy jestem zaklęta? Czy jestem istotą o jałowym łonie, niecałą, niekobietą? — spytała samą siebie, patrząc na swe silne, nagie ręce,

na niewielkie wzgórki piersi w cieniu pod koszulą.

Uniosła wzrok i zobaczyła Mroźnego Człowieka, który wynurzył się właśnie z cienistej ścieżki pomiędzy wielkimi dębami i ruszył ku niej przez polanę.

Zatrzymał się przed nią. Poczuła, że się rumieni. Twarz i gardło piekło ją, kręciło jej się w głowie, w uszach dzwoniło. Nie umiała *znaleźć* słów, nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć, by odwrócić od siebie uwagę. Usiadł obok niej. Spuściła wzrok, udając, że ogląda zbutwiały liść leżący tuż przy jej dłoni.

Czego ja chcę? Nagle dostrzegła odpowiedź, nieujętą w słowach, lecz zamkniętą w jej ciele i duszy: ognia, większego ognia, lotu, ognistego lotu…

Nagle znów stała się sobą. Siedziała w ciszy pod drzewami, Mroźny Człowiek siedział obok ze spuszczoną głową i pomyślała, że wygląda krucho i niegroźnie, pogrążony w smutku i żałobie. Nie miała się czego bać. Nic się nie stanie.

Spojrzał na nią.

— Słyszysz liście?

Znów powiał lekki wietrzyk. Liście szeptały wśród dębów.

— Ledwo-ledwo — odparła.

— Słyszysz słowa? — Nie.

Nie pytała o nic, a on nic nie mówił. Po chwili wstał i ruszyła za nim ścieżką, która zawsze wcześniej czy później wyprowadzała ich z lasu na łąkę nad potokiem Thwilburn, obok Domu Wydry. Gdy tam dotarli, zbliżał się już wieczór. W miejscu, w którym potok wypływał z lasu ponad brodem, mag zaczerpnął wody, Irian uczyniła podobnie. A potem, siedząc na długiej, zimnej trawie na brzegu, zaczął mówić.

— Mój lud, Kargowie, oddaje cześć bogom, bliźniaczym bogom, braciom. Tamtejszy król także jest bogiem, jednakże przed nimi i po nich istniały i istnieć będą strumienie, jaskinie, kamienie, wzgórza, drzewa, ziemia, mrok w głębi ziemi.

— Stare Moce — wtrąciła Irian. Skinął głową.

— Tamtejsze kobiety znają Stare Moce, tutejsze czarownice także. To zła wiedza, hę?

Jego krótkie pytające “hę" na końcu zdania zawsze ją zaskakiwało. Nie odpowiedziała.

— Ciemność jest zła, hę?

Irian odetchnęła głęboko i spojrzała mu prosto w oczy.

— Tylko w ciemności światło — rzekła.

Westchnął. Odwrócił wzrok, toteż nie dostrzegła wyrazu jego twarzy.

— Powinnam odejść — powiedziała. — Mogę wędrować po Gaju, ale nie mogę w nim żyć. To nie moje… moje miejsce, a Mistrz Pieśni twierdzi, że przebywając tutaj, czynię zło.

— Wszyscy w swym życiu czynimy zło — powiedział Mistrz Wzorów.

A potem zrobił coś, co często mu się zdarzało: ułożył wzór z tego, co miał pod ręką. Na piaszczystym brzegu rozłożył ogonek liścia, źdźbło trawy i kilka kamyków, przyjrzał się im uważnie, po czym *zaczai* je przesuwać.

— Teraz muszę opowiedzieć o złu — oznajmił. Po długiej chwili ciszy znów zaczął mówić:

— Wiesz, że smok przyniósł tu z wybrzeży śmierci naszego pana Krogulca i młodego króla. Potem zabrał Krogulca do domu, bo jego moc odeszła. Nie był już magiem. Mistrzowie Roke spotkali się zatem, by wybrać nowego Arcymaga, tu, w Gaju. Jak zawsze. Ale nie jak zawsze.

Przed przybyciem smoka Mistrz Przywołań także powrócił z krainy śmierci, do której może go zabrać jego sztuka. I tam, w krainie po drugiej stronie kamiennego muru, widział naszego pana i młodego króla. Twierdził, że już nie wrócą. Mówił, że pan Krogulec polecił mu powrócić do nas, do życia, i przekazać tę wieść. Opłakiwaliśmy zatem naszego pana.

Potem jednak zjawił się smok Kalessin i przyniósł go żywego.

Mistrz Przywołań był z nami, gdy stanęliśmy na Pagórku Roke i ujrzeliśmy, jak Arcymag klęka przed królem Lebannenem. A potem, gdy smok uniósł naszego przyjaciela, Mistrz Przywołań runął na ziemię.

Leżał jak martwy, zimny, jego serce nie biło, lecz wciąż oddychał. Mistrz Ziół dokładał wszelkich starań, nie mógł go jednak ocucić.

Jest martwy, orzekł. Oddycha, ale jest martwy. Toteż go opłakiwaliśmy, a potem, ponieważ ogarnął nas niepokój, a moje wzory zwiastowały zmiany i niebezpieczeństwo, spotkaliśmy się, by wybrać nowego Strażnika Roke, Arcymaga, który by nas poprowadził.

Na miejscu Mistrza Przywołań posadziliśmy młodego króla. Wydawało się stosowne, by zasiadł pośród nas. Jedynie Mistrz Przemian był przeciw, jednak ustąpił.

Zatem spotkaliśmy się, zasiedliśmy razem i nie mogliśmy dokonać wyboru. Mówiliśmy o tym i o tamtym, nikt jednak wymienił żadnego imienia. Potem zaś ja… Nawiedziło mnie coś, co mój lud nazywa *eduevctnu,* innym oddechem. Słowa przyszły same, a ja je wypowiedziałem. Rzekłem: *Hama Gondun!* Kurremkarmerruk wyjaśnił, że po hardycku znaczy to “kobieta na Goncie". Kiedy odzyskałem zmysły, nie potrafiłem rzec, co oznaczają te słowa. I tak rozstaliśmy się, nie wybrawszy Arcymaga.

Król odpłynął wkrótce potem, Mistrz Wiatrów pożeglował wraz z nim. Przed koronacją udali się na Gont, szukając naszego pana, by dowiedzieć się, co znaczą słowa “kobieta na Goncie". Lecz znaleźli

jedynie moją rodaczkę Tenar od Pierścienia, ta zaś rzekła, że nie jest kobietą, której szukają. Wrócili z niczym, z pustymi rękami. Lebannen zatem uznał, iż proroctwo dopiero się wypełni i w Havnorze sam włożył sobie koronę na głowę.

Mistrz Ziół i ja także uznaliśmy, że Mistrz Przywołań nie żyje. Sądziliśmy, że jego oddychanie to pozostałość zaklęcia jego własnej sztuki, której nie rozumiemy, tak jak zaklęcie znane wężom, sprawiające, iż ich serca biją długo jeszcze po śmierci. Choć pogrzebanie oddychającego ciała wydawało nam się straszne, był jednak zimny, krew nie krążyła mu w żyłach, nie miał w sobie duszy, i to było straszniejsze. Poczyniliśmy zatem przygotowania do pogrzebu. I wówczas nad grobem otworzył oczy, poruszył się i przemówił:

"Przywołałem się do krainy *życia.,* aby uczynić to, co uczynić trzeba".

Głos Mistrza Wzorów brzmiał ochryple. Nagle mag roztrącił dłonią leżące na piasku kamyki.

— Kiedy Mistrz Wiatrów powrócił, znów było nas dziewięciu, ale podzielonych. Mistrz Przywołań twierdził, że musimy spotkać się raz jeszcze i wybrać Arcymaga. Król nie powinien zasiadać między nami, rzekł, a kobieta na Goncie, kimkolwiek jest, nie ma czego szukać pośród mężczyzn na Roke, hę. Mistrzowie Wiatrów, Pieśni, Przemian i Sztuk twierdzą, że ma rację. Mówią też, że tak jak król Lebannen powrócił z krainy śmierci, wypełniając proroctwo, tak i Arcymag z niej powróci.

— Ale… — zaczęła Irian i urwała.

Po chwili Mistrz Wzorów podjął swą opowieść.

— Jego sztuka, przywołania, to… kunszt przerażający. Kryje się w nim niebezpieczeństwo. Tutaj — uniósł wzrok, spoglądając w zielono-złoty mrok między drzewami — nie ma przywołań. Nikt nie przekracza muru. Nie ma muru.

Jego twarz była twarzą wojownika, kiedy jednak spoglądał na drzewa, łagodniała, malowała się na niej tęsknota.

— A teraz — dodał — uczynił z ciebie powód naszego spotkania. Nie pójdę jednak do Wielkiego Domu. Nie dam się przywołać.

— On tu nie przyjdzie?

— Wątpię, by wszedł do Gaju czy na Pagórek Roke. Na Pagórku wszystkie *rzeczy* są tym, czym są naprawdę.

Nie wiedziała, co miał na myśli, nie pytała jednak, zajęta czymś innym.

— Mówisz, że to ja jestem powodem, dla którego macie się dziś spotkać?

— Owszem. Trzeba dziewięciu magów, by odesłać jedną kobietę. — Bardzo rzadko się uśmiechał, a gdy to czynił, był to uśmiech ostry, gwałtowny. — Mamy się spotkać, aby nie dopuścić do

złamania Reguły Roke i by wybrać Arcymaga.

— Gdybym odeszła… — ujrzała, jak kręci głową. — Mogłabym iść do Mistrza Imion…

— Tu jesteś bezpieczniejsza.

Myśl o tym, że miałaby czynić zło, niepokoiła ją, ani razu jednak nie pomyślała, że mogłoby jej coś grozić. Nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

— Nic mi nie będzie. Czyli Mistrz Imion, ty i Odźwierny…?

— Nie chcemy, by Thorion został Arcymagiem. Podobnie Mistrz Ziół, choć tylko kopie w ziemi i prawie się nie odzywa. — Dostrzegł, że Irian patrzy na niego ze zdumieniem. — Mistrz Przywołań Thorion używa prawdziwego imienia. W końcu umarł, hę?

Irian wiedziała, że król Lebannen otwarcie posługuje się swym prawdziwym imieniem. On także powrócił z krainy śmierci. Jednakże fakt, iż podobnie czyni Mistrz Przywołań, nadal ją niepokoił.

— A… uczniowie?

— Także są podzieleni.

Pomyślała o Szkole, w której tak krótko przebywała. Z tego miejsca, z głębi Gaju ujrzała ją znowu: kamienne mury zamykające jeden gatunek istot i nie dopuszczające innych niczym zagroda, klatka. Jak ktokolwiek w tej klatce mógł zachować równowagę? Mistrz Wzorów przesunął cztery kamyki, układając na piasku półksiężyc.

— Żałuję, że Krogulec odszedł — powiedział. — Chciałbym umieć odczytać to, co kryje się wśród cieni. Słyszę jednak tylko liście powtarzające: “Zmiana, zmiana, zmiana". Wszystko się zmieni. Prócz nich.

Spojrzał tęsknie na drzewa. Słońce zachodziło. Mistrz Wzorów wstał, pożegnał ją cicho i odszedł, znikając wśród pni.

Dłuższą chwilę Irian siedziała na brzegu Thwilburn. Czuła niepokój wywołany tym, co usłyszała i o czym myślała, czego doświadczyła w Gaju. Martwiła się też, że jakakolwiek myśl bądź uczucie mogło ją tam dotknąć. Wróciła do domu, przygotowała sobie kolację: wędzone mięso, chleb, sałatę. Zjadła, w ogóle nie czując smaku. Potem wyszła nad wodę. Był ciepły, cichy wieczór, tylko najjaśniejsze gwiazdy przyświecały przez biały woal mgły. Irian zsunęła sandały i weszła do strumienia. W zimnej wodzie wyczuwała cieplejsze prądy. Zdjęła ubranie, męskie nogawice i koszulę — tylko to miała — i naga zanurzyła się powoli, czując, jak prąd napiera na jej ciało. W Irii nigdy nie pływała w strumieniach, nienawidziła też morza, szarego, zimnego, rozkołysanego. Lecz dziś cieszyła się tą bystrą wodą. Brodziła w niej i pływała, muskając dłońmi jedwabiste, gładkie kamienie i swoją jedwabistą skórę, nogi oplatały jej pędy wodnych roślin, a strumień zmywał wszelkie troski i niepokój, toteż unosiła się w nim radośnie, spoglądając w górę, ku białym, rozmytym

ognikom gwiazd.

Przeszedł ją dreszcz. Woda stała się nagle zimna. Irian, wciąż odprężona, rozleniwiona, uniosła wzrok i ujrzała na brzegu czarną postać mężczyzny.

Zerwała się na równe nogi.

— Wynoś się! — krzyknęła. — Precz, ty zdrajco, parszywy łotrze! Wyrwę ci wątrobę!

Rzuciła się w stronę brzegu, chwytając garściami twardą, ostrą trawę, i wygramoliła się na górę. Nikogo tam nie było. Stała sama, rozpalona, trzęsąc się z wściekłości. Z powrotem zeskoczyła na dół, znalazła ubranie i naciągnęła je, wciąż klnąc pod nosem.

— Tchórz! Zdrajca! Sukinsyn!

— Irian?

— On tu był! — krzyknęła. — Ten padalec o zgniłym sercu, Thorion. — Szybko ruszyła w stronę Mistrza Wzorów, który stał obok domu, skąpany w blasku gwiazd. — Pływałam w strumieniu, a on mnie podglądał!

— To tylko jego bezcielesna postać. Nie zrobiłaby ci krzywdy, Irian.

— Postać z oczami, postać, która widzi! Niechaj będzie… — urwała, bo nagle zabrakło jej słów. Czuła się zbrukana. Zadrżała i przełknęła zimną ślinę zbierającą się w ustach.

Mistrz Wzorów podszedł bliżej i ujął jej dłonie. Ręce miał ciepłe, a ona była tak zmarznięta, że przytuliła się do niego, szukając ciepła. Stali tak chwilę, odwracając od siebie twarze, lecz ze złączonymi rękami. W końcu oderwała się od niego, wyprostowała i odrzuciła mokre włosy.

— Dziękuję — powiedziała. — Zmarzłam.

— Wiem.

— Ja nigdy nie marznę — dodała. — To przez niego.

— Powtarzam ci, Irian, on nie może tu przyjść. Nie może cię tu skrzywdzić.

— Nigdzie nie może mnie skrzywdzić. — W jej żyłach znów płynął ogień. — Jeżeli spróbuje, zniszczę go.

Mistrz Wzorów westchnął. Spojrzała na niego w blasku gwiazd.

— Podaj mi swoje imię. Nie to prawdziwe, ale jakieś, którym mogłabym cię nazywać, kiedy o tobie myślę.

Przez chwilę milczał, wreszcie rzekł:

— W Karego-At, gdy byłem barbarzyńcą, nazywano mnie Azver. Po hardycku oznacza to Proporzec Wojenny.

— Dziękuję — powiedziała.

***

Leżała bez ruchu w małym domku, oddychając dusznym, nieruchomym powietrzem. Czuła, że sufit na nią napiera. A potem nagle zasnęła głęboko. Obudziła się równie niespodziewanie, gdy niebo na wschodzie zaczęło dopiero jaśnieć. Podeszła do drzwi i ujrzała to, co uwielbiała najbardziej: niebo przed wchodem słońca. Odwróciła głowę i dostrzegła Mistrza Wzorów Azvera. Opatulony w szary płaszcz, spał smacznie na ziemi za progiem. Bezszelestnie cofnęła się do domu. Po jakimś czasie zobaczyła, że Azver wraca do swego lasu nieco sztywnym krokiem, drapiąc się po głowie jak ludzie, którzy jeszcze nie do końca się dobudzili.

Zabrała się do pracy, czyszcząc wewnętrzną ścianę domu, przygotowując ją do tynkowania. Nim słońce jasno zaświeciło w oknach, usłyszała pukanie do otwartych drzwi. Na zewnątrz stał człowiek, którego wzięła za ogrodnika, Mistrz Ziół, mocny, budzący zaufanie, a obok niego wychudzony, ponury, stary Mistrz Imion.

Podeszła do drzwi i wymamrotała słowa powitania. Onieśmielali ją owi mistrzowie z Roke. Ich wizyta oznaczała, że spokój dobiegł końca, że nie będzie już więcej milczących wędrówek po lesie u boku Mistrza Wzorów. Wszystko to skończyło się zeszłej nocy. Wiedziała o tym, ale nie dopuszczała do siebie tej wiedzy.

— Wezwał nas Mistrz Wzorów — oznajmił Mistrz Ziół. Sprawiał wrażenie zakłopotanego. Dostrzegając kępkę roślin pod oknem, dodał: — To aksamitnik. Zasadził go tu ktoś z Havnoru. Nie wiedziałem, że rośnie na wyspie. — Uważnie obejrzał roślinkę i schował do sakiewki kilka strączków.

Irian ukradkiem przyglądała się Mistrzowi Imion, próbując zgadnąć, czy jest tylko bezcielesną postacią, czy człowiekiem z krwi i kości. Nic w jego osobie nie sprawiało wrażenia niematerialnego, zdawało jej się jednak, że tak naprawdę go tu nie ma, a gdy stanął w ukośnych promieniach słońca, nie rzucając cienia, zrozumiała, że ma rację.

— Czy daleko stąd mieszkasz, panie? — spytała. Skinął głową.

— Pozostawiłem siebie w połowie drogi.

Uniósł wzrok. Mistrz Wzorów zbliżał się ku nim, czujny, przebudzony.

Powitał ich krótko.

— A Odźwierny? Przyjdzie?

— Powiedział, że lepiej będzie, jeśli zostanie przy drzwiach — odparł Mistrz Ziół. Zamknął ostrożnie sakiewkę o wielu kieszeniach i powiódł wzrokiem po pozostałych. — Nie wiem jednak, czy zdoła utrzymać pod korcem to mrowisko.

— Co się dzieje? — spytał Kurremkarmerruk. — Czytałem o smokach, nie zwracałem na nic uwagi. Lecz wszyscy chłopcy uczący

się w Wieży odeszli.

— Zostali przywołani — powiedział sucho Mistrz Ziół.

— I co z tego? — rzucił Mistrz Imion równie oschłym tonem.

— Mówię tylko, co mi się zdaje. — Mistrz Ziół był wyraźnie zakłopotany.

— Nie krępuj się — zachęcił go stary mag. Tamten wciąż się wahał.

— Ta pani nie należy do naszej Rady — mruknął w końcu.

— Ale do mojej, owszem — wtrącił Azver.

— Przybyła w tym czasie do tego miejsca — dodał Mistrz Imion — a do tego miejsca w tym czasie nikt nie przybywa przypadkiem. Wszyscy wiemy jedynie, co nam się zdaje. Poza imionami kryją się inne imiona, panie uzdrowicielu.

Ciemnooki mag skłonił głowę.

— Dobrze — rzekł, z wyraźną ulgą przyjmując ich osąd. — Thorion wiele rozmawiał z innymi mistrzami i z młodzieżą. Tajemne spotkania, wewnętrzne kręgi, plotki, szepty. Młodsi uczniowie się boją. *Kilku* spytało mnie bądź Odźwiernego, czy mogą odejść. Pozwoliliśmy im, w porcie jednak nie ma ani jednego statku i żaden nie zawinął do Zatoki Thwil, odkąd tamten przywiózł cię, pani, i następnego dnia pożeglował na Wathort. Mistrz Wiatrów wzbudził wiatr z Roke. Nawet gdyby przybył tu sam król, nie wylądowałby na wyspie.

— Póki nie zmieni się wiatr, hę? — wtrącił Mistrz Wzorów.

— Thorion twierdzi, że Lebannen nie jest prawdziwym królem, bo nie ukoronował go Arcymag.

— To bzdura niezgodna z historią! — rzucił stary Mistrz Imion. — Pierwszy Arcymag nastał całe wieki po odejściu ostatnich królów. Roke włada w imieniu króla.

— Och! — westchnął Mistrz Wzorów. — Dozorcy trudno jest oddać klucze, gdy do domu wróci właściciel.

— Pierścień Pokoju został uleczony — dodał Mistrz Ziół swym cierpliwym, znękanym głosem. — Proroctwo wypełniło się, syn Morreda przywdział koronę. A jednak brak nam pokoju. Gdzie popełniliśmy błąd? Czemu nie możemy odnaleźć równowagi?

— Co planuje Thorion? — spytał Mistrz Imion.

— Sprowadzić tu Lebannena — odparł Mistrz Ziół. — Chłopcy gadają o “prawdziwej koronie". Drugiej koronacji. Z ręki Arcymaga Thoriona.

— Niech się odwróci! — wykrzyknęła odruchowo Irian, czyniąc znak nie pozwalający, by słowa stały się ciałem. Żaden z magów się nie uśmiechnął, a Mistrz Ziół po chwili powtórzył jej gest.

— Jak mu się udaje zawładnąć nimi wszystkimi? — zapytał Mistrz Imion. — Mistrzu Ziół, byłeś tam, gdy Irioth rzucił wyzwanie

Krogulcowi i Thorionowi. Jego dar był równie wielki jak Thoriona. Wykorzystywał ludzi, całkowicie nad nimi panował. Czy to właśnie czyni Thorion?

— Nie wiem. Mogę tylko rzec, że kiedy jestem z nim w Wielkim Domu, czuję, że nie można zrobić niczego, co nie zostało już kiedyś zrobione, że nic się nie zmieni, nic nie urośnie. Nieważne, jakich leków użyję, choroba zakończy się śmiercią. — Powiódł po nich wzrokiem zranionego zwierzęcia. — I myślę, że to prawda. Nie da się odzyskać równowagi, jeśli będziemy nadal łamać zasady. Posunęliśmy się za daleko. Kiedy Arcymag i Lebannen wkroczyli do krainy śmierci i powrócili — to nie było właściwe. Złamali prawo, którego łamać nie wolno. Thorion powrócił, by to naprawić.

— To znaczy, odesłać ich do krainy śmierci? — dokończył Mistrz Imion, a Mistrz Wzorów rzekł:

— Kto wie, jakie jest prawo?

— Istnieje mur — odparł Mistrz Ziół.

— Jego korzenie nie sięgają tak głęboko, jak korzenie moich drzew — powiedział Mistrz Wzorów.

— Masz jednak rację, nie odzyskaliśmy równowagi — wtrącił Kurremkarmerruk ostrym, twardym głosem. — Kiedy, gdzie posunęliśmy się za daleko? O czym zapomnieliśmy? Co przeoczyliśmy, do czego odwróciliśmy się plecami?

Irian patrzyła to na jednego, to na drugiego maga.

— Gdy równowaga zostaje zachwiana, trwanie w bezruchu nic nie da, tylko wszystko pogarsza — oznajmił cicho Mistrz Wzorów.

— Póki… — Uczynił szybko gest odwrócenia, unosząc otwartą dłoń i znów ją opuszczając.

— Co jest gorsze niż przywołanie samego siebie z krainy śmierci? — spytał Mistrz Imion.

— Thorion był z nas najlepszy. Śmiałe serce, szlachetny umysł.

— Mistrz Ziół przemawiał niemal w gniewie. — Krogulec go kochał, podobnie jak my wszyscy.

— Dopadło go sumienie — dodał Mistrz Imion. — Sumienie podpowiedziało, że tylko on może wszystko naprawić. By to uczynić, odrzucił własną śmierć, i tym samym odrzucił życie.

— Ale kto stanie przeciw niemu? — spytał Mistrz Wzorów. — Ja mogę jedynie ukrywać się w mym lesie.

— A ja w mojej wieży — dokończył Mistrz Imion. — Ty zaś, Mistrzu Ziół, i Odźwierny tkwicie w pułapce, w Wielkim Domu, wśród ścian, które wznieśliśmy, by nie dopuszczać do środka zła. Czy też, jak w tym przypadku, nie wypuszczać go na zewnątrz.

— Jest nas czterech przeciw jednemu — rzekł Mistrz Wzorów.

— Przeciw pięciu — poprawił Mistrz Ziół. Mistrz Imion westchnął.

— Czyżby do tego przyszło, że stoimy na kraju lasu zasadzonego przez Segoya i rozważamy, jak się zniszczyć nawzajem?

— Tak — powiedział Mistrz Wzorów. — To, co zbyt długo trwa niezmienione, niszczy samo siebie. Las jest wieczny, bo wciąż umiera i umiera; dzięki temu żyje. Nie pozwolę, by dotknęła mnie martwa ręka Thoriona, by dotknęła króla, który przyniósł nam nadzieję. Moimi ustami złożono nam obietnicę. Ja wymówiłem te słowa: “kobieta na Goncie". Nie pozwolę, by o nich zapomniano.

— Czy zatem powinniśmy wyruszyć na Gont? — spytał Mistrz Ziół, zarażając się pasją dźwięczącą w słowach Azvera. — Jest tam Krogulec.

— I Tenar od Pierścienia — dodał Azver.

— Może też cała nasza nadzieja — dokończył Mistrz Imion. Stali w ciszy, niepewni, pielęgnując skrywaną nadzieję. Irian także milczała, lecz jej nadzieja zniknęła, zastąpiona poczuciem wstydu i świadomością własnej małości. Oto mężni, mądrzy ludzie próbujący ocalić to, co kochają, choć nie wiedzą, jak to uczynić. Nie była mądra jak oni. Nie uczestniczyła w ich decyzjach. Odeszła na bok, a oni niczego nie zauważyli. Ruszyła brzegiem Thwilburn. W miejscu gdzie potok wypływał spomiędzy drzew, pienił się na kamieniach. Woda lśniła w słońcu, bulgotała radośnie. Irian miała ochotę się rozpłakać, ale łzy nie przychodziły jej łatwo. Patrzyła w wodę; wstyd powoli przeradzał się w gniew. Po chwili wróciła do trzech magów.

— Azverze — rzekła.

Odwrócił się do niej, zaskoczony, i postąpił krok naprzód.

— Czemu złamałeś dla mnie Regułę? — zapytała. — Czy to sprawiedliwe, skoro nie mogę stać się taka jak wy?

Azver zmarszczył brwi.

— Odźwierny wpuścił cię, bo o to poprosiłaś. Ja przyprowadziłem cię do Gaju, gdyż nim jeszcze w ogóle przybyłaś na Roke, liście drzew powtarzały mi twoje imię. Irian, mówiły, Irian. Nie wiem, czemu tu jesteś, ale nie przypadkiem. Mistrz Przywołań także to wie.

— Może przybywam, by go zniszczyć. Patrzył na nią w milczeniu.

— Może przybywam, by zniszczyć Roke. Na te słowa jego blade oczy rozbłysły.

— Spróbuj!

Przebiegł ją dreszcz. Nagle poczuła się większa niż Azver, większa niż ona sama, ogromna. Mogła wyciągnąć palec i zniszczyć go. Stał przed nią samotny, mały, odważny, ulotny człowiek, zbrojny jedynie w śmiertelność i swe człowieczeństwo. Głęboko zaczerpnęła powietrza. Cofnęła się.

Poczucie olbrzymiej siły zaczęło ją opuszczać. Lekko odwróciła głowę i ze zdumieniem spojrzała na własną rękę, podwinięty rękaw, stopy w sandałach pośród zimnej, zielonej trawy. Ponownie

popatrzyła na Mistrz Wzorów; wciąż wydawał jej się słaby i kruchy. Żałowała go i szanowała. Chciała go ostrzec przed niebezpieczeństwem, jakie mu *zagraża,* nie mogła jednak znaleźć słów. Zawróciła na pięcie *i* poszła na brzeg strumienia Thwilburn. Tam przykucnęła, kryjąc twarz w dłoniach, nie dopuszczając go do siebie, nie dopuszczając całego świata.

Głosy pogrążonych w rozmowie magów były niczym szum rwącego strumienia. Strumień powtarzał własne słowa, oni także, lecz żadne z nich nie było tym właściwym.

IV. IRIAN

Gdy Azver dołączył do pozostałych, jego twarz miała dziwny wyraz.

— Co się stało? — spytał Mistrz Ziół.

— Nie wiem. Może nie powinniśmy opuszczać Roke.

— Zapewne i tak nie zdołamy — odparł tamten. — Jeśli Mistrz Wiatrów zwróci je przeciw nam…

— Wracam tam, gdzie jestem — oznajmił nagle Kurremkarmerruk. — Nie lubię pozostawiać siebie samego niczym starego buta. Spotkamy się wieczorem.

I zniknął.

— Chciałbym przejść się trochę wśród twoich drzew, Azverze. — Mistrz Ziół westchnął głęboko.

— Idź, Deyala. Ja zostanę tutaj.

Mistrz Ziół odszedł. Azver usiadł na szorstkiej ławie zrobionej przez Irian i oparł się o frontową ścianę domu. Spojrzał ku dziewczynie przycupniętej nieruchomo na brzegu strumienia. Owce pasące się na łąkach pomiędzy nimi a Wielkim Domem beczały cicho. Coraz bardziej grzało słońce.

Ojciec nazwał go Proporcem Wojennym. On sam przybył na zachód, porzucając wszystko, co znał, i otrzymał swe prawdziwe imię od drzew w Gaju Wewnętrznym, po czym stał się Mistrzem Wzorów z Roke. Przez ostatni rok wzory wśród korzeni i cieni gałęzi, milcząca mowa lasu mówiła tylko o zniszczeniu, przejściu, zmianie. Teraz wiedział, że zmiana nadeszła wraz z Irian.

Gdy ją ujrzał, zrozumiał, że za nią odpowiada. Była pod jego opieką. I choćby przybyła, by zniszczyć Roke, on wciąż musi jej służyć i czynił to chętnie. Wędrowała z nim po Gaju, wysoka, niezgrabna, nieulękła. Wielką dłonią odsuwała cierniste gałęzie jeżyn. Jej oczy, bursztynowobrązowe niczym woda potoku Thwilburn o zmierzchu, dostrzegały wszystko. Słuchała, milczała. Chciał jej bronić i wiedział, że nie może. Kiedy zmarzła, oddał jej trochę ciepła. Nie miał nic innego, co mógłby jej dać. Sama pójdzie tam, gdzie będzie musiała iść. Nie pojmowała niebezpieczeństwa. Nie dysponowała mądrością, jedynie swą niewinnością; jej zbroją był tylko gniew. Kim jesteś, Irian? — spytał w myślach, patrząc na przycupniętą na brzegu dziewczynę. Była niczym skrzywdzone nieme zwierzę.

Przyjaciel powrócił z lasu i usiadł obok niego. Chwilę trwali w milczeniu. W południe odszedł do Wielkiego Domu, umawiając się, że rankiem przyprowadzi Odźwiernego. Poproszą innych mistrzów, by spotkali się z nimi w Gaju.

— Ale on nie przyjdzie — rzekł Deyala i Azver skinął głową. Cały

dzień trzymał się w pobliżu Domu Wydry, obserwując Irian. Zmusił ją, by coś zjadła. Posłusznie przyszła do domu, po posiłku jednak wróciła na brzeg i usiadła tam w bezruchu. On także poczuł, że jego ciało zapada w letarg, podobnie umysł, że ogarnia go pragnienie, z którym walczył, lecz nie mógł się otrząsnąć. Pomyślał o oczach Mistrza Przywołań. Nagle poczuł zimno, przejmujące zimno, choć siedział na ławce w letnim słońcu. Władają nami umarli, pomyślał i myśl ta nie chciała go opuścić.

Ucieszył się na widok Kurremkarmerruka nadchodzącego wolno z północy brzegiem strumienia. Starzec na bosaka brodził w wodzie, trzymając w jednej ręce buty, a w drugiej laskę. Gdy czasem się poślizgnął, prychał ze złością. Usiadł na drugim brzegu, wytarł stopy i naciągnął buty.

— Kiedy będę musiał wrócić do Wieży — mruknął — nie pójdę pieszo. Wynajmę wóz, kupię muła. Jestem stary, Azverze.

— Wejdź do domu — poprosił Mistrz Wzorów i podał Mistrzowi Imion wodę i jedzenie.

— Gdzie dziewczyna?

— Śpi. — Azver wskazał miejsce, w którym leżała skulona w trawie, nad maleńkim wodospadem.

Upał powoli zaczynał ustępować. Cienie Gaju stopniowo spowijały łąkę, choć Dom Wydry wciąż stał w blasku słońca. Kurremkarmerruk siedział na ławce, oparty plecami o ścianę. Azver przycupnął na progu.

— Dotarliśmy do kresu — rzekł w końcu starzec, przerywając milczenie.

Azver przytaknął bez słowa.

— Co cię tu sprowadziło, Azverze? — spytał Mistrz Imion. — Często chciałem cię o to zapytać. To bardzo długa droga, a u was, w Kargadzie, nie ma chyba czarnoksiężników.

— Nie, mamy jednak to, z czego rodzą się czary: wodę, kamienie, drzewa, słowa…

— Lecz nie w Mowie Tworzenia.

— Nie. I nie mamy smoków.

— Nigdy nie mieliście?

— Tylko w bardzo, bardzo starych opowieściach, nim zjawili się bogowie i ludzie. Nim ludzie stali się ludźmi, istniały smoki.

— To bardzo interesujące. — Stary mag wyprostował się nagle. — Mówiłem ci, że czytałem o smokach. Krążą pogłoski, iż widywano je nad Morzem Najgłębszym, a nawet daleko na wschodzie, nad Gontem. Bez wątpienia częściowo ich źródłem stał się Kalessin niosący Geda do domu. Jeden smok rozmnożył się w opowieściach żeglarzy. Lecz pewien chłopak przysięgał, że cała jego wioska widziała tej wiosny smoki lecące na zachód nad górą Onn. Sięgnąłem zatem po stare

księgi, by się dowiedzieć, kiedy smoki przestały docierać na wschód poza Pendor. W jednej natknąłem się na twoją opowieść, czy coś bardzo do niej podobnego. Wedle niej smoki i ludzie byli kiedyś jednym ludem, lecz się pokłócili. Część poszła na zachód, część na wschód i stali się różnymi istotami, zapominając o swej wspólnej przeszłości.

— My podążyliśmy najdalej na wschód — dodał Azver. — Wiesz jednak, jak w mojej mowie nazywa się wódz armii?

— Edran — odparł natychmiast Mistrz Imion i roześmiał się. — Jaszczur. Smok…

Po chwili zadumy rzekł:

— Mógłbym do końca świata zagłębiać się w etymologię… sądzę jednak, Azverze, że go nie pokonamy.

— Ma przewagę — przytaknął cierpko Azver.

— Istotnie. A zatem… przyznając, że to mało prawdopodobne, wręcz niemożliwe, lecz gdybyśmy go pokonali, gdyby wrócił do krainy śmierci i pozostawił nas tu żywych, co byśmy zrobili? Co dalej?

— Nie mam pojęcia — odparł po długim czasie Azver.

— Twoje liście i cienie nie mówią ci niczego?

— Zmiana, zmiana — rzekł Mistrz Wzorów. — Transformacja. Nagle uniósł wzrok. Owce, stłoczone w pobliżu grobli, uciekały. Ktoś zbliżał się ścieżką z Wielkiego Domu.

— Grupa młodych chłopców — wydyszał Mistrz Ziół, podchodząc do nich. — Armia Thoriona. Idą tutaj, żeby zabrać dziewczynę, odesłać jaz wyspy. — Odetchnął głęboko. — Gdy odchodziłem, Odźwierny rozmawiał z nimi. Myślę, że…

— Jest tutaj — przerwał mu Azver.

Obok nich stanął Odźwierny. Jego gładka żółtobrązowa twarz miała jak zwykle pogodny wyraz.

— Powiedziałem chłopcom, że jeśli wyjdą dziś Bramą Medry, nie wrócą już do znanego im domu. Niektórzy chcieli zostać, lecz Mistrzowie Wiatrów i Pieśni nalegali. Wkrótce się tu zjawią.

Słyszeli męskie głosy na łąkach na wschód od Gaju.

Azver ruszył szybko nad strumień, gdzie leżała Irian. Pozostali poszli w jego ślady. Dziewczyna dźwignęła się z ziemi, otępiała, oszołomiona. Otaczali ją niczym straż, gdy grupa trzydziestu mężczyzn minęła stary domek i zbliżyła się do nich. W większości byli to starsi uczniowie, kilku miało w dłoniach laski czarnoksiężników. Prowadził ich Mistrz Wiatrów. Jego chuda, bystra, stara twarz zdawała się spięta, znużona. Powitał jednak uprzejmie czterech magów, pozdrawiając ich tytułami. Oni także go powitali. Azver przemówił pierwszy.

— Wejdź do Gaju, Mistrzu Wiatrów, i zaczekajmy na pozostałych z Dziewięciu.

— Najpierw musimy rozstrzygnąć kwestię, która nas dzieli.

— To poważna kwestia — wtrącił Mistrz Imion.

— Kobieta, która wam towarzyszy, narusza Regułę Roke — oznajmił Mistrz Wiatrów. — Musi odejść. W porcie czeka na nią łódź. Mój wiatr zaniesie ją wprost na Way.

— Nie wątpię w to, panie — powiedział Azver — nie przypuszczam jednak, by odeszła.

— Mistrzu Wzorów, czy złamiesz regułę i prawa naszej wspólnoty, tak długo strzegące świat przed siłami chaosu? Czy właśnie ty ze wszystkich ludzi zniszczysz wzór?

— To nie szkło, nie można go zniszczyć — odparł Azver. — To oddech, ogień. — Z coraz większym trudem wypowiadał kolejne słowa. — On nie zna śmierci — dodał, przemówił jednak we własnym języku i nikt go nie zrozumiał.

Zbliżył się do Irian, poczuł ciepło jej ciała. Stała bez ruchu, milcząca niczym zwierzę, jakby nie pojmowała, co się dzieje.

— Thorion powrócił z krainy śmierci, by nas ocalić. — W głosie Mistrza Wiatrów zabrzmiała płomienna pasja. — Zostanie nowym Arcymagiem. Pod jego rządami Roke stanie się tym, czym była kiedyś. Z jego ręki król otrzyma prawdziwą koronę i będzie rządzić, kierując się jego radami, jak kiedyś Morred. Czarownice nie *zbezczeszczą* uświęconej ziemi, smoki nie zagrożą Morzu Najgłębszemu, zapanuje porządek, pokój!

Żaden z magów nie odpowiedział. W ciszy wśród młodych mężczyzn podniósł się szmer.

— Oddajcie nam wiedźmę! — krzyknął ktoś.

— Nie — rzucił Azver, nie zdołał jednak powiedzieć nic więcej. Trzymał w dłoni laskę z zielonej wierzbiny, była ona jednak tylko pozbawionym mocy kawałkiem drewna.

Z czwórki mistrzów jedynie Odźwierny wystąpił naprzód.

— Zaufaliście mi, podając swe prawdziwe imiona. Czy zaufacie mi i teraz?

— Ufamy ci, panie — powiedział jeden z nich, młodzian o pięknej, ciemnej twarzy, trzymający w ręce dębową laskę czarnoksiężnika. — Prosimy zatem, byś pozwolił wiedźmie odejść i przywrócił spokój.

Nim Odźwierny zdążył odpowiedzieć, Irian wystąpiła naprzód.

— Nie jestem wiedźmą — rzekła. Jej głos w odróżnieniu od niskich męskich tonów zabrzmiał wysoko, metalicznie. — Nie znam waszej sztuki. Brak mi wiedzy. Przybyłam, by się uczyć.

— Nie uczymy tu kobiet — odparł Mistrz Wiatrów. — Wiesz o tym.

— Niczego nie wiem. — Postąpiła krok naprzód, spoglądając wprost na maga. — Powiedz mi, kim jestem.

— Znaj swoje miejsce, kobieto — rzucił zimno.

— Moje miejsce — odparła powoli, przeciągając słowa — moje miejsce jest na wzgórzu, tam gdzie wszystko jest tym, czym jest naprawdę. Powiedz trupowi, że tam się z nim spotkam.

Mistrz Wiatrów milczał, lecz jego towarzysze zaczęli gorączkowo szeptać. Kilku ruszyło ku dziewczynie. Azver stanął przed nią. Jej słowa uwolniły go z paraliżu wiążącego ciało i umysł.

— Powiedźcie Thorionowi, że spotkamy się z nim na Pagórku Roke — oznajmił. — Gdy się zjawi, już tam będziemy. A teraz chodź ze mną — rzekł do Irian.

Mistrzowie Imion i Ziół oraz Odźwierny też podążyli w głąb Gaju. Otwierała się przed nimi ścieżka, kiedy jednak kilku młodzieńców ruszyło ich śladem, ścieżka zniknęła.

— Wracajcie — polecił im Mistrz Wiatrów.

Zawrócili niepewni. Zniżające się słońce wciąż jeszcze oświetlało dachy Wielkiego Domu i pola, lecz wewnątrz Gaju władały cienie.

— Sztuczki — powtarzali uczniowie. — Bluźnierstwo. Świętokradztwo.

— Lepiej już chodźmy.

Twarz Mistrza Wiatrów była zacięta i ponura. W jego bystrych oczach krył się lęk. Stary mag ruszył w stronę Szkoły, a uczniowie podążali za nim, spierając się i dyskutując gniewnie.

***

Nie dotarli daleko w głąb Gaju i wciąż szli brzegiem strumienia, gdy Irian przystanęła, odwróciła się i przykucnęła przy ogromnych, splątanych korzeniach nachylonej nad wodą wierzby. Czterej magowie zostali na ścieżce.

— Przemawiała innym oddechem — rzekł Azver. Mistrz Imion przytaknął.

— Musimy zatem pójść za nią? — spytał Mistrz Ziół.

Tym razem Odźwierny skinął głową. Uśmiechnął się słabo.

— Na to wygląda.

— Doskonale — rzekł Mistrz Ziół, nie tracąc cierpliwości. Odszedł kilka kroków i ukląkł, by obejrzeć małą roślinkę czy może grzyb wśród poszycia.

Czas jak zawsze w Gaju pozornie stał w miejscu, a jednak upływał. Wieczór nadszedł w kilku długich oddechach, drżeniu liści, dalekim śpiewie ptaka i głosie innego, odpowiadającego z jeszcze większej oddali. Irian powoli wstała. Nic nie mówiła, wróciła na

ścieżkę i ruszyła naprzód. Czterech mężczyzn pospieszyło za nią.

Wiał rześki wietrzyk. Na zachodzie wciąż jeszcze płonęły słoneczne łuny, gdy przebyli strumień i ruszyli przez łąki na Pagórek Roke, wznoszący się przed nimi niczym wysoka czarna kopuła na tle nieba.

— Nadchodzą — rzekł Odźwierny.

Z ogrodów na ścieżkę wiodącą z Wielkiego Domu wysypywali się ludzie, wszyscy magowie, wielu uczniów. Prowadził ich Mistrz Przywołań, Thorion, wysoki, w szarym płaszczu, dzierżący w dłoni laskę z białego jak kość drewna, otoczoną słabym blaskiem magicznego światła.

W miejscu gdzie dwie ścieżki spotykały się ze sobą, by wspiąć się na zbocze Pagórka, Thorion przystanął. Irian ruszyła ku niemu.

— Irian z Way — powiedział Mistrz Przywołań głębokim, czystym głosem. — Aby mógł zapanować pokój i porządek, dla dobra równowagi wszechrzeczy nakazuję ci opuścić tę wyspę. Nie możemy dać ci tego, o co prosisz. Wybacz nam. Jeśli jednak zechcesz zostać tutaj, zmusisz nas, byśmy ci pokazali, co oznacza złamanie prawa.

Wyprostowała się, niemal dorównywała mu wzrostem. Długą chwilę milczała.

— Chodź na pagórek, Thorionie — przemówiła wysokim, szorstkim głosem.

Pozostawiła go u zbiegu dróg i przeszła kilka kroków w górę zbocza. Odwróciła się i spojrzała na maga.

— Czemu tu nie wejdziesz? — spytała.

Powietrze wokół nich ciemniało. Na zachodzie jarzyła się jedynie ciemnoczerwona linia. Na wschodzie, nad morzem niebo zasnuły chmury.

Mistrz Przywołań powoli uniósł ręce i białą laskę w geście towarzyszącym zaklęciu, przemawiając w mowie znanej wszystkim czarnoksiężnikom i magom z Roke, w języku ich sztuki, Mowie Tworzenia.

— Irian, twoim imieniem przyzywam cię i nakazuję, byś była mi posłuszna!

Dziewczyna zawahała się. Na moment zdawała się ustępować, podchodzić ku niemu, potem jednak wykrzyknęła:

— Nie jestem tylko Irian!

To słysząc, Mistrz Przywołań pobiegł z wyciągniętymi rękami, jakby chciał ją pochwycić. Oboje znaleźli się na wzgórzu. Górowała nad nim, wznosząc się coraz wyżej, niewiarygodnie wyżej. Między nimi zapłonął ogień, czerwony płomień rozbłysł w mroku. Zalśniły czerwonozłote łuski, załopotały skrzydła — a potem wszystko zniknęło. Pozostała jedynie kobieta na ścieżce i wysoki mężczyzna chylący się przed nią powoli, osuwający na ziemię i zamierający w

bezruchu.

Mistrz Ziół, uzdrowiciel, poruszył się pierwszy. Podszedł ścieżką i ukląkł obok Thoriona.

— Panie, mój przyjacielu.

Odchylił gruby szary płaszcz. Kryły się pod nim tylko strzępki ubrania, suche kości i laska.

— Tak jest lepiej, Thorionie — rzekł, lecz z oczu płynęły mu łzy. Stary Mistrz Imion wystąpił naprzód.

— Kim jesteś? — spytał kobietę na wzgórzu.

— Nie znam mojego drugiego imienia — odparła w Mowie Tworzenia. W języku smoków.

Ruszyła w górę wzgórza.

— Irian! — zawołał Mistrz Wzorów Azver. — Wrócisz do nas? Zatrzymała się i pozwoliła doścignąć.

— Wrócę, jeśli mnie wezwiesz.

Uniosła rękę i dotknęła jego dłoni. Gwałtownie wciągnął powietrze.

— Dokąd pójdziesz? — spytał.

— Do tych, którzy nadadzą mi imię. W ogniu, nie w wodzie. Do mego ludu.

— Na zachód.

— Poza zachód — odparła.

Zostawiła ich wszystkich i w gęstniejącej ciemności powędrowała na wzgórze. Gdy się oddalała, ujrzeli ją w pełnej krasie — potężne boki kryte złotą łuską, długi ogon z ostrymi kolcami, szpony, oślepiający ognisty oddech. Na szczycie wzgórza przystanęła, odwracając głowę i rozglądając się powoli po wyspie Roke. Najdłużej spoglądała na Gaj, widoczny teraz tylko jako plama ciemności wśród mroku. A potem z łoskotem przypominającym odgłos pękających mosiężnych blach uniosły się szerokie błoniaste skrzydła. Smok wzleciał w powietrze, okrążył Pagórek Roke i odfrunął.

W mroku pozostał jęzor ognia, wąska smużka dymu.

Mistrz Wzorów Azver stał bez ruchu. Piekły go palce w miejscu, gdzie oparzył go jej dotyk. Spojrzał na milczących mężczyzn u stóp wzgórza, odprowadzających wzrokiem smoka.

— I cóż, przyjaciele? — zapytał. — Co teraz? Odpowiedział mu tylko Odźwierny.

— Myślę, że powinniśmy wrócić do domu i otworzyć drzwi.